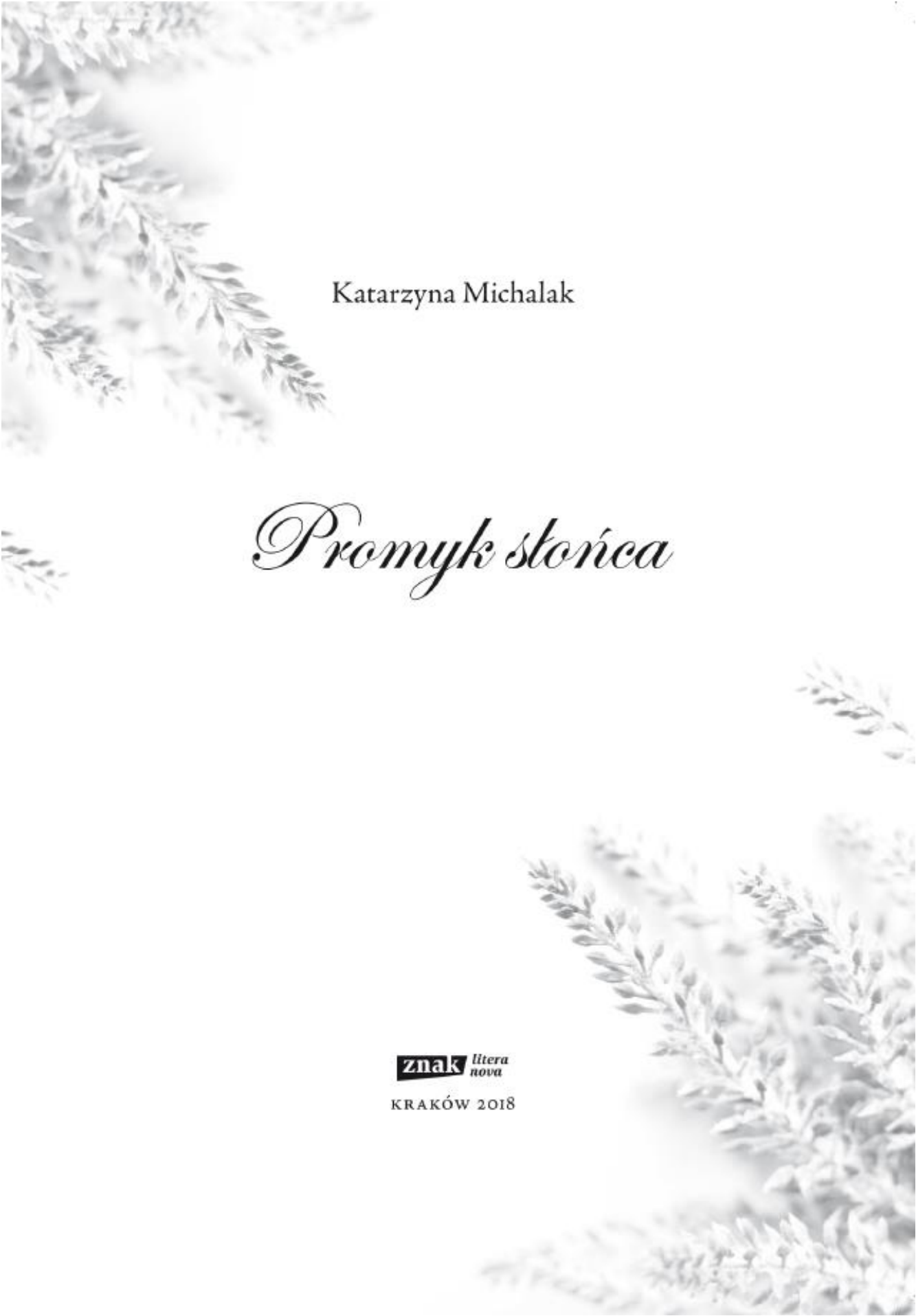


GDY WSZYSTKO TRACI SENS,  
GDY ŚWIAT OGARNIA MROK,  
ONA POJAWIA SIĘ JAK ...

*Prómyk słońca*



KATARZYNA  
**MICHALAK**



Katarzyna Michalak

*Promyk słońca*

**znak** *litera  
nova*

KRAKÓW 2018

Ludzie słabi, zamiast wziąć odpowiedzialność za swoje słowa i czyny, zawsze będą szukać winnych niepowodzeń.

Ludzie silni będą walczyć o swoje marzenia do ostatniego oddechu. Oni, choćby na kolanach, dotrą na szczyt.

Do nich należy świat.

*Dla Justyny  
z wdzięcznością*

## ROZDZIAŁ I



Z

amieć przybierała na sile. Światło dnia zaczęło przygasać. Romantyczny spacer, na który oboje z samego rana się wybrali, przerodził się w mozolne brnięcie przez sypki, głęboki śnieg, z wichrem i ostrymi kryształami lodu siekącymi w twarz.

Otuliła się szczelniej kurtką. Ręce, choć nałożyła grube rękawice, powoli przestawały jej słuchać. Łzy, wyciskane przez zamieć i wysiłek, zamarzały na policzkach. Zwalniała kroku, coraz bardziej wyczerpana. Kamil, idący do tej pory obok, zostawał w tyle. Jeśli miała nadzieję, że w razie utraty sił wesprze się na jego męskim ramieniu, nadzieja ta rozwiewała się z coraz silniejszymi podmuchami wiatru.

– Poczekaj na mnie! – Usłyszała błagalne wołanie.

Gdzieś w głębi duszy załkała: „Nie mogę! Muszę ratować samą siebie!”, ale sumienie nie pozwoliło zostawić chłopaka. Stała i oparła się o pionową skałę. Wrócić po niego nie mogła, nie miała po prostu siły, ale poczekać, aż on do niej dotrze? Tak, do tego potrafiła się zmusić, mimo ostrzegawczego głosu w duszy, że zamarza. Że zamarzną oboje...

Było coraz zimniej. Nagle – a może tylko się jej zdawało, że nagle – zapadły ciemności. Teraz zupełnie nie było nic widać.

„Nigdy nas nie odnajdą!” – zakrzyczała w myślach, skulona pod skalnym nawisem. „Umrzemy tutaj!”

Do otumanionego wysiłkiem umysłu nie dotarł prosty fakt: nie odnajdą ich, bo nie będą szukać. Nikt nie wiedział, gdzie są. Kolegom powiedzieli, że Wigilię spędzą w Zakopanem. Zamiast tego wybrali się na włóczęgę po górach, celowo, z premedytacją i młodzieńczym buntem łamiąc zakazy. Dotarli do góralskiej chaty, chichocząc, wyłamali niezbyt solidny zamek i dopadli siebie, zgłodniali pieszczot, jak to dwoje młodych, zakochanych ludzi zwykle czyni.

Kamil chciał pójść na całość. Wiedziała o tym, myślała o tym, była gotowa się zgodzić, ale... gdy jego pieszczoty stały się zbyt natarczywe, a dłoń zbłądziła w intymne miejsca, odsunęła chłopaka stanowczo. Chwilę łapał oddech, próbował zapanować nad rozszalałymi hormonami, był nawet zły na dziewczynę, lecz w końcu – z nadzieją, że jeśli

nie dziś, to kiedyś – przyciągnął ją z powrotem, przeprosił gardłowym szeptem i obiecał poprzestać na przytulankach i całuskach. Tak minęła im reszta wigilijnego ranka i popołudnie. Gdy ruszyli w drogę powrotną, przestraszeni nadciągającym zmrokiem i narastającą wichurą, było już za późno...

Teraz ona drżała, wtulona w skałę, płacząc bezgłośnie, on zaś... Nie miała pojęcia, co się stało z Kamilem.

Nagle usłyszała czyjś głos.

Poderwała głowę. Krzyknęła: „Ratunku! Tu jestem!”, mając nadzieję, że to ratownik TOPR przyszedł jej z pomocą, ale to zbłąkany wędrowiec, jak i ona, przystanął pod tym samym nawisem, żeby – będąc osłoniętym nieco od zamieci – złapać oddech i siły do dalszego marszu. To jego głos, mamroczący słowa modlitwy „Ojcze nasz”, dał jej nadzieję.

– Co tu robisz?! Zamarzniesz! – krzyknął, zagłuszany przez wyjący wiatr, na widok półżywej dziewczyny.

– Nie dam rady... – Jej sine usta zadrżały, dwie łzy spłynęły po policzkach.

Kiedyś może by go to wzruszyło. Nawet na pewno. Ale nie dziś, gdy on sam walczył o życie. O każdy krok przybliżający go do schroniska...

– To niedaleko! Musisz się ruszyć! To już naprawdę blisko! – Pochylił się nad dziewczyną i próbował pociągnąć ją w górę, ale miał za mało sił, a ona nie miała ich w ogóle. Osunęła się z powrotem w śnieg.

– Czekaj tutaj! Przyślę pomoc! Nie ruszaj się ze szlaku!

– D-dobrze – wykrztusiła, szczękając zębami.

„Pospiesz się, błagam!” – krzyczały jej szeroko otwarte, przerażone oczy.

Poklepał ją po ramieniu i ruszył w dalszą, mozolną drogę.

Jak długo czekała na ratunek?

Pół życia...

Gdy wreszcie odnalazł ją ratownik, gdy doprowadził w bezpieczne miejsce... Wdzięczność zalała jej osiemnastoletnie serce. Płakała przez całą drogę powrotną. Szlochała bez łez, gdy wniósł ją do ciepłej, jasnej chaty. Chciała mu dziękować, chciała powiedzieć, że nigdy, nigdy nie zapomni, że ją ocalił, lecz zamiast tego powiedziała:

– Tam został mój chłopak. Uratuj go.

Mężczyzna, niewiele starszy od niej, nie wahał się ani chwili.

Wyszedł na mróz, wchłonęła go zamieć.

Niekończące się kwadransy później do chaty wszedł Kamil. Sam.

Dopadła chłopaka, ledwie stanął w drzwiach, chwytając się framugi, wykończony do granic ludzkiej wytrzymałości. Szarpnęła go za ramię, bo osunął się na kolana. Tamten, nieznajomy, próbował go podnieść, ale odtrąciła go.

– Gdzie ratownik?! Gdzie on jest?!

– Nie wiem – wymamrotał Kamil. Usta ledwo wypowiedziały te dwa słowa. – Był niedaleko i nagle zniknął. Ostatkiem sił przywlokłem się tutaj. Nie wiem, co z nim...

Dowiedziała się nazajutrz. Gdy czterech milczących mężczyzn w czerwonych kurtkach z emblematem TOPR na piersiach wyciągało ciało swego towarzysza z dna górskiej przepaści.

Ona, widząc nieruchomy, martwy kształt na noszach, czuła, jak sama umiera, z każdym uderzeniem przerażonego, wypełnionego poczuciem winy serca; komórka po komórce, myśl – oszalała z rozpacz i ze strachu – po myśli. A gdy już umarła, odprowadziwszy spojrzeniem zwłoki ratownika, gdy w pustym umyśle nie było już nic oprócz błagania o wybaczenie, jej serce zaczęła wypełniać nienawiść. Do siebie, do świata i... do matki, która powinna była zatrzymać dziecko w domu, powinna sprzeciwić się wigilijnej eskapadzie w góry. Zamiast tego rzuciła obojętnie:

– Jedź. Jeśli tak bardzo tego pragniesz, jedź.

Z czasem nienawiść do matki wyparła wszelkie inne uczucia. Dzięki temu dziewczyna, która posłała człowieka na śmierć, mogła jakoś żyć dalej. Żyć i nie zwariować.

A że matka cierpiała, nie znając przyczyn tej nienawiści?

Tak to już jest...

\*

Marta wyszła z pokoju Emilki, w chwili gdy niezwykle gość wypuszczał Nataniela z objęć. Spojrzała na dziewczynę – tak bardzo wytęsknioną i kochaną – krzyknęła cicho i chwyciła się za serce, które zakłuło nieznośnym bólem.

– Mamo! – Oliwia, bo to jej córka przybyła w wigilijny wieczór do chaty nad jeziorem, w jednej chwili była przy niej. Obejmowała drżącą na całym ciele kobietę, wtulała twarz w pachnący znajomo, ciepły, miękki kardigan.

Marta uniosła mdlejące ramiona i objęła płaczącą cicho córkę. Córeczkę. Oliwkę...

Powtarzała imię dziewczyny niczym najpiękniejszą z modlitw. Dotykała jej włosów, policzków, ramion, jakby musiała się upewnić, raz jeszcze i jeszcze raz, że ma swoje dziecko tutaj, przed sobą. Takie jak kiedyś. Kochane i kochające.

– Mamo, tak bardzo mi przykro – mówiła Oliwia, łykając łzy. – Tak strasznie cię przepraszam. Nie chciałam tego. Nie chciałam cię znienawidzić i tak naprawdę... kochałam cię przez cały ten straszny czas. Wybacz mi...

– Już nic. Już cicho. Już dobrze – powtarzała Marta, całując swoje utracone i dziś odzyskane dziecko.

Nikt więcej nie poruszył się przez ten czas i nie odezwał. Nataniel z Mateuszem wstrzymywali oddech, wiedząc, że oto staje się cud. Nawet niewidoma Trusia siedziała bez ruchu pod stołem. W ciszy, przerywanej łkaniem Oliwii i szeptem Marty, słyhać było tylko trzaskanie ognia w kominku.

Wreszcie, gdy obie nacieszyły się tym spotkaniem, podwójnym, bo przecież Oliwia odnalazła w ten cichy wigilijny wieczór nie tylko matkę, ale i Nataniela, wszyscy czworo zasiedli wokół stołu, nadal nakrytego białym obrusem.

– Jesteś głodna, córeńko! – Marta poderwała się, ale Oliwia przytrzymała ją za ramię.

– Tyle tu smakołyków... – Potoczyła wzrokiem po pyszniących się na półmiskach ciastach. – Zjem kawałeczek makowca i sernika. Popiję kompotem z suszu i będę szczęśliwa.

Mateusz podsunął dziewczynie czysty kubek. Nataniel talerzyk z ciastem. Posłała

i jednemu, i drugiemu piękny uśmiech. Złociste oczy błyszcząły w jej ładnej, szczupłej twarzy niczym dwie gwiazdy.

– Jakim cudem ocalałeś? – odezwała się do chłopaka, zaspokoiwszy pierwszy głód. – Widziałam, jak cię wyciągali z dna przepaści. Na noszach. Martwego. Wszyscy mówili, że zamarłeś na śmierć.

Nataniel pokręcił głową.

– Tamtej nocy zginęło dwoje ludzi. Ratownik i twój chłopak. Wybacz, że nie zdołałem go ocalić...

Oliwia aż krzyknęła. I pokręciła głową.

– On żyje! Wrócił sam do Betlejemki! Mówił, że ratownik do niego nie dotarł, ale on zdołał dojść do schroniska!

Nataniel zbladł nagle. Cała krew odpłynęła mu z twarzy.

– Co powiedziałaś? – wyszeptał, nie dowierzając w to, co słyszy.

– Kamil wrócił do chaty jakiś czas po mnie. Mówił, że widział cię, byłeś niedaleko i nagle zniknąłeś. Nazajutrz wyciągnęli z przepaści twoje, a jednak nie twoje, jak się okazuje, zwłoki. Ale Kamil żyje!

Nataniel... On ukrył twarz w dłoniach, płacząc bezgłośnie. Nikt przy stole nie śmiał nawet drgnąć, nie próbował go pocieszać, bo były to łzy ulgi i szczęścia, a nie rozpacz. Wreszcie młody mężczyzna zapanował nad wzruszeniem, otarł oczy, uśmiechnął się i rzekł:

– W tamtą Wigilię zginął mój kolega. Ja przeżyłem. Nie wiem do dziś, jakim cudem, ale przeżyłem...

\*

Krzyknął i runął w przepaść. Serce zamarło na parę nieskończenie długich sekund, gdy leciał bezwładnie w dół. Skalny występ uratował mu życie. I roztrzaskał nogę. Krzyknął z rozdzierającego bólu. Stracił przytomność. Drugiego uderzenia nie poczuł.

Ocknął się... jak długo po upadku? Parę minut? Kwadrans? Dość, żeby poczuć, jak zamarza. Jak życie uchodzi z niego sekunda po sekundzie. Ze złamanej nogi sączyła się krew. Widział to, widział zakrwawioną nogawkę spodni i szkarłatny śnieg dookoła. Ale nic nie czuł. Może to chłód, może szok – nie czuł nic. Tylko zmęczenie, przemożne zmęczenie i senność. Powieki same opadły. Mama pochyliła się ku niemu, odgarnęła mokre włosy z czoła i szepnęła:

– Obudź się, syneczku. Nie wolno ci zasnąć. Musisz żyć.

Otworzył szeroko oczy. Poderwał głowę. Jęknął z bólu, który nagle wgrzył się ostrymi kłami w zgruchotaną kończynę.

– Mamo! – Utkana z mgły sylwetka zaczęła zanikać, rozplływać się w ciemnościach. – Mamo...

– Walcz! Musisz żyć! – usłyszał cichnący szept.

Zagryzając z bólu wargi, odpiął plecak. Ten niewymagający zwykle wysiłku gest kosztował go nieomal utratę przytomności, a przecież musiał zatamować krwotok, opatrzyć ranę, owinąć się w folię termiczną i – a może przede wszystkim – wezwać pomoc.



Ale krótkofalówka rozsypała się od uderzenia o skałę... Czy to wtedy stracił nadzieję na ocalenie czy jeszcze nie? Nigdy się nad tym nie zastanawiał. Opadł na śnieg i leżał, wpatrzony niewidzącym spojrzeniem w czarne niebo wysoko nad górami. Zamięć ucichła. Zza burzowych chmur zaczęły nieśmiało wyglądać gwiazdy, ale Nataniel przez załzawione oczy nie widział ich piękna. Nie podziwiał tym razem majestatu gór. Nie zachwycił się ich surowością.

Umierał.

„Walcz! Musisz żyć! I do mnie wrócić. Kocham cię, syneczku” – gdzieś na dnie duszy rozbrzmiały słowa mamy. To dla niej, tak, dla matki spróbuje zdobyć się na ostatni wysiłek. Ona nie może stracić jedyne dziecko.

Rozpiął plecak. Wyciągnął zestaw pierwszej pomocy. Krzycząc od zadawanych własną ręką tortur, zacisnął stazę powyżej rany. Płacząc, owinął nogę bandażem. Ból był nie do zniesienia. Nie pozwalał zemdleć. Nataniel nigdy wcześniej nie przeżył takiego cierpienia. Mimo to musiał je znieść, by ratować życie...

Zawiązał końcówkę bandaża i opadł na krwawy śnieg zupełnie bez sił. Było mu wszystko jedno, czy zdechnie tutaj, w tej skalnej rozpadlinie, czy jakimś cudem przeżyje. Wszystko jedno...

– No, dziecko drogie, wstawaj, jeszcze nie skończyłeś! – Tym razem pochylała się nad nim babcia. Ta, która przeżyła swoją śmierć, stojąc pod ścianą warszawskiej kamienicy i patrząc w lufę karabinu maszynowego, a potem śmierć męża, zamęczonego w ubeckiej katowni. – Wstawaj, synku. Musisz być twardy, a nie miętki!

Uśmiechnął się mimowolnie. To ulubione powiedzenie babci. O tak. Ona jest twarda. Nigdy nie pozwoliła sobie na słabość. Może wtedy, gdy znajomy, „dobry ubek”, przyniósł jej gryps z Rakowieckiej, że Władysław, jej mąż, nie żyje. Tak, tej nocy rozpacziała. Na pewno. Ale przed świtem wzięła się w garść. Otarła łzy i – chociaż połowa jej serca umarła razem z Władziem – postanowiła, że będzie żyć. Dla istotki, która pragnęła przyjść na ten świat, jaki by nie był, będzie żyć.

Od tamtego dnia nie oglądała się w przeszłość. Żyła na przekór tym, którzy kałmuczkę, bandytkę z AK chętnie widzieliby w bezimiennym grobie obok tamtego bandyty, jej męża.

Tak. Babcia była twarda. Nataniel nie może jej zawieść.

Podniósł się po raz kolejny. Zmusił mdlejące ręce do odnalezienia folii termicznej. Znalazł też pakunek z kocem. I kilka tabliczek czekolady. Gdyby nie był ciężko ranny, miałby szansę na przeżycie. Doczekałby do świtu wtulony w skalną ścianę. Ale krew nadal sączyła się ze zmiażdżonych tkanek, cierpienie wysysało resztki sił. Jeszcze próbował zawalczyć o życie, owijając nogę drugim bandażem i trzecim, lecz wiedział, że to za mało. Umierał...

\*

Rozejrzał się półprzytomnym wzrokiem po jasnej, ciepłej kuchni, sześć lat później, w chacie nad jeziorem. Trzy pary przejętych oczu wpatrywały się w jego twarz. Marta, Oliwia i Mateusz słuchali każdego słowa i szeptu.

– Jakimś cudem przeżyłem. – Próbował się uśmiechnąć. – Znaleźli mnie nazajutrz.

Nie zgłosiłem się na dyżur w stacji, a dziewczyny ze schroniska podniosły alarm. Tak. Przeżyłem. I nieraz serdecznie tego żałowałem.

– Co też ty wygadujesz, dzieciaku! – oburzyła się Marta.

Oliwia ujęła delikatnie dłoń Nataniela i uściśnęła.

– A ja z całego serca dziękuję Bogu, że cię ocalił. Nie wiem, jak długo wytrzymałabym ze świadomością, że zginąłeś przeze mnie. Prawdę mówiąc, próbowałam...

Urwała, pokręciła głową, widząc wstrząśnięty wzrok matki.

– Dzieci, błagam, jest Wigilia! Najpiękniejsza Wigilia, jaką mogłam sobie wymarzyć! Zamknijmy tamten rozdział. Pozwólmy, by przeszłość została w przeszłości. Przed nami reszta życia! I mam nadzieję... nie, nie nadzieję, a święcie w to wierzę, że los ma dla nas same niespodzianki. Piękne, dobre i szczęśliwe!

Jedna z tych niespodzianek stanęła właśnie na progu pokoju. Z ustami wygiętymi w podkówkę, trąc piąstkami zaczerwienione od łez oczy, chlipnęła:

– Boję się... Tam jest tak ciemno... A ja się boję... I chcę do mamusi!

Poderwali się od stołu wszyscy naraz, jak jeden mąż. Marta w sekundę była przy Emilce, brała ją w ramiona, szeptała uspokajające zaklęcia. Mateusz patrzył na to i zafrasowany drapał się po głowie. Oliwia spoglądała to na dziewczynkę, to na Nataniela, zastanawiając się, ile też chłopak miał lat, gdy zaliczył tę wpadkę.

– To nie moje dziecko – odezwał się półgłosem. – Zostało mi oddane pod opiekę.

Oliwia uśmiechnęła się.

– Już myślałam, że wcześniej zacząłeś. Ile ty właściwie masz lat?

– Niewiele więcej od ciebie.

– Myślałam, że jesteś z rok czy dwa młodszy.

– Źle myślałaś. To ty jesteś dwa lata młodsza, dziewczynko.

– Skąd możesz to wiedzieć?

– Marta zdradziła nam wszystkie twoje grzeszki – odparł i zaśmiał się, widząc jej oburzenie. I błysk w złocistych oczach.

Śliczna była. Może nie klasycznie piękna, co to, to nie, ale pełna uroku i wewnętrznego blasku. Nie znał Oliwii przed pojawieniem się tutaj, w jego chacie, nie wiedział, że ten blask rozniecił on sam, a dziewczyna nigdy by się do tego nie przyznała. Tak, była szczęśliwa. Żył ten, za którego śmierć obwiniła siebie, byłego chłopaka i własną matkę. Już to wystarczyło, żeby oczy zapłonęły radością, policzki poróżowiały, a serce, ilekroć spojrzała na Nataniela, biło szybciej. Nie pragnęła niczego więcej w tę cichą wigilijną noc.

Nataniel oderwał wzrok od oczu dziewczyny i zbeształ się w duchu za to cielece zauroczenie. Nie tak dawno jedna go oczarowała. Na kilka miesięcy oszalał przez piękną młodą kobietę. Może na razie wystarczy?

Podszedł do Emilki, przyklęknął. Mała zarzuciła mu rączki na szyję, przytuliła policzek do jego piersi.

– Taka jestem samotna! – zaczęła lamentować, zerkając jednakże spod oka, czy jej skargi robią oczekiwane wrażenie. – Samotna i opustoszała!

– Opuszczona – poprawił ją odruchowo i przytulił. – Nie jesteś już samotna,

dziecinko. Masz mnie, ciocię Martę, Świętego Mikołaja...

– Świętego Mateusza – wtrąciła z powagą. – Sama słyszałam, jak ciocia Marta mówi do tego pana „Mateusz”. Mam też kucyka Kacperka, prawda?

– Dokładnie. Jak możesz być samotna i opustoszała, mając za przyjaciela kucyka Kacperka?

– „Maj littl ponyyy, maj littl ponyy, przyjaźń to magia” – zanuciła Emilka, wyswobadzając się z objęć Nataniela. Całkiem pocieszona, z oczkami błyszczącymi radością życia, wgramoliła się na krzesło obok Mateusza i...

– Zaraz, zaraz! Ty, panienko, wracasz do łóżka! Jest środek nocy! – Marta klasnęła w rękę.

Dziecko posłało jej szelmowskie spojrzenie.

– Nie mogę, ciociu. Jest Wigilia.

– Oczywiście! Ale Mikołaj już był, prezent dostałaś...

– I muszę pogadać z tym prezentem. A kiedy będę miała następną okazję, jak nie dzisiaj?

Marta uniosła brwi. Nataniel z trudem powstrzymał się od śmiechu.

– Wigilia. – Mrugnął do przyjaciółki. – Zwierzęta mówią ludzkim głosem. Do północy pozostała godzina – odezwał się głośno. – Myślę, że możesz poczekać tutaj z nami. Pogadasz z Kacperkiem i wracasz do łóżka, tak?

Emilka kiwnęła główką i uśmiechnęła się z zadowoleniem. Marta nałożyła jej kawałek makowca, który dziewczynka zaczęła grzecznie skubać, przysłuchując się rozmowie dorosłych.

– Skoro do północy godzina, dobrze byłoby pomyśleć o pasterce – odezwał się Mateusz. – Ktoś w tym roku się wybiera? Mnie nieco połamano, więc przypilnuję dobytku.

– Ja zostaję z dzieckiem – dodała Marta. – Może młodzi? Jeśli mają oczywiście chęć...

Jeszcze niedawno Nataniel – a i Oliwia pewnie też – odmówiłby, czując w sercu przemożny żal do Boga. Dziś jednak, w noc pełną cudów, oboje pragnęli Mu podziękować. Pokłonić się przed Dzieciątkiem i z całego serca podziękować.

– Oliwio? – Chłopak spojrzał pytająco na dziewczynę.

– Jestem wykończona podróżą, ale tak, chciałabym pójść. Wieki całe nie byłam w kościele. Zaraz potem idę spać. Dobrze, mam?

Spojrzała na Martę, która nagle... spochmurniała. Jak ma powiedzieć cudem odzyskanemu dziecku, że tak naprawdę obie są bezdomne, bo ona, Marta, sprzedała dworek i od kilku miesięcy mieszka za granicą? Tutaj, u Nataniela, jedna z nich mogłaby się zatrzymać, u Mateusza – druga, ale w końcu zatęskniła za własnym domem, którego już nie ma.

– Mamo? – W głosie Oliwii zabrzmiał niepokój. – Dwór stoi? Jest cały?

– Tak, tak. Tylko widzisz, córciu... sprzedałam go.

Dziewczyna jęknęła z niedowierzaniem.

– Jak to?! Dlaczego?! Całkiem położyłaś na mnie kreskę, że sprzedałaś nasz dom?!

– To nie tak, Oluś, nawet tak nie myśl! Po prostu... wiele się ostatnio

wydarzyło... – Marta pozwoliła, by ostatnie słowa wybrzmiały w ciszy.

Nie pragnęła wracać do przeszłości. Nie dzisiaj! Przeszłość jednak wróciła do niej nieproszona. Zabolęła. Zacisnęła na gardle zimne palce. Zaszklili się łzami w oczach. Jeśli Marta miała nadzieję, że ból, jaki zadał jej Siergiej, przeminął, myliła się.

– Mogłybyśmy choć dziś tam przenocować – zaczęła Oliwia. – Przechodziłam obok, wyglądał na opustoszały. Nowy właściciel nie wyrzuciłby nas w święta na mróz!

– Nie możemy wpraszać się do czyjegoś domu. – Marta pokręciła głową.

– To był nasz dom! Mój dom! Innego nie mam! – W głosie Oliwii zabrzmiała rozpacz. I żal. I jeszcze gniew. – Tylko dlatego tu przyjechałam. Zatekniłam za domem!

Matka posłała jej spojrzenie zbitego psa, Mateusz odwrócił wzrok, ale Nataniel... w niego nagle wstąpił diabeł.

– Słuchaj, Oliwio, twoja mama przygarnęła mnie, gdy zostałem bez dachu nad głową. Użyczyła mi tej chaty, bym miał się gdzie przytulić, i tak się potem złożyło, że mogłem ją kupić. I już nie byłem bezdomny. Ona sama musiała opuścić Senną i dom, który kochała nie mniej niż ty. Nie zapytasz, co się stało, że podjęła taką decyzję? Nie. Bo serce masz wciąż pełne nienawiści. I nadal zrzucasz na matkę własne grzechy. Gdybyś sześć lat temu zwierzyła się jej ze swojego cierpienia, może dzisiaj miałybyście dokąd pójść, może dwór nadal należałby do was. Lecz co się stało, to się nie odstanie. Daruj więc sobie, i matce również, te żalosne narzekania. Musicie odbudować rodzinny dom. Jeśli nie tutaj, w Sennej, to gdzie indziej. Mam nadzieję, że wam się to uda. Tak jak mam nadzieję, że... nadal pójdziesz ze mną na pasterkę, mimo tego, co ci nagadałem. – Uśmiechnął się, próbując złagodzić ostre słowa, jakie przed chwilą padły.

Dziewczyna zaś... słuchająca go do tej pory ze stężałą twarzą i płonącymi złością oczami... ona też się uśmiechnęła.

Nie chciała mieć w tym chłopaku wroga. Przeciwnie! Od sześciu lat nie było dnia, żeby nie posłała ratownikowi choć jednej myśli. Do tej pory jednak była to prośba o wybaczenie, że przez nią spotkała go śmierć. Dziś... zmieniło się wszystko. Ten, który uratował jej życie, był tutaj, cały i zdrowy. Nie zginął. Dzisiaj Oliwia, zanim zaśnie, będzie mogła podziękować Bogu za ocalenie Nataniela i poprosić o... gwiazdkę z nieba.

Uśmiech, który chwilę wcześniej był nieco wymuszony, teraz rozjaśnił twarz dziewczyny. Zamigotał w złocistych oczach. Marta z Mateuszem odetchnęli. Nataniel w głębi duszy też. Nie chciał przecież zrażać Oliwii do siebie.

– To będzie moja nowa ciocia? – odezwała się nagle Emilka, o której wszyscy na parę chwil zapomnieli, co dziewczynce bardzo się nie spodobało. Lubiła być w centrum zainteresowania.

Podeszła do Oliwii, zadarła główkę, by spojrzeć dziewczynie w twarz, i uśmiechnęła się szelmowsko. Ta zmieszała się, zarumieniła i posłała spłoszone spojrzenie Natanielowi.

Młody mężczyzna jeszcze kilka miesięcy temu, gdy tak strasznie zależało mu na pewnej kobiecie, też by się pewnie zarumienił, spojrzalby błagalnie na Iwonę, bo to w niej się wtedy kochał, i odrzekł z nadzieją: „To zależy od cioci”, albo coś równie banalnego. Lecz dziś był pozbawiony złudzeń, odarty z romantyczności. Dla kobiety jego życia był tylko kaleką, którego się wykorzystuje, wyciska jak cytrynę, okrada, by następnie

porzucić, gdy tylko na horyzoncie pojawi się inny mężczyzna, w pełni sprawny, przystojny i bogaty.

Jakim cudem on, Nataniel, przyjął pod swój dach dziecko tamtej?!

– Wędruj do łóżka, jest późno, ciocia Marta obudzi cię o północy – odrzekł surowo, a dziewczynka, ku zdumieniu wszystkich, potulnie go posłuchała. – Jeżeli nadal chcesz pójść na pasterkę – zwrócił się do Oliwii – musimy ruszać. Drogi są trudno przejezdne.

Skinęła głową. Mateusz podał jej ciepłą kurtkę, w której tu przybyła, a Marta jeszcze swój szal. W kościele może być bardzo zimno... Nataniel otworzył przed dziewczyną drzwi. Wyszli na mroźne, czyste jak kryształ powietrze.

## ROZDZIAŁ II



liwia zadarła głowę i przez chwilę wpatrywała się w niebo usiane gwiazdami. Lśniły swym tajemniczym blaskiem tuż nad głową. Wyciągnęła przed siebie ręce i czekała przez chwilę, aż jedna spadnie wprost w nadstawione dłonie. Nataniel zaśmiał się na ten widok.

– Marzysz o gwiazdce z nieba?

Pokręciła głową.

– Potrzebuję do szczęścia znacznie mniej.

– To znaczy?

Nie czekając na odpowiedź, stanął przed rzęchem, którym przyjechali Marta z Mateuszem, i zawrócił do domu po kluczyki.

– Muszę go przestawić. Pojedziemy tą terenówką. – Wskazał nissana.

Ale... plany planami, a złośliwość rzeczy martwych sobie. Rzęch ani zipnął. Nataniel jeszcze parę chwil próbował go odpalić, po czym wysiadł i spojrzał na Oliwię przepraszająco.

– Chyba nic z tego. Ani go nie uruchomimy, ani nie przepchniemy. Nie w takim śniegu. Jutro z rana przyjedzie ciągnikiem właściciel i go odholuje, ale teraz... – Rozłożył bezradnie ręce.

– A... on? – zapytała dziewczyna.

Nataniel podążył wzrokiem za jej spojrzeniem. Patrzyła na Śnieżkę, wychylającą głowę zza drzwi stajni.

– Chcesz jechać konno? – zdumiał się, bo Oliwia wyglądała na dziewczynę z miasta, zupełnie jak Iwona, a ta bała się koni. Może nie tyle bała, co jazda w siodle Iwonie uwłaczała. Ona była kobietą luksusową. Kabriolet – tak, ale szkapa?!

– Czemu nie? – Usłyszał odpowiedź Oliwii. – Kocham konie. Opiekowałam się nimi. Umiem jeździć, więc...

– Musielibyśmy... – urwał, po czym odchrząknął i dokończył: – Musielibyśmy jechać razem. Mam tylko tę jedną klacz.

– Co za problem? Nie jestem zbyt ciężka.

Dziewczyna podeszła do klaczy, wygrzebała z kieszeni jakiś smakołyk – w tym

momencie Nataniel uwierzył jej, że pracowała z końmi, bo tylko koniarz zawsze znajdzie w kieszeni coś dobrego dla czworonożnych przyjaciół – i poczęstowała nim Śnieżkę.

– Okej – odezwał się chłopak. – Przygotuję ją, a ty powiedz Marcie, że wrócimy nieco później. Droga do kościoła zajmie trochę czasu.

Skinęła głową i pobiegła do domu.

Nataniel dopinał sprzączki ogłowia, gdy Oliwia stanęła w drzwiach stajni. Pogłaskała klacz po miękkich chrapach, patrząc na chłopaka w zamyśleniu.

– Twoja noga. To po wypadku?

Mruknął coś niezrozumiałego. Uznała to za potaknięcie.

– Właściwie powinniśmy zostać w domu – odezwał się chwilę później. – Pasterka zaczyna się za pół godziny. Dotrzemy do kościoła w połowie, jeśli nie pod koniec. Jeżeli zależy ci na mszy, możemy...

– Zależy mi na odwleczeniu tego, co nieuniknione – odparła cicho, uciekając wzrokiem pod uważnym spojrzeniem Nataniela. – Przyjechałam na chwilę, chciałam zobaczyć się z matką i zniknąć, tym razem na zawsze. Nie zamierzałam zostawać tu choćby minutę dłużej, niż to konieczne, ale... ty zmieniłeś wszystko.

– Niczego nie zmieniłem – uciął stanowczo. – „Dzieci zawsze wracają do domu”, to słowa twojej mamy. Czekala na ciebie każdego dnia. Tęskniła i cierpiała, jak tylko matka tęsknić i cierpieć może. Ty też zapewne...

– Nie – wpadła mu w słowo. – Ja nie chciałam jej znać. Naprawdę ją znienawidziłam, ale ty to zmieniłeś.

Wzruszył ramionami.

– Jak sobie chcesz. Jeśli dzięki temu obie możecie być szczęśliwe... – Zawiesił głowę, wyciągnął do dziewczyny rękę i pomógł jej wsiąść na grzbiet białej klaczy.

– Tak na oklep? Bez siodła? – zdziwiła się Oliwia, zbierając wodze.

– Śnieżka jest bardzo spokojna, a nam będzie wygodniej – odparł i usiadł za nią.

Klacz ruszyła do bramy.

Dziewczyna oddała wodze Natanielowi i wtuliła się weń całym ciałem. Można było pomyśleć, że boi się upadku, ale to było co innego, raczej chęć poczucia bliskości.

Droga przez cichy, ośnieżony las była bajkowa...

– Powiedz mi teraz, o czym marzyłaś, nadstawiając dłonie po gwiazdkę z nieba, a potem... co nieuniknionego chciałaś odwlec tą wyprawą – zaczął Nataniel.

– Rozstanie – odparła po prostu. – Myśl sobie o mnie, co chcesz, ale przyjechałam tu tylko po pieniądze. Chciałam, właśnie w Wigilię, by mocniej zabolalo, spotkać się z matką i, gdy nabierze nadziei na pojednanie, na, jak to powiedziałeś, „powrót pisklęcia do gniazda”, zażądać od niej pieniędzy. Za parę dni lecę do Stanów. Dostałam dobrą pracę przy koniach. Wyjeżdżam na zawsze.

– Rozumiem – odmruknął chłopak, czując w głębi serca rozczarowanie. Nie tylko słowami dziewczyny, że chciała zranić matkę jeszcze bardziej, niż to zrobiła, lecz tym, iż ledwo pojawia się w jego życiu, już znika. Cóż... taki widać los.

– Ale ty to zmieniłeś – powtórzyła uparcie.

– Mnie poprosisz o forszę na wyjazd? – zażartował. – Sorry, ale nie jestem bogaty z urodzenia.

Zaśmiała się, odwróciła ku niemu i zadrżała mu w oczy.

– Masz dom nad jeziorem, masz śliczną córeczkę, masz piękną klacz półkrwi. Czegóż jeszcze trzeba?

– Zgadza się niemal wszystko, oprócz tej córeczki. Mówiłem, że to dziecko... znajomej. Poprosiła, bym się Emilką zaopiekował, więc...

– Musiała to być bardzo bliska znajoma. Bardzo, bardzo bliska.

– Była – uciał, pochmurniejac. – Z naciskiem na czas przeszły, panno ciekawska.

– Ej, nie obrażaj się! – Szturchnęła go po przyjacielsku w żebra. – To zrozumiałe, że normalna dziewczyna, spotykając takiego przystojniaka jak ty, chce wiedzieć o nim wszystko.

Prychnął, nie bardzo wiedząc, czy ona kpi sobie z niego, czy choć trochę mówi poważnie.

– Jakbyś nie zauważyła, utykam. Jestem kuternogą, jak to określają we wsi.

– No i? To wpływa jakoś na twoje życie?

Spojrzał na Oliwię z niedowierzaniem. Teraz na sto procent z niego kpi! Ale ona nie dała mu powiedzieć nawet jednego oburzonego słowa.

– Wiesz, gdybyś tej nogi nie miał, wtedy mogłabym zrozumieć, że jest ci trudniej niż innym. Ale poruszasz się normalnie, mieszkasz sam, nie wymagasz specjalnej opieki, prowadzisz samochód, od dziś zajmujesz się kilkuletnim dzieckiem... Wyjaśnisz mi, jaki problem masz z tą swoją nogą? Czy raczej ze sobą? Sorry, Nataniel, ale facetowi z takim wyglądem przyda się choć jeden skromny kompleks.

Parsknął śmiechem, słysząc jej ostatnie słowa. Po prostu nie mógł się powstrzymać. I był to szczerzy śmiech. Bez krzty ironii. Dawno nie spotkał dziewczyny, która w jednym zdaniu potrafiła uraczyć cię przyganą i komplementem.

– Jakoś nigdy nie odbiła mi palma na punkcie mojego wyglądu – odezwał się. – Może inaczej: zanim mi odbiła, miałem tamten wypadek. I po palmie. Owszem, na co dzień radzę sobie całkiem nieźle i kalectwa niemal nie zauważam, ale są chwile... nie chwile, a dni, kiedy... jest ciężko.

Aż się wzdrygnął na wspomnienie bólu, który potrafił odbierać zmysły. Co się stanie, kiedy wróci? Nataniel nie był już sam. Nie mógł zapić cierpienia butelką wódki, zagryźć garścią prochów. Miał dziecko, którym musiał się zająć, czy chora noga pozwala żyć czy nie.

– Muszę ją oddać – odezwał się półgłosem. – Emilkę – dodał, widząc pytanie w oczach Oliwii. – Ona nie może tu zostać. Nie ze mną. – W jego głosie zabrzmiała panika, bo nagle poczuł, poczuł każdym nerwem, że jego zmora, jego osobisty kat, właśnie nadciąga. Bliskość dziewczęcego ciała, niedostępnego ciała, a może słowa Oliwii, obudziły demona, który lada moment wbije kły w pobliznione mięśnie.

Nataniel poczuł zimny dreszcz spływający po kręgosłupie.

– Musimy wracać. – Szarpnął za wodze.

Śnieżka posłusznie skierowała się w drogę powrotną. Oliwia chwyciła chłopaka za rękę.

– Nataniel, co się stało? Powiedziałaś coś nie tak? Przepraszam. Naprawdę nie chciałam cię urazić. – W jej głosie zabrzmiały błaganie i przestrasz.



Ale Nataniel nie odpowiedział. Zacisnął zęby z całych sił i ponaglił klacz do biegu. Dziewczynie nie pozostało nic innego, niż wtulić się w chłopaka i próbować nie spaść z końskiego grzbietu.

– Przepraszam! – spróbowała raz jeszcze, ale on warknął tylko: – Zamilcz – i... ściągnął gwałtownie wodze.

Śnieżka wryła się kopytami w śnieg. Nataniel zsunął się z jej grzbietu, wsparł o koński bok i zacisnąwszy powieki, oddychał szybko i płytko. Musiał zatrzymać konia, chociaż do domu było najwyżej pięćset metrów, bo lada chwila by zemdłał.

– Nataniel, co ci jest?! – Usłyszał jak przez mgłę przerażony głos dziewczyny.

Gdy poczuł jej dłoń na ramieniu, aż się wzdrygnął. Nie z odrazy, z bólu. W takiej chwili jak ta całe jego ciało było jednym wielkim cierpieniem, krzyczała każda komórka.

– Boli mnie noga – wykrztusił z trudem. – Bardzo. Idź do domu, poproś Martę o zastrzyk. Będzie wiedziała...

– Nie zostawię cię samego w środku lasu! Nie ma mowy! – Oliwia, potrząsnęła go za ramię, a on krzyknął z bólu. I zaklął.

Cofnęła dłoń. W jej oczach rozblęły łzy. Nie wiedziała, co robić, jak mu pomóc, ale jednego była pewna: nie może go tu zostawić.

– Możesz iść? Powoli, ale iść? – zapytała z nadzieją.

– Ledwo oddycham, a ty mnie pytasz...

– Wesprzyj się na mnie. Pójdziemy do domu.

Delikatnie zarzuciła sobie jego ramię na szyję, objęła go w pół i zrobiła krok naprzód. Ale Nataniel nadal zaciskał palce na grzywie Śnieżki, wiedząc, że gdy je rozewrze, po prostu upadnie.

– Nataniel, proszę, chodźmy. Nie możemy tu zostać. – Głos Oliwii nabrzmiał łzami.

– Idź sama! – warknął. – To blisko! Droga jest prosta!

– Nie mogę cię zostawić, nie rozumiesz?! Tak nie wolno! Możesz stracić przytomność, ja zabłądzę, a wtedy umrzesz! Nie pozwolę ci na to, nie po raz drugi! Już raz mało nie zwariowałam, obwiniając się o twoją śmierć, nie rób mi tego powtórnie, Nataniel. Proszę...

Objęła dłońmi jego twarz, bladą jak śmierć, ściągniętą cierpieniem, odgarnęła z czoła chłopaka zlepione zimnym potem włosy, zajrzała w pociemniałe z bólu oczy i pocałowała go w usta, ledwie muskając jego wargi.

– Zostanę z tobą, dobrze? Ból minie, musi minąć. Wtedy razem wrócimy do domu.

Przytaknął. W tej chwili zgodziłby się na wszystko, byle tylko dała mu spokój, pozwoliła upaść na śnieg i czekać... czekać, aż wściekły demon cofnie kły.

Jak długo to trwało? Nataniel nie miał pojęcia. Tak głęboko zapadł się w cierpienie, że stracił poczucie czasu. Wreszcie ból zaczął ustępować.

Otworzył załzawione oczy i rozwarł palce, z całych sił zaciśnięte na drobnej dziewczęcej dłoni. Oliwia dotknęła pytająco jego policzka. Kiwnął głową, niezdolny do wykrztuszenia choćby słowa. Długie minuty tkwił bez ruchu, z opuszczonymi ramionami, jeszcze drżącymi od łkania, którego nie potrafił powstrzymać. Patrzył na przekłętą kończynę, unikając wzroku Oliwii. We własnych oczach był godnym pożałowania,

zapłakanym, zasmarkanym kaleką. Jak w tej chwili postrzegala go dziewczyna?

– Nadal twierdzisz, że to nie ma wpływu na moje życie? – odezwał się cicho. – Że ten mały kompleks przyda się takiemu przystojniakowi?

– To było straszne – wydusiła. – Nie mogłam patrzeć na twoje cierpienie, jak więc trudno było tobie? Często... często się to zdarza?

– Tak – uciał krótko.

Nie miał zamiaru dodawać, że gdy była przy nim Iwona, zapomniał, co to ból. Ona wyleczyła go ze wszelkich kompleksów. Ale odeszła. A jego osobisty demon wrócił. I nie było dla Nataniela nadziei...

– Możesz wstać? Cały jesteś mokry. – Oliwia podniosła się, sama przemarznięta na kość, i ujęła Nataniela pod ramię.

Podniósł się z trudem, słaby jak dziecko. Tydzień temu leżałby w swoim łóżku, otumaniony alkoholem. Dziś musiał jeszcze dojść do domu... Zaciśnął palce na grzywie Śnieżki, która przez cały ten czas stała bez ruchu obok, zrobił jeden krok i chora noga się pod nim ugięła. Gdyby nie ramię Oliwii, podtrzymujące go w pasie, runąłby z powrotem w śnieg.

Pokręcił głową, wściekły na siebie i zażenowany do granic.

– Poczekaj, może uda mi się pewna sztuczka... – Oliwia puściła go, stanęła przed Śnieżką i zaczęła szeptać coś do słuchającej uważnie klaczy. Jedną dłoń położyła na jej czole, drugą na kłębie i naciskając coraz mocniej, nakłoniła Śnieżkę do ugięcia przednich nóg, a potem do położenia się.

Oliwia obejrzała się na chłopaka i uśmiechnęła z triumfem.

– Widzisz?! Zapraszamy obie!

Pomogła mu wsiąść na koński grzbiet, a gdy trzymał się na nim w miarę pewnie, Śnieżka wstała. Oliwia ujęła wodze i ruszyła leśną drogą tam, gdzie niczego nieświadomi Marta z Mateuszem spokojnie oczekiwali powrotu dwojga młodych.

– Nie mów im, co się stało – poprosił Nataniel, gdy zbliżali się do chaty.

– Będą pytali, jak nam się pasterka podobała – zauważyła Oliwia.

– Coś wymyślę – odmruknął.

– Przecież o tym wiesz. – Wskazała jego chorą nogę. – Miałeś chyba atak przy mamie, skoro prosiłeś o zastrzyk.

– Miałem. Ale nie chcę by dziś, w Wigilię, się o mnie martwiła. Ona i Mateusz. Jutro... albo pojutrze... tak, wtedy wróci codzienność i trudno będzie mi się z tym kryć, ale dzisiaj...

Oliwia niechętnie skinęła głową. Prawdę mówiąc, chciała wykrzyknąć na cały świat, jak wspaniale sobie poradziła. Została z cierpiącym człowiekiem, nie wpadła w panikę, nie opuściła go. Potem wykorzystała swoje umiejętności i zmusiła klacz do współpracy, oszczędzając Natanielowi długiej wędrówki na piechotę i dalszych katuszy. Tak, Oliwia dała radę! Z zadowolonym uśmiechem spojrzała w górę, na chłopaka. On jednak patrzył przed siebie. Usta miał zaciśnięte w wąską kreskę, zupełnie jakby się na dziewczynę gniewał, zamiast być wdzięczny. Rozczarowana odwróciła wzrok.

W milczeniu dotarli do chaty. Klacz skierowała się do stajni. Nataniel zsunął się z jej grzbietu, podziękował spojrzeniem Oliwii i po chwili zniknął za drzwiami domu,

zostawiając ją na podwórzu. Podeszła do klaczy, rozpięła sprzączki tranzelki, zdjęła ogłowie, powiesiła na haku obok siodła, otworzyła drzwiczki boksu i przez chwilę patrzyła, jak Śnieżka wita się ze stęsknionym kucykiem.

Ona sama nie mogła się jednak długo kryć w stajni. Musiała wrócić do chaty i spojrzeć Natanielowi prosto w twarz. Może uda się jej ukryć, jak bardzo jest rozczarowana... Jak daleko rzeczywistość rozminęła się z marzeniami... Jeśli jeszcze godzinę temu miała nadzieję, że właśnie dostała gwiazdkę z nieba, teraz rozwierała dłonie. Były puste.

## ROZDZIAŁ III



P

przed bystrym wzrokiem doktor Kraszewskiej niewiele dało się ukryć. Wystarczyło jedno spojrzenie na poszarzałą twarz Nataniela, na przygasłe oczy i zaciśnięte usta, by Marta wiedziała, że coś jest nie tak.

– Co się stało? – Podeszła do chłopaka, gdy ten wieszał kurtkę w sieni. – Gdzie Oliwia?

– Oporządza Śnieżkę – odmruknął.

Podszedł do kuchni, zanurzył chochelkę w garnku z kompotem z suszu i nalał sobie gorącego płynu do kubka. Usiadł przy stole i wypił od razu połowę, żeby choć trochę się rozgrzać, ale ręce, zaciśnięte na kubku, nadal drżały. Marta ponad jego głową wymieniła spojrzenia z Mateuszem.

– Jak tam pasterka? – zapytał ostrożnie mężczyzna.

– Wybraliśmy spacer przez las. Rzęch Jarząbków nie odpalił, więc pojechaliśmy konno i cóż... uznałem, że do kościoła jest za daleko. – Umilkł. Tyle wyjaśnień powinno im wystarczyć.

– I udany był ten spacer? – Mateusz nie dał jednak za wygraną. – Przepraszam, że dopytuję, przyjacielu, ale wyglądasz, jakby ci matka umarła.

– Bo umarła! – Wybuchnął Nataniel. – Nie żyje od roku!

– Tak, przepraszam, niezręcznie się wyraziłem, przepraszam, Nat. – Mężczyzna, zmieszany, aż cofnął się na krześle. – Po prostu...

– Daj mi spokój! – odwarknął chłopak. – Jestem zmęczony. Chciałbym się położyć i...

Mógł sobie chcieć... Jego sypialnię zajmowała Emilka, a na wersalce rozgościła się Marta. Nie wiadomo, czy tej nocy w ogóle będzie miał gdzie głowę przytulić.

Marta też o tym nagle pomyślała. Ona miała nocować u Mateusza, ale pojawienie się Oliwii zmieniło wszystko. Spojrzała bezradnie na mężczyznę.

– Dasz mi klucze do dworku?

On pokręcił głową.

– Tam nie jest napalone. Zamarzniecie na śmierć, zanim choć jeden pokój się nagrzej. Nie puszczyć was do dworu.

– To gdzie się podziejemy? Może u Siergieja? – Teraz patrzyła na Nataniela, bo on miał klucze do siedziby Sodarowa.

– To samo, co z dworem – odparł chłopak, pochmurniejac jeszcze bardziej. Naprawdę marzył, by wszyscy sobie poszli, najlepiej zabierając dziecko, i dali mu spokój. – Zostaniecie z Oliwią tutaj, u mnie, ja przenocuję w leśniczówce, jeśli Mateusz nie ma nic przeciwko temu. Jutro zastanowimy się, co dalej.

– Do mnie jest spory kawał. – Mężczyzna posłał Natanielowi niespokojne spojrzenie. – A ty wyglądasz na ciężko chorego...

– Nic mi nie jest! – uciął gniewnie. – Idziemy? – Wstał, chociaż chora noga ostro zaprotestowała, i utykając bardziej niż zwykle, ruszył do drzwi.

Zderzył się w nich z Oliwią.

– Śnieżka jest ogarnięta. Wytarłam ją do sucha, dorzuciłam siana... – Urwała, widząc, jak on nakłada kurtkę. – Wychodzisz gdzieś? Po tym, co się stało?

– A coś się stało? – podchwyciła Marta, materializując się przy nich nagle. W jej oczach, gdy patrzyła na tę dwójkę, Oliwię i Nataniela, było tyle nadziei...

Córka posłała jej ostre spojrzenie, chłopak odwrócił wzrok.

– Ruszajmy, jeśli chcemy złapać trochę snu – rzekł do Mateusza.

Minął Martę, minął Oliwię i wyszedł w noc tak mroźną jak sześć lat temu. Jeszcze tylko gór i śnieżycy brakowało...

Starszy mężczyzna narzucił na ramiona ciepły kożuch i dołączył do niego.

– Śliczna dziewczyna z tej naszej Oliwii – zagaił Mateusz, gdy światła chaty zniknęły za drzewami.

– Tak. Bardzo ładna – odmruknął chłopak.

– Gdy wychodziliście na pasterkę, wydawało się, że jesteście szczęśliwi. Spotkanie po latach... oboje życie...

– Nadal się z tego cieszę.

– Nie wyglądasz...

Nataniel zatrzymał się w pół kroku.

– Zdażyliście nas już wyswatać? Na zapowiedzi daliście?

– Na zapowiedzi może i nie... – Mateusz, gdyby nie włożył ciepłej czapki, podrapałby się zafrasowany po głowie. Co ugryzło tego chłopaka? Nawet po pijanemu bywał miłszy. – Ale po prawdzie: pasujecie z Oliwią do siebie. Myślałem...

– Nie pasujemy – uciął Nataniel. – Ja nie jestem tak okrutny jak ona.

Mężczyzna uniósł brwi. Zaskoczony i zaciekawiony zarazem.

Nataniel, powiedziawszy „a”, musiał powiedzieć również „b”.

– Wiesz, dlaczego Oliwia wróciła do Sennej? Właśnie dzisiaj? – zaczął, z trudem panując nad gniewem. Mateusz zaprzeczył. – Żeby jeszcze bardziej zranić matkę. Wybrała akurat Wigilię, by powiedzieć Marcie, że wyjeżdża na stałe do Ameryki i potrzebne jej są pieniądze. Wiesz, Mateusz, ja rozumiem, że można kogoś nienawidzić. Rozumiem, że można nienawidzić nawet bez powodu, chociaż Marta najmniej na to zasługuje. Ja sam z całego serca nienawidzę bandziorów, którzy zabili mi mamę. I pieprzę gadkę o wybaczeniu wrogom. Wybaczyć można zarysowanie auta na parkingu, no dobra, może kiedyś wybaczę Siergiejowi i Iwonie to, co zrobili nam wszystkim, ale zaszczucie

jednej kobiety na śmierć i spalenie żywcem drugiej? Nie. Chyba nie będziesz ode mnie wymagał, bym odpuścił tym skurwielom? Mścić się nie mogę, ale wmawiać sobie, że wybaczam, nie będę.

– Przecież rozumiem – odrzekł zduszonym głosem starszy mężczyzna. – Nikt...

Lecz Nataniel nie potrzebował jego słów, a uwagi. Pragnął, by Mateusz wysłuchał go do końca.

– Wiem więc, co to znaczy nienawidzić, ale Marta w tym wszystkim jest zupełnie niewinna. Ona nie popełniła żadnej zbrodni. Obwinia się o śmierć dziecka, chłopczyka, u którego nie rozpoznała w porę śmiertelnej choroby, ale nie jest winna wypadkowi sprzed sześciu lat! Oliwia próbowała mi wytłumaczyć, dlaczego znienawidziła matkę, ja próbowałem to zrozumieć. Świadomość, że mój błąd kosztował czyjeś życie, dla mnie samego była nie do zniesienia. Młodej, osiemnastoletniej dziewczynie to, że wysłała na śmierć człowieka, po prostu złamało życie. Żeby nie oszaleć, musiała znaleźć kozła ofiarnego. Matkę. I tu jestem w stanie Oliwię usprawiedliwić. Lecz nic nie tłumaczy zwykłego, podłego okrucieństwa. Przyjeżdżać w Wigilię, dając matce nadzieję na pojednanie, żeby na koniec wyciągnąć od niej pieniądze i rzucić w twarz, że nie chce się jej więcej widzieć? Nie, Mateusz, nie chcę znać takiej osoby.

Dla podkreślenia tych słów pokręcił głową.

– To jeszcze dzieciak – odparł mężczyzna, ale bez przekonania. Oliwia miała dwadzieścia pięć lat. Nie była już dzieckiem. – Z czasem zmądrzeje...

– Niech sobie mądrzeje. Ja nie muszę w jej dorastaniu uczestniczyć.

Mateusz szedł obok chłopaka w milczeniu, lecz musiał się w końcu odezwać:

– Nat, szczerze? Myślę, że te wszystkie słowa, gorzkie i pełne żalu, tyczyły się Iwony, a nie Oliwii.

Chłopak posłał mu wściekłe spojrzenie, ale Mateusz nic sobie z jego spojrzeń nie robił.

– Tamta cię wykorzystała, zdradziła, złamała ci serce i naraz, jakby nigdy nic, przysłała córeczkę na wychowanie. To doprawdy...

– To wyraz największego zaufania.

– Raczej bezwzględności. I niewzruszonej wiary w twoją naiwność.

Nataniel ponownie się zatrzymał. Zmrużył ze złością oczy i wycedził:

– Iwona dała mi mnóstwo szczęścia, a teraz powierzyła swój największy skarb. Swoją córeczkę.

– I z tego szczęścia zapileś się niemal na śmierć? Co do córeczki: nie mam pojęcia, jak sobie poradzisz z tym skarbem. Ja bym się nie podjął wychowania dziecka, o którym nie wiem nic. Zupełnie nic. Gdzie jest jej ojciec? Czemu on się nią nie zajmie? Gdzie są dziadkowie? Ktokolwiek, kto zna Emilkę lepiej niż ty? Ujrzałeś ją dziś po raz pierwszy w życiu i masz się nią zaopiekować do czasu, gdy jej matka wyjdzie z więzienia. Jesteś pewien, że potrafisz sprostać temu zadaniu?

– Niczego nie jestem mniej pewien jak właśnie tego – wycedził w odpowiedzi Nataniel – ale co mam, według ciebie, zrobić? Oddać dziecko do sierocińca?

– Poszukać rodziny tej dziewczynki.

– Iwona razem z dzieckiem przysłała mi list... – Urwał.

Już miał powtórzyć, że Emilka nie ma na świecie nikogo, tylko matkę, gdy pamięć podsunęła mu usłudnie – i wrednie – że rodzona ciotka dziewczynki, a siostra Iwony, odmówiła zajęcia się nią. „Nie będę wychowywać twojego bękarta”, tak miała się wyrazić. A skoro była jakaś siostra, to byli również rodzice. Dziadkowie Emilki. Oni również odrzucili dziecko tylko dlatego, że było „bękartem”? Skazali małą dziewczynkę na poniewierkę po obcych, bo własna córka ich zawiodła? Rozczarowała?

Skoro zaś rodzina Emilki nie chciała się nią zająć, dlaczego zrobił to on, Nataniel? I to bez wahania?

– Myślę, że liczysz na jej powrót – odpowiedział na niezadane pytanie Mateusz. Cicho i z bólem, ale odpowiedział. – Masz nadzieję, że Iwona wyjdzie po odsiadce i przez wdzięczność do ciebie wróci.

Nataniel poczuł łzy napływające do oczu. Odwrócił gwałtownie głowę, by mężczyzna ich nie dojrzał.

– Na nic nie liczę i nie mam żadnych nadziei – rzucił, ale w duchu musiał przyznać przyjacielowi rację.

Nadal kochał Iwonę i rozpaczliwie za nią tęsknił. Gdyby w tej chwili stanęła przed nim, poprosiła o wybaczenie i przyrzekła, że nigdy więcej go nie zdradzi... Przyjąłby ją z powrotem, bardziej chętnie, niż sam to przed sobą przyznawał. Jak chętnie, poczuł w łędzwiach na samo wspomnienie tej kobiety.

Ruszył w dalszą drogę. Nie chciał dłużej o tym myśleć. Nie chciał zastanawiać się, co by było, gdyby...

Iwona zrobiła to, co zrobiła, dokonała wyboru. I to niejednego. Była oszustką. Dostała wyrok w zawiasach. Mimo to, ryzykując więzieniem i unieszczęśliwieniem dziecka, nadal okradała ludzi tak naiwnych jak on. Nie zasługiwała na współczucie. Na miłość także nie.

– Jak myślisz, Marta zostanie w Sennej? – Cichy głos Mateusza, wypełniony takim samym bólem, jaki czuł w tej chwili Nataniel, sprawił, że młody człowiek otrząsnął się z własnych pełnych rozpaczmyśli.

Nie on jeden został zdradzony. Nie tylko jego porzucił ktoś, kogo kochał. Mateusza, który stracił swoją miłość przez Iwonę i Siergieja, przepełniała ta sama rozpacz.

Zwolnił kroku. Poczekał, aż przyjaciel zrówna się z nim.

– Tak sobie pomyślałem – zaczął Mateusz – gdy widziałem ciebie z Oliwią tam, w kuchni, jeszcze zanim wyszliście na tę nieszczęsną pasterkę... Tacy szczęśliwi, rozpromienieni... I ona zapatrzona w ciebie jak w obraz... Pomyślałem sobie, że mogłaby tu zamieszkać, a wtedy Marta zostałaby na pewno. – W tym momencie posłał chłopakowi błagalne spojrzenie.

– Proszę, Mateusz, nie rób mi tego – odezwał się Nataniel zduszonym głosem. – Nie mogę... nie chcę... Mam ją w sobie rozkochać, byś ty raz czy dwa razy dziennie mógł popatrzeć na Martę Kraszewską? Gdybyście jeszcze przed tym wszystkim byli parą... – Urwał i mało nie palnął się w usta, widząc, jak przyjaciel zaciska szczęki w bezsilnym gniewie.

No tak. Tych słów mógł Mateuszowi oszczędzić. On kochał Martę całym sercem. Dla niego codzienne spotkania, choćby mógł sobie tylko na Martę popatrzeć, pogadać

z nią, pożartować i przytulić na pożegnanie, były wszystkim. Dla owych ulotnych chwil budził się co rano i z nadzieją, że jutro również ją zobaczy, kładł się spać.

W całym tym szaleństwie, w którym młody mężczyzna żył przez ostatnie miesiące, umknęło mu, że oprócz ich dwojga – Marty i Nataniela – ktoś jeszcze został zraniony i cierpi równie mocno. Jeżeli oni nie mogą być szczęśliwi, może chociaż Mateusz...?

– Przepraszam. – Uścisnął ramię przyjaciela. – Masz rację. Jeżeli Oliwii spodoba się w Sennej, Marta z nią zostanie. Musimy sprawić, by się spodobało.

Mateusz ze smutnym uśmiechem poklepał go po dłoni.

– Wiesz, chłopcze, są różne rodzaje samotności. Samotność we dwoje, gdy budzisz się każdego ranka u boku kogoś, kto staje się coraz bardziej obcy... Samotność w tłumie, gdy żyjesz otoczony ludźmi, których nie interesujesz i którzy także tobie są obojętni... Samotność z wyboru, gdy uciekasz przed światem do leśnej głuszy, jak moja chata, dworek Marty czy ranczo Sodarowa... Ta staje się ukojeniem dla ludzi znękanych losem, skrzywdzonych przez innych. Tak, to może się spodobać. Ale jest pewien rodzaj samotności najtrudniejszej do zniesienia: gdy chcesz być z kimś, kogo kochasz nad życie, lecz nie możesz. Nie wolno ci albo ten ktoś ciebie nie chce... To bardzo trudne, Nat, bardzo... Trzymać się życia, wiedząc, że ono nic dla ciebie już nie ma. Dlatego chciałbym zachować chociaż tę namiastkę. Jeśli nie miłość Marty, to może jej obecność, jej przyjaźń. Ty pewnie nie rozumiesz, za młody jesteś, by doświadczyć tak dogłębnej, przejmującej samotno...

Urwał, słysząc śmiech młodego mężczyzny, w którym nie było za grosz rozbawienia.

– Mówisz to dwudziestosiedmioletniemu facetowi, który rok temu pochował matkę, parę lat wcześniej ukochaną babcię, który ojca i dziadka nie poznał nigdy, a dziewczyna, którą odważył się pokochać, zdradziła go z pierwszym lepszym? – Znow się zaśmiał. – Co ja wiem o samotności...

Ruszył przed siebie, utykając mocno.

Mateusz dogonił go, odwrócił do siebie.

– Wybacz, Nat. Patrzę na twoją młodą, pogodną zazwyczaj twarz, na jasne, dobre oczy i zapominam czasami, przez co przeszedłeś. Nie ma w tobie goryczy i złości na cały świat, jak w nas, starych.

Uśmiech Nataniela – jeszcze przed chwilą pełen właśnie złości i goryczy – złagodniał.

– W tobie też nie – odparł, patrząc w łagodne oczy przyjaciela. Mateusz mógł mówić, co chce, ale on też oparł się fali nienawiści zalewającej świat. – I nie jesteś stary, na miłość boską! Wiem, wiem, mógłbyś być moim ojcem, ale to samo może o sobie powiedzieć każdy facet po czterdziestce, jeśli odpowiednio wcześniej zaczął. Żaden to dla mnie argument. Większość tych facetów chciałaby w twoim wieku wyglądać tak jak ty. Nie powtarzaj więc również, że życie niczym cię już nie zaskoczy. Może i dla ciebie ma w zanadrzu niespodziankę podobną do tej, co teraz śpi słodko w mojej chacie? I nie mam na myśli Oliwii. Mówię o Emilce.

Znow ruszyli, w zgodzie i bez pośpiechu, drogą do leśniczówki. Noc rozpostarła nad ich głowami skrzydła z czarnego aksamitu, skrzące się miriadem srebrzystych



kryształów. Było cicho i pięknie, jak to w mroźną mazurską noc bywa.

– A wiesz, że chciałbym? – odezwał się Mateusz. – Nie miałbym nic przeciw opiece nad tą kruszyną. Zawsze marzyłem o domu pełnym dzieci. Wyszło, jak wyszło. Gdybyś nie miał co z Emilką zrobić, musiałbyś coś ważnego załatwić w urzędach czy stolicy, wiesz, do kogo się zwrócić. – Wskazał na siebie. – Dyplomowaną nianią nie jestem, ale dzieci lubię i one mnie lubią. No, nie tyle mnie, co mojego Reksia. Dzieciaki mają słabość do wielkich, włochatych ciapciaków, i tu znów mówię nie o sobie, a o Reksiu...

Nataniel parsknął śmiechem. Cały Mateusz!

– A Reksio uwielbia być tarmoszony za uszy przez małe, lepkie od cukierków łapki.

– Ktoś tu niedawno wspominał o samotności i leśnej głuszy... Skąd w twojej leśniczówce małe lepkie łapki?

– A kto mówi o leśniczówce? – Starszy mężczyzna uniósł komicznie brwi. – Raz na jakiś czas jeździmy z Reksiem na gościnne występy!

Tym razem Nataniel wyglądał na zaskoczonego.

– Dokąd? Słowem o tym nie wspomniałeś...

– Raz w miesiącu kąpię mojego brytana porządnie, czeszę, robię mu manikiur, bo pazury musi mieć krótkie i gładkie, i zabieram go do ośrodka dla niewidomych. Dzieciaki nie mogą zobaczyć, jaki jest wielki, bez strachu więc przytulają się do Reksia, głaszczą go, obejmują, całują... Cudny widok! A mój brytan odwzajemnia się im całym kochającym psim sercem. Uwielbia wizyty w tym ośrodku, a tam uwielbiają jego.

Chłopak patrzył na przyjaciela ze zdumieniem w oczach i jeszcze czymś: na pewno ze wzruszeniem, ale i... podziwem? Po tym dobrodusznym, a jakże, ale zamkniętym w sobie mężczyźnie nie spodziewał się takiego odruchu serca. Już prędzej wysyłania paru złotych na konto ośrodka. Szybko i wygodnie. Wystarczająco, by poczuć się dobrym człowiekiem. On sam, ilekroć mógł sobie na to pozwolić, wspomagał akcje charytatywne. Ale kąpać co miesiąc wielkiego brytana, by przez godzinę czy dwie bawił niewidome dzieci? Nie każdego stać było na tyle wysiłku i taki gest... A przecież kosztował prawie nic. Ot, szampon dla psa i pięć dych na benzynę. Jednak dla dzieci wartość tych paru godzin z przyjaznym, kochającym zwierzakiem była niewymierna. Bezcenna.

– Błagam cię, Nat, nie patrz na mnie jak na świętego! Sam bym nie wpadł na ten pomysł, Marta mnie natchnęła. I, Bogiem a prawdą, nie zawsze chce mi się użerać z Reksiem, który kąpieli szczerze nie znosi, a ja, szczególnie teraz, zimą, mam do niego jeszcze mniej cierpliwości. Ale dzieci czekają. Mają specjalny kalendarz, w którym odliczają dni do naszych spotkań. Nie moglibyśmy ich zawieść. Dlatego Emilkę możesz mi spokojnie podrzucać. Będzie w dobrych rękach. I łapach. To o Reksiu.

Nataniel zaśmiał się ponownie.

– Domyśliłem się. Ale naprawdę mnie zaskoczyłeś. Jesteś najlepszym facetem i najwspanialszym przyjacielem, jakiego spotkałem w życiu...

W oddali błysnęło światło. To lampa, paląca się co noc na ganku leśniczówki, wskazywała drogę wędrowcom, obiecując spokojną przystań, żarzące się węgle w kominku i ciepłą herbatę z sokiem malinowym, który Mateusz trzymał dla przyjaciół.

– Ty też, Nat, ty też – odparł ciepło starszy mężczyzna. – Może miewasz chwile załamania, łapiesz doły, jak to mówi młodzież, ale charakter masz prawy, jak gadają z kolei wapniaki. Chodź, przytulimy głowy do poduszek, złapiemy parę godzinek dobrego, zdrowego snu, a nad ranem pomyśli się, co zrobić z resztą życia.

To był dobry pomysł i kusząca propozycja po dniu pełnym skrajnych uczuć i niespodzianek, jakich nie powstydziliby się najbardziej pomysłowy ze Świętych Mikołajów.

## ROZDZIAŁ IV



Bardzo podobną rozmowę, co dwaj zaprzyjaźnieni mężczyźni w drodze do zasypanej śniegiem leśniczówki, przeprowadziły matka z córką. Tylko ta rozmowa była znacznie mniej przyjazna...

– Zmęczona jesteś? – raczej stwierdziła, niż zapytała, Marta, patrząc na wymizerowaną twarz Oliwii.

Pragnęła chwycić swoje ukochane, jedyne dziecko w ramiona, przytulić z całych sił, poczuć drobne plecy pod stęsknionymi dłońmi i ręce Oliwii obejmujące ją równie mocno, ale nie miała pewności, czy córka życzy sobie tego samego. Jeszcze kilka godzin wcześniej nienawidziła matki całym sercem przeciw...

To ostrożne pytanie: „Zmęczona jesteś?”, miało być pierwszym kamieniem zasypującym przepaść, jaka otworzyła się między nimi sześć lat temu. Dziś Marta знаła przynajmniej powód, dla którego Oliwia się od niej odwróciła. Dziś mogła mieć nadzieję, że to, co je rozdzieliło – śmierć młodego człowieka, do której nigdy nie doszło – może na powrót je zbliżyć, dzięki temu człowiekowi zresztą.

– Nataniel to miły chłopak – zaczęła raz jeszcze, bo córka zbyła jej pytanie wzruszeniem ramion.

Marta przeraziła się, że jej wysiłki są na nic, Oliwia nie chce rozmawiać i w gruncie rzeczy nic się między nimi nie zmieniło, ale dziewczyna nie sięgnęła po torbę podróżną, która nadal stała w sieni, tak jak ją upuściła na widok Nataniela, nie wyciągnęła pizamy i szczoteczki do zębów, żeby udać się na spoczynek. Podeszła za to do kuchenki, na której parował od gorąca kompot z suszu – Marta pomyślała o dwojgu młodych i tuż przed ich powrotem wstawiła garnek na niewielki płomień – naląła sobie pełen kubek pysznie pachnącego płynu i usiadła w fotelu, podwijając nogi. Żeby odwlec rozmowę z matką, zaczęła popijać kompot małymi łykami.

Marta usiadła przy stole, odkroiła kawałek makowca i bez apetytu, nie będąc pewna, czy Oliwia w ogóle pragnie zasypywania jakichkolwiek przepaści, zaczęła skubać ciasto.

– Wydajecie się wszyscy bardzo blisko ze sobą – odezwała się dziewczyna. W jej głosie zabrzmiała nuta zazdrości, może nawet niechęci. – Ja błąkam się po świecie, nie mogąc znaleźć sobie miejsca, gdy tymczasem moja matka obrasta w piórka przyjaźni...

– Mogłaś przyjechać wcześniej. Mój dom jest twoim domem i dobrze o tym wiesz. Prosiłam cię o to tyle razy... Wtedy również miałybyś w Mateuszu i Natanielu dwóch

oddanych przyjaciół – odparła cicho Marta.

Bała się rozdrażnić córkę, bała się powrotu tamtej nienawiści. Rozejm między nimi był tak kruchy... Świeży niczym blizna na ledwo zagojonej ranie.

– Nataniel nie chce mojej przyjaźni. Był dość nieprzyjemny – odrzekła chłodno Oliwia.

– Nataniel? Nieprzyjemny?! To do niego zupełnie niepodobne! – wykrzyknęła Marta cicho, żeby nie zbudzić dziecka, ale z nieudawanym zdziwieniem. – Musiałaś coś powiedzieć...

– Dlaczego od razu mnie o wszystko obwiniasz?! – Krzyk Oliwii był znacznie głośniejszy. I bardziej napastliwy.

– Ciiii...! – szepnęła Marta, oglądając się na przymknięte drzwi sypialni. – Przepraszam. Nie miałam na myśli... Nie zaczynajmy od nowa... Nie w Wigilię... – Głos kobiety brzmiał tak błagalnie, że Oliwia aż się skrzywiła.

Nie cierpiała tego tonu i spojrzenia zbitego psa. Matka mogłaby popracować nad asertywnością, doprawdy.

– Już daj spokój – mruknęła. – Nataniel był całkiem w porządku, dopóki nie dostał tego swojego ataku. Mało na serce nie umarłam, gdy zaczął mdleć i słać się na nogach. Ciemna noc, środek lasu, zimno jak na Syberii, a on mi tu umiera. Pomogłam mu, nie myśl sobie, przecież nie zostawiłabym chorego człowieka bez pomocy, ale zamiast okazać odrobinę wdzięczności... – Urwała. Machnęła ręką.

Marta milczała przez chwilę, przybita jej słowami. Nataniel potrafił zachowywać się odpychająco, gdy dopadł go największy ból. Ona rozumiała to i nie chowała urazy za jego cierpkie słowa, płynące przecież nie ze złej woli, tylko z przeżywanych katuszy, ale Oliwię mógł swoim zachowaniem zrazić, a słowami zranić.

– Nie miej mu tego za złe. Po wypadku w górach pozostała mu niepełnosprawna noga i ból, który my na szczęście możemy sobie tylko wyobrazić. Gdy ciebie naszła migrena, byłaś wyłączona z życia przez kilka godzin, a nawet dni, pomóż sobie swoje cierpienie przez dziesięć, oby tylko, i będziesz miała to, co przeżywa Nataniel. Kiedyś przyznał, że próbował... – Marta pokręciła głową.

Nie wiedziała, czy wyznaniem Nataniela może się dzielić z kimkolwiek, nawet z własną córką. Mateusz być może wiedział albo się domyślał, jak ciężkie chwile ma za sobą ten dwudziestosiedmioletni chłopak, Oliwia może kiedyś zasłuży na zaufanie Nataniela, a wtedy on sam powie jej, do czego zmuszał go ból, co gotów był zrobić, by nie cierpieć już nigdy więcej. Szczególnie po śmierci mamy, którą bardzo kochał. Kochał całym sercem... Marta nieraz zazdrościła w duchu Annie Domoradzkiej tej miłości, bo Oliwia niemal od urodzenia, a na pewno od odejścia ojca, miała dla Marty jedynie chłód w sercu.

– Och, pewnie próbował się zabić z tego wszystkiego. – Dziewczyna machnęła ręką i skrzywiła się lekko, z taką samą pogardą, z jaką parę chwil wcześniej patrzyła w oczy matki. – Typowe dla facetów. Nas boli co miesiąc i nikt się nad nami nie lituje, im zadrze się skórka przy paznokciu i w te pędy biegną do chirurga. A potem na zwolnienie.

Martę zatkało z niemiłego zaskoczenia. I gniewu. Czy to rzeczywiście jej córka,

którą nosiła pod sercem, a potem wychowywała z miłością, najlepiej jak potrafiła, mogła wypowiedzieć tak bezduszne słowa? Odnosząc je do kogoś, kto naprawdę godzien jest współczucia?

– Nataniel cierpi nieco bardziej niż...

– Och, *come on!* Nataniel to, Nataniel tamto. Oczko w głowie mojej matki. Słowem się nie zainteresowałaś, co ze mną się działo przez tych długich sześć lat, za to o Natanielu wiesz wszystko! – Oczy dziewczyny zmieniły się w wąskie szparki, usta wykrzywiły w gniewie.

– Gdybyś zechciała mi opowiedzieć... – odezwała się Marta, znów potulna i pełna poczucia winy.

– I skończ z tym błagalnym tonem, do cholery! Ojciec miał rację: tego się nie da słuchać!

– Ciii...! – Marta ponownie obejrzała się na drzwi, nie tylko w obawie, że pełen złości ton Oliwii obudzi Emilkę, ale że ona, Marta, zaraz się rozplacze. Musiała wziąć głęboki oddech i zamrugać parokrotnie, odpędzając łzy, zanim ponownie spojrzała na córkę. – Po pierwsze: nie przeklinaj, po drugie: nie cytuj swojego ojca. Niewiele pamiętasz z czasów, gdy byliśmy rodziną, a to, co wydaje ci się wspomnieniem, może być wypaczone. Ojciec nigdy się do mnie tymi słowami nie zwrócił.

– Do ciebie może nie, ale żebyś słyszała, co mówił za twoimi plecami... – Oliwia zawiesiła głos, wydymając usta.

Marta nie mogła tego dłużej słuchać. Wstała tak gwałtownie, że potrącony talerzyk z ciastem brzęknął w proteście o filiżankę, podeszła do wersalki stojącej pod oknem i zaczęła ją rozkładać, nie oglądając się na córkę.

– Ty śpisz tutaj. Ja w drugim pokoju – rzekła sucho, wyciągając z pojemnika na pościel zwiniętą kołdrę i dwie poduszki. Poszwy Nataniel trzymał w komodzie w sypialni. Sama je tam – wyprane i wykrochmalone – układała.

Przeszła do sypialni. Błyszczące od łez spojrzenie spoczęło na śpiącej słodko dziewczynce i, jeszcze przed chwilą tak gniewne jak wzrok Oliwii, złagodniało. Serce kobiety wypełniła czułość do nieznanego dziecka, którą jej własne odrzuciło.

Podeszła na palcach do łóżka, pochyliła się i musnęła ustami włoski Emilki. Pachniały płynem do kąpieli i zapachem dziecka, słodkim, kochanym, jedynym w swoim rodzaju...

Oliwia obserwowała matkę przez niedomknięte drzwi i jej wzrok również złagodniał, burza uczuć, z którymi przybyła do tego domu, a które od lat szarpały duszą młodej dziewczyny, powoli cichła.

„Chciałabym choć raz jeszcze...” – myśl ledwie zapłonęła, już zgasła.

Na takie marzenia – by poczuć na policzku czułą dłoń matki – było za wcześnie. A może za późno? Czy mają jeszcze szansę zbliżyć się na tyle, by okazywać sobie miłość? Zwykłą, codzienną miłość matki do córki i córki do matki?

Gdy Marta wróciła i zajęła się powlekaniem kołdry, Oliwia odezwała się pojednawczo:

– Wiesz, ten twój Nataniel byłby całkiem okej... – Marta wołała zamilczeć owo „ten twój Nataniel” – ...gdyby zechciał, oczywiście. Wtedy, w górach, byłam gotowa się

w nim zakochać, serio! Mimo że był sześć lat młodszy niż dziś, wydawał się twardym facetem. Niósł mnie na rękach z taką determinacją... Miał ostry, męski głos, oczy... jakieś takie drapieżne... I był piękny! Naprawdę piękny w kurtce z futrzanym kołnierzem. Aż się rozmarzyłam... – Uśmiechnęła się do wspomnień, które niewiele miały wspólnego z rzeczywistością.

Nataniel może miał ostry głos i drapieżne spojrzenie, ale tylko dlatego, że ratował trójkę głupich, nieodpowiedzialnych smarkaczy ze śmiertelnego niebezpieczeństwa, grożącego także jemu.

– Patrzył na mnie, jakbym była miłością jego życia – ciągnęła dziewczyna. To również miało się nijak do prawdziwych uczuć, jakie nim wtedy szarpały. Były bliższe nienawiści niż miłości. Jednak nastolatce przyciskanej do piersi przez przystojnego ratownika mogły wydawać się czymś zgoła innym. – Naprawdę, gdybym następnego dnia nie dowiedziała się, że zginął, stanęłabym na głowie, żeby go przygruchać.

– Miałaś osiemnaście lat – przypomniała jej chłodno Marta. – Powinnaś była w tamtą noc siedzieć przy wigilijnym stole, w schronisku, bezpieczna. A nie błąkać się w śnieżycę po górach i kokietować przystojnych ratowników. Nigdy sobie nie wybaczę, że puściłam cię na tę wycieczkę z równie nieodpowiedzialnym szczeniakiem jak ty.

Oliwia po swojemu wzruszyła ramionami. Z tamtym chłopakiem, Kamilem, z którym ruszyła w góry po przytulanki, rozstała się zaraz po powrocie do Warszawy. Oboje jak najszybciej chcieli wymazać z pamięci tragedię, do której się przyczynili. Okazało się to niemożliwe, więc ona, Oliwia, zrzuciła ciężar winy na matkę, Kamil zaś wylądował jakiś czas temu na odwyku narkotykowym. Powinna go odnaleźć i powiadomić, że ratownik, który ich ocalił w tamtą piekielną noc, żyje. Nie zginął. Nie muszą dalej żyć ze świadomością, że przyczynili się do jego śmierci.

Właściwie to przez Nataniela Oliwia zmarnowała sześć lat własnego życia. Gdyby nie on, wróciłaby z gór do Warszawy jako zwykła, pełna miłości do świata i ludzi nastolatka... Ale wszystko przed nimi! Oliwia jest wolna, także od nieznośnego obwiniania się, Nataniel tuż obok. Nieco słabowity – bez porównania z tym, jak go zapamiętała – ale nadal bardzo przystojny. Wystarczy parę kobiecych sztuczek, uśmiech, miłe słowo i...

– Co z nami będzie? – odezwała się na głos.

Marta, odłożywszy powleczone poduszki, spojrzała na córkę pytająco.

– No wiesz, z nami. – Oliwia wskazała siebie i ją. – Sprzedałaś dwór, nie pytając mnie o zdanie... Tutaj nie możemy przecież zostać. To jego chata.

– Nie. Nie możemy zostać – odparła Marta, kręcąc głową.

Ona miała przez kilka dni zamieszkać u Mateusza, potem wrócić do Irlandii, ale niespodziewane pojawienie się Oliwii nieco gmatwało plany. – Tydzień czy dwa zatrzymamy się w dworku. Mateusz ma klucze. Potem może na ranczo?... – Urwała. Zaciśnęła usta.

Że też przyszedł jej do głowy tak absurdalny pomysł jak zamieszkanie, choćby na kilka dni, pod dachem Sodarowa! Gdzie każdy kąt, każdy promień słońca wpadający przez okno, przy którym on stawał, będą jej przypominały o tym, co miała i co straciła. Ból zdrady dźgnął ją prosto w serce. Gościnę u Sodarowa jednak sobie daruje, czy ten

drań jest w okolicy czy też nie.

Podczas całego wieczoru ani razu nie padło to imię. Siergiej był tematem tabu. Też ze względu na Nataniela. Tak. Jego Sodarow zranił równie podle i okrutnie co Martę. Należało się łotrowi wszystko, co najgorsze. Mścić się nie mogli i nie chcieli, ale zepchnąć bydlaka, który zdradza przyjaciół, w czeluść niepamięci – owszem.

Mimo to... Marta chciałaby wiedzieć, co z nim. Gdzie się podziewa...

„Głupia kobieto” – sarknęła w duchu, zła na samą siebie, że nie potrafi tak do końca pozbyć się Siergieja ze swego serca. „On naprawdę nie jest wart ani jednej twojej myśli”.

– Może uda się odkupić dwór? – odezwała się z nadzieją Oliwia.

– Po co? – odrzekła ostrym głosem Marta. – Żeby stał pusty? Ja mam pracę w Irlandii, ty... No właśnie. Nic nie wiem o twoich planach. W ogóle niewiele wiem...

– Myślałam o wyjeździe do Stanów, potrzebują tam doświadczonych pracowników do opieki nad końmi, a ja jestem w tym niezła, ale plany są po to, by je zmieniać. Praca poczeka. Rodzina jest ważniejsza. – Uśmiechnęła się do matki, która bez wahania uwierzyłaby w każde jej słowo, gdyby wcześniej Oliwia nie mówiła czegoś, co tym słowom przeczy.

– Na razie zatrzymamy się w dworze. Przysługuje mi tydzień urlopu. Później... Nie chcę się na razie nad tym zastanawiać. Będzie, co ma być – ucieła stanowczo Marta, zabrała z torby podróżnej koszulę nocną i wyszła do łazienki.

Oliwia uśmiechnęła się w duchu. Ma siedem dni na bliższe poznanie Nataniela Domoradzkiego. A przez siedem dni w dzisiejszych szybkich czasach można kogoś poznać, pokochać i porzucić. Zapowiadał się ciekawy tydzień...

Wzrok dziewczyny spoczął na śpiącej Emilce. Nic tak nie kruszy serca mężczyzny jak śliczna dziewczyna – tak właśnie myślała o sobie – czule opiekująca się równie ślicznym dzieckiem. I jak Oliwia do dziś myślała o dzieciach jedynie w kategoriach „te rozwrzeszczane bachory”, tak teraz będzie musiała zmienić swój stosunek do nich. Może ta mała okaże się dobrze wychowaną, uroczą i cichą księżniczką?

Oliwia wstała i na palcach podeszła do komody, na której leżała otwarta koperta podpisana „Nataniel”. Już wcześniej przyciągnęła uwagę dziewczyny. Teraz ciekawiła ją jeszcze bardziej. Marta brała kąpiel przed snem, była więc chwila, żeby zaspokoić ciekawość...

Och, oczywiście, że cudzych listów nie wypada czytać! To jeden z grzechów głównych w katechizmie jej matki i Oliwia, jeśli list nie dotyczy małej, czytać go nie będzie, ale...

Dotyczył.

Dziewczyna chłonęła zdanie po zdaniu i oczy jej okręgały.

– O-em-dzi! Nat, ten kochany, słodki Natuś, ulubieniec mojej matki, zakochał się w prostytutce! – Oliwia musiała zatkać usta dłonią, by stłumić pełen niedowierzania i satysfakcji śmiech. – I kryminalistce na dodatek! Laska rżnie go, i to dosłownie, na ciężkie pieniądze, a na koniec w podzięcie podrzuca dziecko. Nie jego dziecko! Gdzie się tacy lęgną?! Naiwniak to za mało powiedziane! Kretyn! Nie, to również za łagodne. Oj, Natanielu... Natanielu... skoro tamta niedobra kobieta omotała cię tak łatwo, ja poradzę sobie śpiewająco! Szkoda, że nie ma Jessiki. Zrobiłybyśmy zakłady, czy wystarczą mi

dwa dni na wypróbowanie tej wersalki z Natanielem czy zejdzie mi z tym nieco dłużej... – Tak szepcząc do siebie, odłożyła kopertę na miejsce. – Jeżeli zaś pan Domoradzki okaże się grzechu wart, a matka nie odzyska dworu, trzeba będzie pomyśleć o tym miejscu – ogarnęła jednym długim spojrzeniem sypialnię i kuchnię – jako o przyszłym domu. W którym nie ma miejsca na bękarty, choćby tak śliczne jak ty, Emilciu. – Pochyliła się nad dziewczynką, uśmiechnięta łagodnie. Komuś mogłaby się wydać dobrą wróżką. Temu, kto słyszał jej poprzednie słowa, złą wiedźmą.

Czy Oliwia – córka doktor Kraszewskiej, kobiety o sercu dobrym i kochającym – była rzeczywiście podła i zepsuta do szpiku kości?

Nie.

Lecz miała sporo czasu, całe sześć lat, by wyrzucić dobro z serca. Dobroć – zderzona z poczuciem strasznej winy – doprowadziłaby tę dziewczynę, wychowywaną pod kloszem, do szaleństwa. Zaczęła więc od zniechęcenia matki, skończyła na nienawiści do świata, żeby nie pograć w tym uczuciu samej siebie.

Czy Nataniel zdoła roztopić lód, który skuwa jej serce?

Może tak, może nie.

A może wcale nie będzie mu na tym zależało? Oliwia nie zdawała sobie z tego sprawy – jeszcze nie – że jej poprzedniczka skutecznie wyleczyła młodego mężczyznę z naiwności. Drugi raz w chętnie kobiece ręce tak szybko nie wpadnie. Tygodnia, czy nawet dwóch, ci, Oliwio, nie wystarczy, by rozkochać w sobie Nataniela. Uwieść być może tak, może zaciągniesz go na tę wersalkę, którą sobie upatrzyłaś, ale nic więcej. Jednak próbuj... próbuj... Przyda ci się nauczka. Dobrze będzie, gdy los da ci po łapach. Szczególnie takich, co wyciągają się po cudzą własność tylko po to, by krzywdzić.



## ROZDZIAŁ V



P

o mroźnej nocy, nocy o czystym niebie pełnym srebrnych gwiazd, wstał cudny, słoneczny poranek. Dom był jeszcze cichy, jedynie z kuchni dochodziły posapywania śpiącej pod stołem Trusi, gdy Emilka otworzyła oczy, przeciągnęła się, rozejrzała po nieznanym pomieszczeniu i wygięła usta w podkówkę, nie będąc pewna, czy ma się rozplakać czy wyskoczyć z łóżka i zacząć zwiedzać obce miejsce i jego okolicę.

Wybrała to drugie, bo była z natury pogodną – i ciekawską! – dziewczynką.

Na początek ominęła śpiącą obok kobietę, ciocię Martę, jak sobie przypomniała, i zeskoczyła z łóżka. Nagie stópki dotknęły podłogi tak zimnej, że aż podkurczyła palce, ale już po chwili wkładała botki stojące przy fotelu i walczyła ze swoim kożuszkim. Wsuniecie rąk w wąskie rękawy nie było takie proste. Nie dla pięciolatki. Nie mówiąc już o dopięciu guzików. A to wszystko w ciszy, by nie obudzić drugiej cioci, której imienia zapomniała.

Wreszcie nasunęła na głowę kaptur, owinęła szyję szaliczkim i była gotowa, by zwiedzać świat. Trusia przytuptała do dziewczynki, machnęła ogonkiem i ruszyła do drzwi, równie chętna na spacer. Skrzypnęły zawiasy. Emilka wstrzymała oddech, ale obie kobiety po długiej podróży i nocnych rozmowach spały mocno, odurzone na dodatek czystym mazurskim powietrzem.

Dziecko wyszło z domu, domknęło za sobą drzwi i...

– A dokąd to się, królewno, wybierasz? – zatrzymały ją na schodkach słowa Nataniela.

Dziewczynka spojrzała nań spłoszona. Mars na twarzy młodego mężczyzny nie wróżył niczego dobrego. Nie dla pięcioletnich uciekinierów, którzy rannym świtem wybierają się samotnie nie wiadomo dokąd.

– Wujku Natanielu... chciałam się przywitać z Kacperkiem, którego Święty Mikołaj mi podarował – odparła Emilka. Nie skłamała ani słowem, tam się właśnie kierowała, przynajmniej na początku zwiedzania, ale dokąd zawędrowałaby później? Nataniel wolał się nie domyślać.

Sam oka nie zmrużył, mimo zmęczenia, jakiego nie czuł od lat. Pomost, porąbany

na szczapki, czuł teraz w każdym mięśniu. Chyba jedynym, co go nie bolało, była noga. Ta właśnie wredna, pokiereszowana kończyna, która zwykle zadawała mu nieopisane męki, dziś odpuściła. Wstał jeszcze przed świtem, skreślił parę słów do Mateusza, by ten nie szukał go po otoczeniu, i wrócił do domu.

W pierwszej kolejności, ominąwszy spojrzeniem śpiącą na tapczanie Oliwię – ślicznie wyglądała z długimi rzęsami rzucającymi cień na zaczerwienione od snu policzki i lekko rozchylonymi, niczym do pocałunku, ustami, co zdążył zauważyć – zajrzał do drugiego pokoju. Do dziecka. Wtedy jeszcze spało, z rączkami rozrzuconymi na boki, spychając biedną Martę na sam brzeg łóżka.

Zamknął cicho drzwi i wyszedł na dwór. Pora była równie dobra jak każda, by oporządzić Śnieżkę i Kacperka, podrzucić im świeżej słomy i pachnącego siana. Właśnie kończył szczotkowanie siwej klaczy, gdy instykt nakazał mu wyjść przed stajnię. Akurat w chwili, gdy oddana mu pod opiekę dziewczynka wymykała się z domu. Sama. Niefrasobliwa, jak to dziecko.

Bardzo się to Natanielowi nie spodobało.

Niedaleko, dosłownie trzy kroki stąd było jezioro. Teraz zamarznięte na pół metra w głąb, ale za chwilę lód zacznie topnieć i stanie się śmiertelną pułapką dla małych dziewczynek. Natanielowi aż włos się na karku zjeżył, gdy oczami wyobraźni ujrzał Emilkę znikającą pod kruchym lodem.

Musiał okazać surowość. Dla dobra dziecka i swoich zdrowych zmysłów.

– Nie wolno wychodzić samej z domu! – odezwał się tonem tak ostrym, że dziecku natychmiast łzy stanęły w oczach. Trudno. Lepiej, żeby popłakało teraz, niż żeby utonęło w jeziorze albo zabłądziło w lesie. I chociaż serce mu się łamało, bo łzy dziecka były dlań trudne do zniesienia, powtórzył odrobinę tylko łagodniej: – Absolutnie nie wolno ci wychodzić samej z domu. Zawsze musi być z tobą ciocia Marta, ja albo wujek Mateusz.

Dziewczynka kiwnęła parę razy głową, ocierając łzy drżącą rączką. Nataniel przykleknął naprzeciw niej. Posłała mu żalosne spojrzenie.

– Przepraszam, wujku Natanielu. Ja chciałam tylko do Kacperka...

Objął dziecko i przytulił.

– W stajni przebywa też większy koń, Śnieżka. Ona mogłaby cię niechcący kopnąć albo nadepnąć ci na nóżkę, a to bardzo, bardzo boli. Przecież nie chcemy, by cię bolało, prawda, dziecinko? – Znów poczuł zimny dreszcz, gdy wyobraził sobie to dziecko zmiążdżone, chcący czy niechcący, przez Śnieżkę. Rany boskie, ile niebezpieczeństw czai się dookoła! Jak uchronić przed każdym z nich tę kruchą istotkę? Jest taka drobna, tak delikatna... Wystarczyłoby, żeby potknęła się na jednym z trzech schodków, upadła na betonowy podest i rozbiła głowę! Natanielowi oddech uwiązał w gardle, gdy wyobraźnia podsunęła mu obraz zakrwawionej Emilki leżącej tu, gdzie oboje teraz stoją. Nie, to ponad jego siły. Nie jest w stanie opiekować się tym dzieckiem. Nie zapewni mu bezpieczeństwa. Wcześniej czy później dziewczynka przewróci się, skądś spadnie, gdzieś zniknie i... po dziewczynce!

Nataniel widział w parku, jak matki prowadzą swoje pociechy – dzieci, nie psy! – w szeleczkach i na smyczy. Wtedy wydało mu się to komiczne i bzdurne. Dziś zapragnął jechać, teraz, tak jak stoi, do najbliższego sklepu z artykułami dla dzieci i kupić Emilce

podobną uprząż. Mniejsza z tym, że wzbudzą w Sennej sensację, bo tutaj część miejscowych wychodziła z założenia, że „zamiast umyć, zrobi się nowe”, byle jego podopieczna doczekała w miarę cała i zdrowa powrotu swej mamy...

– A, tutaj jesteś, uciekinierko! – Usłyszał nagle głos Marty.

Oboje z Emilką spojrzeli w górę. Kobieta zdawała się równie rozgniewana jak Nataniel chwilę wcześniej, ale zaraz uśmiechnęła się do dziecka, widząc łzy w jego oczach i na policzkach. Dostało od Nataniela stosowną reprimendę, była tego pewna.

– Już nigdy, ale to przenigdy sama nie wyjdę z domu, ciociu – zakwiliła Emilka. – Wujek Nataniel mi to wy-per-so... Wy-pro... Nie wiem. – Rozłożyła bezradnie ramiona.

– Wyperswadował – zaszeptał jej do ucha.

Uśmiechnęła się do niego.

– To mi właśnie zrobiłeś, wujku. Jak moja niania. Ona mi też ciągle wy-per-so... to, co ty.

– Jak widać, nieskutecznie, skoro mimo perswazji niani wymykasz się sama z domu – zauważyła Marta.

– Bo u nas nie było domu, tylko mieszkanie w bloku – odparła rezolutnie Emilka. – Korytarz już dawno zwiedziłam, do guzika windy nie sięgałam... – Ciężko westchnęła i ponownie rozłożyła ramionka, rozbrajając tym i Martę, i Nataniela.

– A karę jakąś sprytną twoja niania wymyśliła, żeby niegrzeczne dziewczynki nie próbowały ucieczek? – chciała wiedzieć kobieta.

– O innych dziewczynkach nic nie wiem. Ja miałam szlaban na bajki i słodczyce – odparło dziecko i pokiwało ze smutkiem głową. – Parę razy się na takie ukaranie załapałam. Tak mówiła moja niania: „Załapałaś się, Milciu, na karę. Co wybierasz: szlaban na bajki czy na słodczyce?”. I cóż... wybór był trudny... – Słowa pięciolatki połączone z gestykulacją były zaś przekomiczne. Nataniel z trudem utrzymał powagę. Marta pokiwała głową, zgadzając się w pełni z nieznaną nianią, a potem rzekła głosem nieznoszącym sprzeciwu:

– Chodź na śniadanie, wędrowniczko. Ty, Nat, również. Widzę, że wstałeś wcześniej od nas wszystkich. – Spojrzała na taczkę nawozu stojącą pod ścianą obórki. – Wiesz przecież, że Oliwia umie obchodzić się z końmi. W zamian za gościnę mogłaby ci pomóc.

– Nie chcę pomocy od dziewczyny. Do tego młodszej ode mnie. Nie jestem kale... – Ugryzł się w język. Teraz często będzie to robił, bo bystre dziecko, jakie miał w domu, szybko będzie się uczyć i tego, co dobre, i – znacznie szybciej – tego, co złe.

– Ale ode mnie pomocną dłoń w opiece nad Emilką przyjmiesz?

– Z wdzięcznością – odparł.

Spojrzał na dziewczynkę, która w podskokach pobiegła do drzwi stajni, zawisła połową ciała na barierce zapobiegającej wyjściu zwierząt na zewnątrz i przemawiała teraz do Kacperka, głaszcząc go po grzywce.

– Nie. Nie potrafię sobie wyobrazić siebie w roli ojca. Nawet zastępczego. To już teraz mnie przerasta. – Dla podkreślenia tych słów pokręcił głową. W jego głosie zabrzmiały nuty paniki.

Marta poklepała go po ręce.

– Spokojnie. Każdy tak mówi, a jednak dzieci się rodzą, dorastają i wyfruwają spod naszych skrzydeł każdego dnia.

– Dokoła jest tyle niebezpieczeństw! – Panika przybierała na sile. – Mała może spaść ze schodów, utopić się w jeziorze... Studnia! Muszę zabić gwoździami studnię! – Już miał biec po młotek, gdy zatrzymała go dłoń Marty.

Próbując opanować śmiech, rzekła:

– Emilka to duże i mądre dziecko. Na pewno wie, czym grozi wpadnięcie do studni, a jeśli nie wie, to jej wytłumaczysz. I wierz mi, mniej czyha na nią zagrożeń tutaj niż w wielkim mieście. Co do wypadków: nie ustrzeżesz przed nimi siebie – spojrzała znacząco na jego nogę – nie ustrzeżesz tych, których kochasz. Wypadki to mają do siebie i dlatego zwa się wypadkami: po prostu się przytrafiają. Choćbyś chuchał na Emilkę i dmuchał, choćbyś przesadził z ostrożnością i zabarykadował się z małą w domu, jeśli ma się coś przydarzyć, na pewno tak będzie. Rozleje trochę wody z kubka, poślizgnie się i...

– Nie kończ, błagam, bo słabo mi się robi, gdy wyobrażę sobie dziecko oddane mi pod opiekę z rozbitą głową. Po prostu nie kończ.

– Twardziel nam mięknie – zaśmiała się za jego plecami Oliwia.

Odwrócił się do niej, przywołał na twarz przyjacielski uśmiech. Nie był przekonany do tej dziewczyny, ale obiecał coś Mateuszowi. No i nie chciał sprawiać przykrości Marcie. Ciekawe, czy Oliwia wyznała matce, po co przyjechała do Sennej i dlaczego właśnie w Wigilię...

Marta akurat poprawiała szal, którym dziewczyna otuliła ramiona, gestem tak bardzo matczynym, że Nataniela ścisnęło w gardle.

– Mówiłaś coś o śniadaniu? – Oliwia zadała pytanie matce, nie zwróciwszy najmniejszej uwagi na jej gesty, ale patrzyła na chłopaka. W białej koszuli i czarnym bezrękawniku, podkreślającym szerokie, umięśnione ramiona, był jeszcze przystojniejszy niż wczoraj wieczorem.

– Zaganiaj stado, Nat – zadysponowała Marta. – Wracamy do domu, bo oczy zaczynają mi zamarać.



A

kurat zasiedli do stołu, gdy ze swoim: „Pochwalony!”, dołączył do nich Mateusz.

– Znajdzie się coś na ząb dla zbłąkanego i bardzo głodnego wędrowca? – zapytał przymilnie, kradnąc z talerza Marty smakowicie udekorowaną kanapkę z pieczystem.

Wczoraj, przed powrotem do Sennej, zaopatrzyli się w świąteczne zapasy, bo przecież sklepy w Boże Narodzenie były pozamykane, żeby dziś stół ugiął się od pyszności.

– Znając ciebie, jesteś po drugim śniadaniu. – Kobieta trzepnęła go żartobliwie po rękę, ale nic sobie z tego nie zrobił, kradnąc także plasterek pomidora i ogórka.

– Zamiast śniadania, moja duszko, zaraz po zwleczeniu się z wyrka poczłapałem do dworu, porządnie tam napaliłem, ogarnąłem kuchnię i łazienkę, starłem kurze i dom jest gotów na wasz powrót.

Oliwia aż pisnęła z radości. Nie miała nic przeciw mieszkaniu u Nataniela – nie teraz, gdy snuła wobec niego pewne plany – lecz dwór był znacznie wygodniejszy. Miała tam swój pokój i swoją łazienkę. Nie to, co tutaj...

– Dziękuję, jesteś niezawodny. – Jej matka cmoknęła mężczyznę w gładko ogolony policzek. Mateusz zaczerwienił się niczym sztubak.

Zaraz, zaraz, tych dwoje nie zaczniesz teraz ze sobą kręcić? Nie przy ludziach, pliss, to aż niesmaczne! W tym wieku... Litości!

Marta, pochwycawszy zde gustowane spojrzenie córki, cofnęła się na swoje miejsce. Mateusz zajął się pilnie nakładaniem na talerz plasterków wędliny i kromek chleba. Emilka, obserwująca wszystko i wszystkich ciekawskim spojrzeniem, ukradkiem upuściła kawałek pieczonej kiełbasy tuż pod nosem Trusi, która – dokarmiana w ten sposób od początku śniadania – nie odstępowała swojej dobrodziejki na krok.

Nataniel pałaszował wszystko, czym obdarowali go przyjaciele, głodny jak wilk po ciężkiej fizycznej robocie z samego rana, i uśmiechał się. O tym w głębi serca marzył: o rodzinie zebranej przy jednym stole. O ludziach, którzy przekomarzają się ze sobą, podają sobie półmiski czy co lepsze kąski, czasem milczą, czasem się nawet pokłócą, ale lubią swoje towarzystwo. I siebie nawzajem. Po prostu się lubią...

– Będiesz próbowała go odzyskać? – zapytał Martę, mając na myśli dwór.

Ona spojrzała na córkę:

– A chcesz tego? Jakie masz plany na przyszłość?

Oliwia, jak to ona, wzruszyła ramionami.

Całe dzieciństwo i młodość spędziła w Warszawie, w wakacje przyjeżdżając do Sennej, chociaż dworu jeszcze wtedy Marta nie postawiła. Wynajmowały wakacyjne kwatery – agroturystyka dopiero raczkowała – od tutejszych gospodyń, najczęściej od rodziców Wieśka Sidły. Któregoś dnia Marta dowiedziała się, że na sprzedaż jest stare siedlisko nad jeziorem. Po budynkach zostało wspomnienie, bo miejscowi szybko poradzili sobie z dobrą, przedwojenną cegłą, ale działka pozostała oznaczona w planach zagospodarowania jako budowlano-rolna. Kupiła ją bez zastanowienia, marząc o własnym domku w tak pięknym miejscu. Czy mogła przypuszczać, że marzenie spełni się szybciej, niżby chciała, a przede wszystkim w tak dramatycznych okolicznościach, jakich wrogowi by nie życzyła?

Dworek na Podlasiu wypatrzyły z Oliwią zaraz po kupnie siedliska, ale nie było wtedy jeszcze mowy o przeprowadzce na wieś. Marta miała dobrą pracę w szpitalu, którą kochała całym sercem. Stać ją było na brytyjskie liceum dla Oliwii, lecz na niewiele więcej. Nie dorabiała prywatną praktyką, bo po prostu nie miała na to czasu ani sił. O kupnie dworku, przeniesieniu go na Mazury, remoncie i przeprowadzce mogła tylko pomarzyć.

Aż przyszedł straszny czas, który zmienił wszystko...

Najpierw zmarł mały Maciuś, pacjent Marty, u którego nie rozpoznała zagrażającej życiu choroby. To złamało learkę. Dla kogoś o tak wielkim sercu jak doktor Kraszewska, kogoś, kto niesie pomoc pacjentom nie dla pieniędzy i nie z obowiązku, a z powołania, śmierć dziecka, które mogło przecież żyć!, gdyby Marta zleciła tamtej nocy potrzebne badania – mogło żyć!, ta śmierć była druzgocącym ciosem.

Zaraz potem przyszedł następny. Oliwia wyłagała wyjazd w góry. Z paczką przyjaciół mieli spędzić w Zakopanem święta Bożego Narodzenia i sylwestra. Może Marta byłaby bardziej stanowcza, może jej „Nie! Wigilię spędza się z rodziną!”, wybrzmiałoby wystarczająco silnie, by Oliwia, naburmuszona, lecz posłuszna, została w domu i wtedy... wtedy jej życie nie rozsypałoby się tak, jak życie matki, ale Marta, załamana tragedią innej matki, o którą to tragedię siebie obwiniła, widząc błagalne spojrzenie własnego dziecka i dziękując Bogu, że ono żyje, powiedziała: „Jedź, córciu, tylko wracaj szczęśliwie”. Trochę też dlatego, że pogrążona w rozpacz, po prostu chciała być sama. Chciała mieć cichy, pusty dom tylko dla siebie. Zamiast Wigilii i dwunastu potraw na stół wjechała butelka mocnej nalewki. I pudełko leków nasennych, o czym Oliwia nigdy nie powinna się dowiedzieć.

Nie, Marta nie zamierzała popełniać samobójstwa. Już nie. Depresję, którą zaliczyła po rozwodzie, miała za sobą, przynajmniej tak się doktor Kraszewskiej wydawało. Tamtego dnia, czy raczej nocy, pragnęła po prostu zasnąć. I obudzić się w innej rzeczywistości.

Los wysłuchał jej prośb co do słowa. Gdy obudziła się półtorej doby później, jej życie rozsypało się do reszty. Najpierw straciła ukochaną pracę, teraz ukochane dziecko.

Z Tatr wróciła nie słodka, urocza Oliwia, córeczka mamusi, która nigdy złego słowa Marcie nie powiedziała, a pełna nienawiści, oszalała z bólu istota, której Marta w pierwszej chwili nie poznała...

Kilka awantur później Oliwia wyprowadziła się z domu, a Marta, żeby nie oszaleć doszczętnie, sprzedała mieszkanie w Warszawie, kupiła stary dworek, przeniosła go na Mazury, wyremontowała – tylko w tym znajdując siły i chęci do życia – po czym raz na zawsze pożegnała się z wielkim miastem i z dawnym „ja”. Zamieszkała w Sennej, zajęła się rękodziełem i powoli odzyskała spokój ducha.

Jej córka przyjechała do Sennej dwukrotnie, tylko po to, by rzucić kilka krytycznych uwag na temat wsi i dworu, pogapić się otepiałym spojrzeniem na wody jeziora, które Martę zachwyciły tak samo w chwilach radości, jak i smutku, posnuć się po lesie. Na koniec Oliwia wyciągała rękę po pieniądze, a Marta bez słowa sprzeciwu oddawała jej wszystko, co zostało w portfelu. I tak się rozstawały. Jak dwie obce istoty, choć jedna kochająca, za to druga pełna niechęci.

Trzeciego razu nie było. Oliwia przysłała krótki list informujący o wyjeździe za granicę. Nie omieszkła podać numeru konta i wyliczyć dokładnej kwoty, którą matka ma jej co miesiąc przysyłać. Jeśli oczywiście nie chce, by Oliwia dorabiała, prostytuując się. Marta, gdy tylko dostała list, chwyciła za telefon, próbowała dodzwonić się do dziecka, ale numer nie odpowiadał. Adresu zwrotnego na kopercie nie było. Oliwia spaliła wszystkie mosty, zatrzaskała wszystkie drzwi, zerwała ostatnie więzi łączące ją z przeszłością. Jedyne serca matki nie była w stanie odmienić, a jej miłości do siebie – zabić...

Marta przez całe lata wysyłała pieniądze, coraz większe, na konto Oliwii. W zamian za to karmiona była skąpymi w treść i uczucia esemesami. „U mnie okej” – to musiało Marcie wystarczyć. Ale nie skarżyła się, powtarzając Mateuszowi, bo tylko on znał całą prawdę, że jej dziecko przynajmniej żyje. Matka Maciusia nie miała tyle szczęścia. Mateusz zaś szanował doktor Kraszewską na tyle, a z czasem tak mocno ją pokochał, iż nigdy słowem się nie zająknął, że Oliwia po mistrzowsku gra na jej uczuciach i po prostu ją wykorzystuje.

Ta Wigilia zmieniła wszystko. Oliwia wróciła! Była tutaj, tak blisko, na wyciągnięcie ręki i mogła już zostać! Marta uczyniłaby wszystko, dosłownie wszystko, by zatrzymać jedyne dziecko przy sobie...

– Zapytaj raczej, Martuś, czy Oliwia jest na to gotowa. Zaszłybyś się, jak my, na takim odludziu? – zwrócił się do dziewczyny. – Odnalazłabyś tu swoje miejsce na ziemi? Co dla nas jest azylem, dla ciebie może się okazać więzieniem.

Oliwia odpowiedziała wzruszeniem ramion, zaś oczy Marty, zwykle pełne ciepła i serdeczności, zwęziły się w szparki, a spojrzenie, jakie posłała stropionemu mężczyźnie, miało temperaturę zera absolutnego. Czy ten stary głupiec nie rozumie, że chce odzyskać córkę? Za wszelką cenę? Po co wyjeżdża z „odludziem” i „więzzeniami”?!

– Odzyskam ten dwór, córciu, jeśli ci na tym zależy – odezwała się zduszonym głosem.

Bardzo pragnęła, by Oliwia powiedziała „tak”. I kiedyś, mając lat kilka czy kilkanaście, Oliwia pisnęłaby z radości, zarzuciła mamie ręce na szyję, a potem –

podskakując niczym szczęśliwy psiak – krzyknęłyby: „Chcę, mamuś! Bardzo chcę! Będziemy mieszkać we własnym domku nad jeziorem!”. Ale dziś wzruszyła ponownie ramionami, z obojętnością szczerą albo udawaną, po czym odrzekła znużonym tonem:

– Jeśli nie masz nic innego do roboty...

Zaś Marta, biedna, pokaleczona przez los i ludzi, których kochała, Marta, odczytała to jako pełne entuzjazmu: „Zależy mi, mamu! Bardzo!”. A może to jej zależało na powrocie do swego azylu? I słów córki potrzebowała jedynie jako alibi?

– Zaraz po świętach pojadę do kancelarii mojego pełnomocnika. Skontaktujemy się z nabywcą dworu i... trzymajcie kciuki, moi kochani, by nam się udało!

Nataniel z Mateuszem patrzyli w rozpromienione oczy kobiety, widzieli uśmiech rozjaśniający jej smutną do niedawna twarz i wiedzieli, że oni również muszą uczynić wszystko, co w ich mocy, by Marta wróciła do Sennej.

Gdy jednak ten pierwszy spojrział w coraz bardziej zasepioną twarz Mateusza, zaczął podejrzewać, że nie będzie to takie proste.

– Co jest, przyjacielu? – zapytał otwarcie, gdy dwie kobiety i dziewczynka, bo Marta postanowiła zabrać ze sobą do dworu Emilkę, zniknęły na drodze okalającej jezioro. – Jeszcze chwilę wcześniej wyglądałeś na zachwyconego, że doktor Kraszewska pragnie tu zostać, teraz zaś...

– Nadal jestem tym zachwycony, ale czy wróci do Sennej nawet wtedy, gdy nie odkupi dworu?

– Nowy właściciel nie zdążył się nim nacieszyć, bo go tu nie widziałem, ty, z tego, co opowiadałeś, także nie. Może będzie na tyle życzliwym człowiekiem, że zrozumie uczucia byłej właścicielki i odsprzeda jej dom. Musimy w to wierzyć, skontaktować się z tym kimś i...

– To nie będzie takie proste – powtórzył z uporem Mateusz. – Dwór został kupiony przez pełnomocnika. Na jakąś spółkę. Próbowałem tam dzwonić... właściwie sam nie wiem po co. Parę złotych za opiekę nad domem przysłała mi na konto ich adwokat. Nikt nie odbiera telefonów. Prawdę mówiąc, numerów podanych na stronie tej spółki po prostu nie ma. Adres też nie istnieje. Wiem, bo pojechałem tam któregoś dnia. Zamiast biurowca, czy choćby budki z piwem, jest w tym miejscu uroczy staw, czy też glinianka?... nie wnikałem.

Nataniel zaniepokoił się.

– Sugerujesz, że dwór Marty kupiła firma krzak? To niemożliwe!

– Wszystko jest możliwe.

– Notariusz musiał sprawdzić, przygotowując akt notarialny, dane tej spółki. Ona musi istnieć!

Odwrócił się na pięcie i nie czekając na Mateusza, ruszył do domu. Tam od razu usiadł przy komputerze. Jego smukłe palce, palce chirurga, jak lubiła powtarzać babcia Stasia, zatańczyły na klawiaturze.

– Pamiętasz nazwę tej spółki? – rzucił przez ramię do przyglądającego się jego poczynaniom przyjaciela.

– Sagrin Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością. Adres: Strzelców 1. Glinianka jak nic!



– Daj mi chwilę... Wejdę na stronę Krajowego Rejestru Sądowego. Jeśli to spółka z o.o., muszą mieć dane wspólników, nie ma innej opcji.

I mieli. Chociaż głęboko ukryte za kolejnymi „słupami”: spółkami córkami, wnuczkami i prawnuczkami...

Mieli takie dane, że oni obaj – Mateusz z Natanielem – osłupieli.

– Widzisz to? – Chłopak, nie dowierzając własnym oczom, puknął w ekran.

– Widzę – wydusił starszy mężczyzna. – Po co temu bydlakowi dwór Marty? Skrzywdził ją jeszcze nie dość?

Bo w Krajowym Rejestrze Sądowym jednym ze wspólników którejś z podspółek był... Siergiej Sodarow.



*I*

Informacja, którą zdobyli Nataniel z Mateuszem, sprawiła, że ten świąteczny czas stracił swoje piękno i swój blask. Gdy tylko zostawali sami, a zdarzało się to nieczęsto, bo Marta z Oliwią zapraszały przyjaciół do siebie albo bezceremonialnie wpraszały się do nich – jak święta, to święta! – zaczynali zachodzić w głowę, co Siergiej chciał zrobić z dworem Marty. Po co go kupił, do licha?!

– Przecież ma swoje ranczo. Jeszcze mu mało? Co temu draniowi po starym dworze i kilku morgach ziemi? – pytał Mateusz, zafrasowany i zły.

– Ja starałbym się zadośćuczynić krzywdzie, jaką Marcie wyrządziłem – mówił Nataniel, patrząc niewidzącym spojrzeniem na zamarznięte jezioro. – Kupiłbym ten dwór i po prostu jej podarował.

– Marta nic by od łajdaka nie wzięła!

– No właśnie... Dlatego właścicielem dworu jest spółka.

– Bo Marta nic by łajdakowi nie sprzedała!

– No właśnie...

I było po rozmowie i po domysłach.

Trzymanie w tajemnicy faktu, że znają prawdziwego właściciela dworu, również ciążyło im na sumieniu. Ale przecież – zanim ostatecznie nie poznają zamiarów Sodarowa – nie mogli odbierać Marcie radości i nadziei. Dwóch uczuć, którymi dziś wręcz promieniowała. Senna, wioska zagubiona wśród mazurskich lasów, nie potrzebowała słońca ani gwiazd, miała uśmiechniętą, jaśniejącą własnym blaskiem – blaskiem matki, która odzyskała dziecko, i kobiety, która wróciła do domu – Martę Kraszewską. Na dodatek jej śliczną jak z obrazka córkę, za którą miejscowi wodzili głodnym wzrokiem. I jeszcze uroczą dziewczuszkę, czarnowłosą, żywą i radosną, odzianą w biały kożuszek Królowy Śnieżki Emilkę, do której nie można się było nie uśmiechnąć...

Czy Mateusz z Natanielem mieli prawo gasić blask w oczach Marty?

Nie. Jeszcze nie teraz, gdy wiedzą tak mało. Prawie nic.

Intencje Sodarowa, człowieka nieobliczalnego, mogły być zarówno bardzo dobre, jak i bardzo złe. Był zdolny do wszystkiego. Mógł dwór Marcie oddać ot tak, w geście

dobrej woli, a mógł go po prostu spalić. Jako właściciel ziemi i domu miał do tego prawo. Wystarczyła asysta straży pożarnej, baniak z benzyną i zapalka...

– Proszę cię, Mateusz, nawet tak nie myśl! – krzyknął chłopak, gdy ten roztoczył przed nim ową ponurą wizję. – Gdy widziałem Siergieja po raz ostatni, prosił, bym przebłagał Martę w jego imieniu. Jak mógłby po tym wszystkim spalić jej dwór?

– Gdy Marta nie przyjmie jego, nie wiem na ile szczerych, przeprosin? On mógłby. Wierz mi. Mógłby.

– I myślisz, że będzie tym Martę szantażował? Musiałby serca nie mieć...

– A gdy figlował z twoją dziewczyną na pomoście, to serce miał? – odparł Mateusz, nieumyślnie raniąc tymi słowami przyjaciela.

Nataniel umilkł. Zacisnął szczęki. Wbił pociemniałe spojrzenie w miejsce, gdzie jeszcze niedawno stał ów nieszczęsny pomost. Teraz widniała po nim pusta wyrwa, którą pewnie przejmą we władanie nadbrzeżne trzciny, jeśli się im na to pozwoli.

– I gdzie będziemy ryby łowić? – westchnął starszy mężczyzna, patrząc z nostalgią na słupy wystające z wody. Tylko to pozostało po miejscu ich męskich rozrywek. – Niech Sodarowa czart porwie... – dodał, ale bez nienawiści. Nie należało rzucać takich słów w prawdziwej złości. Mogły wrócić do tego, kto je wypowiedział, ze zdwojoną mocą.

Na ścieżce od strony lasu pojawił się Kazio Jarząbek. Dźwigał ciesielskie narzędzia, by dokończyć pokoik dla Emilki.

Wszyscy zgodnie uznali, że do czasu wyjazdu Marty i Oliwii mała będzie mieszkać w dworku. Tam było wystarczająco dużo miejsca, by każda z nich miała swój pokój. Nataniel z Mateuszem przez ten czas mieli przebudować chatę nad jeziorem tak, by znalazł się osobny kącik dla Emilki i pokój, ciasny, ale własny, dla jej opiekuna. Dorosły facet nie powinien dzielić sypialni z obcą, bądź co bądź, dziewczynką. Sołtysina, gdy przyszła ze świętecznymi życzeniami, aż się za głowę – nieco teatralnie – złapała, widząc ciuszki Emilki rozrzucone po kawalerskim pokoju.

– Tak się nie godzi! – sapnęła.

I następnym gościem w chacie nad jeziorem był ksiądz proboszcz, który zamienił z rozbawionym nieco Natanielem parę poważnych słów.

– Tak się nie godzi – powtórzył za sołtysiną i biedny chłopak musiał przysiąc, że w jednym pokoju z obcym dzieckiem spać nie będzie.

Mateusz skwitował to słowami:

– Ze swoim mógłbyś, rozumiesz, chłopcze? Parę rodzin w okolicy ma swoje mroczne tajemnice. Niektórzy z szanowanych parafian śpią ze swoimi córkami nie tylko w jednym pokoju, jeśli mnie dobrze rozumiesz... Spowiadają się potem, biją w piersi, obiecują poprawę i... dostają rozgrzeszenie. Wszyscy, jeden w jeden, zakłamanymi i zepsuci do cna, od grzesznika po spowiednika. Ale ciiiicho sza! Byle brudy wyprać w domu i dziewczyna, wykorzystywana przez ojca, brata czy wujka, nie zaciążyła... Lecz gdy obcy przygarnia z dobrego serca podrzutka, już się wrony i kruki zlatują, węsząc smakowity skandal.

Nataniel jedynie pokręcił głową.

Ludzie nie przestaną mleć jęzorami, choćby wyekspediował Emilkę na Księżyc. Znajdą inną szpilę, byle tylko wbić ją bliźniemu. Będą karmić się plotkami, podniecać

czymś, do czego nigdy nie doszło, podjudzać nawzajem do co bardziej absurdalnych i krzywdzących podejrzeń. I nikt nie stanie w obronie ofiary, bo ryzykowałby, że wezmą „na ruszt” obrońcę. Wzorce zaś czerpią nie tylko z „internetów”, ale i z samej wierchuszki: w polityce afera goni aferę, wśród celebrytów skandal goni skandal, telewizja od rana do nocy nadaje ohydne programy, gdzie ludzie krzywdzą siebie nawzajem, obrzucają się błotem i są za to nagradzani. Publika im przyklaskuje. Szczuje jednych przeciw drugim. I nie ma nikogo, kto powie na głos: To jest złe! Tak nie wolno! Uczycie podłości wasze dzieci!

Tu, w Sennej, każda plotka w końcu zdechnie, lecz ile krzywdy na swej oślizgłej drodze wyrządzi...

Na szczęście ksiądz i sołtysina czuwają. Emilka mieszka w dworku z Martą i Oliwią, a chata nad jeziorem zyskuje powoli, acz systematycznie drugi pokój, wygospodarowany z obszernej sieni. Wystarczy usunąć kawałek ściany – mniejsza, że mróz na dworze – wstawić niewielkie okno, potem podłogę zamiast polepy, dywaniki, obrazki i już można meblować.

W dwa dni po świętach Mateusz, Nataniel i Kazio Jarząbek, który w Boże Narodzenie przyniósł obiecane szczupaka i od razu zaoferował się z pomocą, poradzili sobie z niewielką przebudową. Chłopak wprawdzie myślał o zagospodarowaniu poddasza, ale to była większa sprawa. Nie na zimową porę.

– No i proszę! Twoja mała księżniczka ma własną komnatkę! – Kazio zatarł rękę, gdy ostatnie prace dobiegły końca.

Był cieślą z dziada pradziada, dobrym cieślą. Gdyby nie zaglądał tak często do kieliszka, opływaliby, on i jego osierocona córka, w dostatki. Letnicy stawiali domy, koniecznie z bali, altany, huśtawki i stoły biesiadne. Ktoś, dla kogo drewno nie miało tajemnic, był na wagę złota. Niestety... musiał nie tylko przyjmować sute zaliczki, ale i wywiązywać się ze zleceń. Terminowo. Kazio zaliczki przepijał, terminy odwlekał dotąd, aż zniecierpliwiony klient zwracał się do kogo innego, a Jarząbków straszył policją. Kazio przyjmował wtedy następne zlecenie, część zaliczki zwracał pokrzywdzonemu, drugą część przepijał – trzecią ukrywała w porę Joasia, bo pomarliby z głodu – i tak się to kręciło jak Polska długa i szeroka. Każda wieś miała swoich Sidłów, co żony tłuką, każda miała swoich Jarząbków...

Teraz siedział z sąsiadami przy stole w kuchni i opijał domowym grzany winem, przyniesionym przez Mateusza, ukończenie pokoju dla Emilki.

– Kiedy zajdziesz do nas na obiad? – Kazio, mocno już podpity, zagaił do chłopaka, rozsiadając się wygodnie w głębokim fotelu. – Joasia co i rusz nowe przepisy wypróbuj, ciasta piecze, a jej rybka po grecku... palce lizać! – Cmoknął opuszki, jakby to miało zachęcić Nataniela do odwiedzin. – A wygląda przez okno dzień w dzień, z nogi na nogę przestępuje, tak czeka.

– Na Marka Sidłę czeka – mruknął Mateusz.

– Z tym łobuzem zerwała zaraz po Wigilii! – zaprzeczył Jarząbek. – Już ja wiem, kogo ona tak wypatruje! Nataniel zapadł jej w serce, ot co!

Chłopak zaczerwienił się lekko i pokręcił głową.

– My z Joasią już sobie wszystko wyjaśniliśmy. Ja się nie nadaję na

narzeczonego...

– A czegoż to ci brakuje?! – oburzył się jego sąsiad. – Masz głowę na karku, dwie robotne ręce, korzeń jak się patrzy...

Nataniel zakrzuszył się herbatą. Mateusz klepnął go w plecy i posyłając Jarząbkowi gniewne spojrzenie, rzucił:

– Jeśli w ten sposób będziesz córkę swatać, to starą panną zostanie!

– Już ty się o moją córkę nie turbuj – prychnął Jarząbek, nagle rozzłoszczony tym, że musi zebrać u kaleki przychylność dla jedynaczki. – Ona powodzenie ma. Uparła się na tego ułomka, chociaż każdy jeden we wsi chętnie by na sianku z moją Joąską pofiglował.

– Daj spokój, Kaźmirz, pijany jesteś, bzdury gadasz. – Mateusz wstał, gotów zakończyć ten coraz bardziej nieprzyjemny wieczór. – Do domu ci czas pójść. Aśka pewnie w oknie cię wypatruje. – Wziął Jarząbka pod ramię, ale ten odtrącił go ze złością.

– Co, gościa za drzwi wyrzucasz?!

– Nie jesteś moim gościem, ale owszem, wyrzucam, skoro zachować się nie potrafisz. Wstyd przynosisz...

– Większy wstyd dla ciebie to on, ten chłoptaş. – Jarząbek wycelował palcem w Nataniela, który od dłuższej chwili siedział nieruchomo, ze wzrokiem wbitym w pusty talerz i pobladał z odrazy twarzą. – Wiesz, co o nim po wsi gadają? Że machnął dziewczynie bękartą i precz ją pognął.

– To łgarstwo!

– A ta mała, Emilka niby, to czyja jest, jak nie jego i tej tam, co latem tu mieszkała?! Prowadzał się z tą latawicą, obnosił z cycatką, jakby naszych dziewczyn, tutejszych, brakowało! Dziwka, kurwa jedna, co miejscowym za pięć dych dawała...

Nataniel zerwał się na równe nogi. Chwycił Jarząbka obiema rękami za koszulę. Poderwał w górę i cisnął jak szmacianą lalką o ścianę. Tamten zaśmiał się szyderczo.

– Co, Nat, myślałeś, że ona w tobie taka zakochana? W ciebie jak w obrazek wpatrzona? Niejeden ją zwyobracał, gdy wypuszczałeś kurwę z domu. Choć tania nie była...

Pięść sama uniosła się do ciosu. Mateusz przytrzymał ją, nim opadła na wykrzywioną złością twarz Jarząbka. W oczach Nataniela błysnęły łzy bezsilnego gniewu. Jedną ręką oderwał tamtego od ściany, drugą chwycił jego kurtkę, cisnął mu ją w twarz.

– Wynoś się z mojego domu! – wysyczał. – I nigdy więcej się tu nie pokazuj! Iwona jaka była, taka była, ale wolę ją niż tę twoją rozmemlaną córcię, co bić się byle łachudrze pozwala. Takiej szmaty, przetartej przez Sidłę, nie tknąłbym nawet kijem.

Z sieni, zza niedomkniętych drzwi dobiegł cichy jęk. Joasia, słysząc każde wypowiedziane przez Nataniela słowo, zatkała usta obiema dłońmi. Chłopak jednym szarpnięciem otworzył drzwi na całą szerokość, wypchnął Jarząbka za próg i rzucił do dziewczyny:

– Zabieraj tego moczymordę i nie ważcie się przestąpić progu tego domu! Wynocha do swoich!

Zatrzasnął z furią odrzwia, oparł się plecami o gładkie drewno i długą chwilę

oddychał ciężko, próbując uspokoić tłukące wściekle serce. Wreszcie, gdy znów mógł wydobyć z siebie głos, spojrzał błagalnie na Mateusza:

– On łgał, prawda? To, co powiedział o Iwonie, że dawała miejscowym... On kłamał... Mateusz?

Ale mężczyzna uciekł wzrokiem. Słyszał te plotki świeżo po wyjeździe czarnowłosej piękności, która tyle bólu zadała jego przyjaciółom. Po co było dodawać im cierpienia? Czy to, że była dziwką, coś zmieniało? Umniejszało zdradę? W jego oczach – tak. Spodziewać się po dziwce wierności to jak wyglądać deszczu na pustyni. Ale Nataniel nie znał jej drugiego oblicza. Dla chłopaka była zwykłą, choć niezwykle piękną i ponętną dziewczyną, godną jego miłości. On kochał tę latawicę, jak prawdziwie się o niej wyraził Jarząbek, i wtedy, kilka miesięcy temu, prawda nic by nie zmieniła. Dzisiaj chyba też nie.

Nataniel usiadł ciężko na krześle. Ukrył twarz w dłoniach. Nie. Nie po to, żeby ukryć łzy. Oczy miał suche. Tak samo jak zaciśnięte gardło, które dławiło przy każdym hańcie powietrza.

– Ona nie musiała tego robić – wyszeptał. – Iwona. Nie musiała... tego robić. Miała pieniądze. Dawałem jej wszystko, co miałem.

– Nat, ona była prostytutką. Dałeś mi do przeczytania list, w którym otwarcie się do tego przyznaje. Taką miała naturę, ot co.

– Taki miała... zawód, a nie naturę! Gdyby chciała... gdyby ktoś jej pomógł...

– Nie bądź głupi! Przyjąłeś ją pod swój dach, karmiłeś, opierałeś, kupowałeś drogie ciuchy i kosmetyki. Miała wszystko! W zamian nie żądałeś zbyt wiele, tylko...

– Nie kończ – uciał Nataniel nieswoim głosem.

– Miała wszystko – powtórzył uparcie mężczyzna. – Mogła skończyć z przeszłością, postawić na normalne życie, dom dla siebie i dziecka. Co wybrała? Prostą drogę do mamra. Mając gdzieś córeczkę, która straciła tym samym matkę i po obcych się poniewiera. A ty jeszcze tej całej Iwony bronisz?! Bój się Boga, Nat, bo ona na pewno Boga w sercu nie ma...

– Nie wiesz, co kto ma w sercu – odparł cicho Nataniel. – Nic o niej nie wiesz. Tak jak ja – dodał gwoli sprawiedliwości. – Nie wiesz, co zmusiło ją do obrania takiej, a nie innej drogi. Nie wiesz, czym spowodowane były jej wybory. Już samo to, że dziecko oddała obcym, jak się wyraziłeś, coś o życiu Iwony i jej rodzinie mówi. Skoro rodzona siostra w Wigilię podrzuca tę dziewczynkę facetowi, który pierwszy raz na oczy ją widzi... Co musiała przejść Iwona, że bardziej ufa mnie niż im? Nie znając jej historii, nie wolno nam tej kobiety oceniać.

– Za to ty świetnie podsumowałeś Aśkę Jarząbek – odezwał się Mateusz z lekkim przekąsem. – Może jest głupia, tłuc się Sidle pozwala, ale szmatą bym jej nie nazwał. Masz wyjątkowe zdolności do zrażania sobie tutejszych...

Nataniel milczał przez chwilę.

– Poniosło mnie. Po tym, jak Kazimierz powiedział... to o Iwonie... nie potrafiłem zapanować nad sobą. Po prostu szlag mnie trafił. Nie tyle na niego, co na nią. Na dziewczynę, której ufałem bezgranicznie, a która... za pięć dych... z miejscowymi... – Wpił palce we włosy i siedział z pochyloną głową, wbijając szklisty wzrok w blat stołu dotąd, aż poczuł współczujący uścisk dłoni na ramieniu.

– Byłeś zaślepiony. – Usłyszał głos przyjaciela. – Ja to rozumiem. Ale oni... – Machnął ręką w stronę drzwi, za którymi dawno zniknęli Aśka z Jarząbkim. – To prości ludzie. Nie mówię, że głupi, ale prości. Widzą rzeczy takimi, jakimi one są. Dla nich Iwona to dziwka, a ty albo naiwny, albo jej gach. Wybacz szczerść, Nat. Ale to nie ma znaczenia...

Nataniel poderwał głowę. Co niby nie ma znaczenia?! Gadanie ludzi o nim i Iwonie?!

– Widzisz, liczy się tu i teraz. A tu i teraz mamy Emilkę, której matka siedzi w więzieniu. Jeśli i o tym zgraja się dowie, mała nie będzie miała życia. A przecież kiedyś musi pójść do szkoły. Jako córka prostytutki i kryminalistki?... Mój Boże, nawet nie chcę się domyślać, co będą o niej gadać. Dzieciaki mają długie uszy, powtórzą wszystko, co usłyszą w domu, a im mocniej zrani to naszą kruszynę, tym większy będą miały ubaw. Wiesz, jak dzieci potrafią być okrutne.

– Wyjadę z nią. Wrócę do Warszawy – odezwał się Nataniel stanowczo.

– To byłoby jakieś wyjście, ale tu masz dom i Emilka może go mieć. Tam będziesz się pętał z dzieckiem po wynajętych dziuplach, bo na nic lepszego nie zarobisz. Nie wtedy, gdy masz na utrzymaniu pięciolatkę. Ja mam inny pomysł, ale do tego potrzebujemy Marty. I jej córki.

– Błagam, nie zacznij ty mnie teraz swatać. Już Kazimierz dał mi popalić, gdy odmówiłem...

– Ciii... Dla dobra niewinnego dziecka pozwolisz się wyswatać nawet z diabłem!

– Bez przesady.

– A Oliwia to przecież mądra, śliczna i dobra dziewczyna!

Z mądrą i śliczną Mateusz trafił. Co do dobroci serca, czy przynajmniej intencji, można było polemizować.

## ROZDZIAŁ VIII



P

rzez tych kilka dni, które minęły od pamiętnej Wigilii, Oliwia nie miała za dużo okazji, by zbliżyć się do Nataniela. Oczywiście, spędzili w swoim towarzystwie sporo czasu, a to na obiedzie w chacie, a to na kolacji w dworze, ale nigdy sam na sam. Cały czas kręciła się gdzieś blisko mała Emilka, Mateusz z Martą też przecież byli obok. Oliwia nie śmiała pod byстрыm okiem matki roztoczyć przed młodym mężczyzną swych wdzięków.

Ale to, co mogła uczynić, żeby bardziej się Natanielowi spodobać, jak najbardziej czyniła. Piękne, kasztanowe włosy nosiła rozpuszczone, wiedząc, że robią na facetach oszałamiające wrażenie. Myła je co rano w pachnącym szamponie, spryskiwała lekko kwiatowymi perfumami, a potem rozczesywała na gładki, lśniący jedwab.

Złociste oczy podkreślała delikatną kreską i cieniem, gęste rzęsy dzięki dobremu tuszowi wydawały się jeszcze dłuższe. Cień, jaki rzucały na policzki, gdy rumieniła się pod spojrzeniem chłopaka i spuszczała wzrok, zachwycał go nieodmiennie. A gdy raz i drugi podniosła nań powoli duże, błyszczące oczy, Nataniel aż wstrzymał oddech, tak była piękna. Dziewczęca. I niewinna.

Oliwia widziała oczarowanie w oczach młodego mężczyzny. Dopóki na nią patrzył, rzecz jasna. Szybko jednak odwracał wzrok, zaczynał rozmowę z Mateuszem czy próbował uczyć dobrych manier tego małego, rozkapryszonego gnoma – bo tak o Emilce zaczęła myśleć Oliwia. Zaledwie parę dni, a ona już miała dosyć rozszczebiotanego, wszędobylskiego dzieciaka.

Nie może się jednak z tymi uczuciami zdradzić! Nie przed Natanielem, który dziewczynkę najwyraźniej lubił. Z dnia na dzień coraz bardziej.

Właśnie nadchodził ścieżką od strony jeziora, oczywiście z nieodłącznym Mateuszem!

Oliwia zacisnęła usta i zmrużyła ze złością oczy. Akurat tego popołudnia Marta z Emilką pojechały do sklepu, a ona wybierała się w odwiedziny do Nataniela, wreszcie sama. Gdyby i on był sam, może w końcu zaczęłoby między nimi iskrzyć. Nawet w tej chwili, gdyby nie Mateusz – uprzykrzony cień Nataniela, jeśli nie jego przyzwoitka! – Oliwia zakreśliłaby się koło chłopaka... Wystarczyłoby, że na powitanie obdarzy go



pocałunkiem, nieco bardziej namiętym niż przyjacielskie cmoknięcie, i... kto wie, jak i gdzie by się skończyła ta niewinna z pozoru pieszczota.

Ale nawet się nie zacznie. Przy Mateuszu całować się przecież nie będą!

Szlag...!

– Pochwalony! – rzucił swoje zwykłe powitanie starszy mężczyzna, wchodząc na ganek.

Oliwia właśnie otwierała przed nimi drzwi. Nikt by nie przypuszczał, że chwilę wcześniej jej oczy płonęły wściekłością, a na usta cisnęły się przekleństwa. Teraz uśmiechała się ujmująco, zachwycona odwiedzinami.

– Wejdźcie! Właśnie wyjęłam z piekarnika ciasto! Sernik z przepisu babci!

Oczywiście skłamała, bo babcia Marlena, matka Marty, nigdy nie zniżyłaby się do tak plebejskiej czynności jak własnoręczne wypieki, od tego miała służyć. Zaś drugiej babki Oliwia nie poznała na tyle dobrze, żeby wymieniały się sekretnymi recepturami – zmarła parę lat po narodzinach wnuczki. Ale o tym ani Nataniel, ani Mateusz nie musieli wiedzieć. Aromat dolatujący z kuchni był zniewalający – mniejsza o to, że przepis pochodził z internetu – a matki, która zdemaskowałaby kłamstwa Oliwii, w pobliżu nie było.

Starszy z mężczyzn stanął w progu kuchni i uśmiechnął się wniebowzięty, czując zapach wanilii i czekolady. Młodszy cmoknął dziewczynę w policzek i zapytał:

– Gdzie Marta z Emilką?

– Ja ci nie wystarczę? – Spojrzała nań z kokieterią. Na tyle niewinnie, by nie poczuł się zakłopotany, ale wystarczająco zalotnie, by wiedział, że to spojrzenie i ten uśmiech Oliwia ma tylko dla niego.

Nie odpowiedział na pytanie. Przyglądał się, jak wpadające przez okno promienie słońca lśnią złotem i czerwienią we włosach dziewczyny. Blask sprawiał, że bluzeczka, którą miała na sobie, stała się niemal przezroczysta. Nie pierwszy raz jej uroda wydała się mu oszałamiająca. Czując, jak wzbiera w nim niechciane pożądanie, odwrócił wzrok.

Ona, gdyby mogła, uniosłaby w tej chwili kciuk, bardzo zadowolona nie tylko z siebie, ale i z miejsca, w którym rozmyślnie stanęła. Żeby nie ten Mateusz!

– Pojechały do Olsztyna. Małej trzeba sprawić nieco ciuszków. Ten skromny dobytek, w który ją wyposażono, nie wystarczy.

– Nie dałem Marcie pieniędzy... – zaczął Nataniel, ale Oliwia machnęła ręką.

– Matka uboga nie jest, własnej wnuczki jeszcze się nie dorobiła, daj się jej zabawić w przyszywaną babcie.

Ledwie wypowiedziała te chłodne, niemiłe słowa, już gotowa była palnąć się w usta. Nataniel, gorliwy wyznawca jej matki, natychmiast się nastroszył. On do swojej nigdy nie zwrócił się inaczej niż „mamo”, za jej plecami również inaczej nie mówił. Słowo „matka” w ustach Oliwii nie tylko brzmiało odpychająco, ale wypowiedziała je do tego z lekceważeniem, nieomal pogardą. A tego chłopak nie znośił.

– Przecież żartuję. Mama uwielbia Emilcię, a Emilcia uwielbia mamę – dodała szybko, pilnując, by jej głos był tym razem ciepły i serdeczny. – Obie zaś uwielbiają zakupy, jak to kobiety.

Mateusz, stojący za plecami chłopaka, pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Nic tu po nas – rzucił krótko i skierował się ku drzwiom.

To była szansa dla Oliwii. Druga taka nie powtórzy się zbyt szybko!

– Pomożesz mi rozpalić w kominku? – Zatrzymała Nataniela, który ruszał za mężczyzną. – Sama nie potrafię, a chciałabym zrobić przyjemność mamie... – Rozłożyła bezradnie ręce. Jednocześnie posłała Mateuszowi błagalne spojrzenie, modląc się, by ten zrozumiał jej intencje. Chociaż ten nieokrzesaniec jest chyba za tępy na takie subtelności...

Nie! Jednak pojął!

Puścił do dziewczyny oczko i rzekł:

– Muszę zwrócić do siebie, ale poczekajcie na mnie z kolacją. Ten sernik pachnie tak, że gotowicie spałaszować go we dwoje!

Oliwia roześmiała się uroczo. Nataniel spojrział na nią, przeniósł podejrzliwy wzrok na przyjaciela, a ten dodał:

– Rozpał kominek tak, jak cię uczyłem. Gdy wróci nasza Marta kochana, powita ją nie tylko zapach ciasta, ale i palonego drewna.

– Nie uczyłeś mnie... – zaczął chłopak, z lekka oburzony, bo ogień nauczyła go rozpalać babcia Stasia, ale Mateusz zniknął już na ganku, zamknawszy za sobą drzwi.

Zostali z Oliwią sami. We dwoje.

Nataniel zdjął przeniesioną żywcem z filmów o Dywizjonie 303 skórzaną kurtkę z futrzanym kołnierzem, w której wyglądał obłędnie – czego nie omieszkała skonstatować w duchu Oliwia – powiesił ją na oparciu krzesła i rzekł, omijając dziewczynę wzrokiem:

– Chcesz sama spróbować czy od razu mam się brać do roboty?

Zamrugła. Co on miał na myśli? Czy to samo, o czym ona...? W następnej chwili musiała się rozczarować, bo podszedł do kominka, otworzył okopcone drzwiczki i zaczął metodycznie układać w jego czarnej czeluści mniejsze szczapki.

Oliwia przyglądała się temu spod lekko spuszczonej powiek. Gdyby na nią spojrział, wydałaby mu się zamyślona. Może pogrążona w marzeniach? Albo po prostu senna? Ale Nataniela pochłaniało niełatwe zadanie. W kominku dawno nie palono. Dym próbował wydostać się na pokój. Gdyby nie zamknął w porę drzwiczek, Marta zamiast zapachu palonego drewna poczułaby po powrocie zapach wędzonego dworu... Nieco zirytowany oporną materią, potrząsnął głową. Kosmyk włosów opadł mu na czoło. Odgarnął go niecierpliwym gestem, zostawiając bezwiednie smugę sadzy na policzku.

„Ależ seksownie z tym wygląda” – pomyślała dziewczyna.

Koszulka polo opinała lekko ramiona młodego mężczyzny, dzinsy – jego silne, muskularne uda. Płowe włosy opadały do oczu. Czarna smuga i błysk złości w oczach błękitnych niczym u Wikinga nadawały jego twarzy jakąś pierwotną dzikość.

„Ciekawe, czy on zdaje sobie sprawę z tego, jak wpływa na kobiety. Jak reagują na takie ciasteczko...” – to była druga myśl, jaka przemknęła przez urzeczony widokiem Nataniela umysł Oliwii.

Och, nie była dziewczicą i miała świadomość własnej urody. Doskonale wiedziała, że na facetach robi takie samo wrażenie jak ten tutaj na niej. Jednak... pusty dom nad jeziorem... cisza tak głęboka, jakby świat dookoła zapadł we mgłę i nagle przestał

istnieć... lecz przede wszystkim długi czas, jaki minął od ostatniej randki – to wszystko sprawiło, że Oliwia poczuła głód. Czysty, dziki głód męskiego ciała i dotyku.

Podeszła bliżej. Uklękła obok chłopaka, po czym położyła mu rękę na ramieniu – nie uszło przy tym jej uwagi, że drgnął, jakby ugodził go elektryczny impuls – i rzekła cichym, miękkim tonem:

– Może w środku jest zbyt wilgotno. – Och, to „wilgotno” zabrzmiało... bardzo dwuznacznie. I tak właśnie miało brzmieć. Poczwała, jak ramię chłopaka pod jej dłonią tężeje, i nie musiała patrzeć w dół, między jego uda, by wiedzieć, że nie tylko ramię. On również nie miał kobiety od miesiący i również był spragniony...

Zwrócił nieco głowę w jej kierunku. Chciał coś powiedzieć, ale... gdy zobaczył, jak dziewczyna patrzy na jego usta, rozchylając bezwiednie swoje, głos uwiązł mu w gardle.

Powoli, jakby sam nie wierzył w to, co robi, wsunął palce we włosy Oliwii, przyciągnął ją do siebie i dotknął ustami jej ciepłych, wilgotnych warg. Oddał pocałunek gwałtownie, jakby całe życie czekała na tę chwilę. Przywarła doń całym ciałem, tak że poczuł na torsie młode, krągłe piersi dziewczyny, a między udami jej kolano. Zachłusnął się własnym oddechem, tak wstrząsnęła nim nagła, wściekła żądza. Wpił się w usta dziewczyny tak silnie, jak ona zacisnęła garść na jego włosach, nie pozwalając mu uciec. Zupełnie jakby przyszło mu to do głowy... On nie chciał się cofać, chciał ją brać tutaj, w ciemniejszym, cichym pokoju, na dywanie przed nierozpalonym kominkiem. Chciał wsunąć pod jej bluzkę, błękitną jak jasne letnie niebo, obie dłonie, przeciągnąć spragnionymi palcami po gładkiej, gorącej skórze, dotknąć naprężonych sutków, zanurkować pod dzinsy, sięgnąć głęboko, aż do wilgotnego ciepła, a potem zedrzyć z niej wszystko, uwolnić siebie z oków materii i wreszcie poczuć tę wspaniałą, oszałamiającą kobiecość całym sobą. Ustami, dłońmi i nabrzmiałą aż do bólu męskością. Tego w tej chwili właśnie pragnął, zatracając się w obłądnym, trwającym od oddechu do oddechu pocałunku...

Lecz mimo to... mimo iż lży frustracji nabiegły mu do oczu... oderwał dłonie od jej ciała i usta od jej ust. Zamrugła, półprzytomna z obezwładniającego pożądania. On, zacisnąwszy powieki, oddychając ciężko, trzymał ją na wyciągnięcie ramion.

– Co... co się stało? Dlaczego przerwałeś? – wydusiła.

Ponownie próbowała przyciągnąć go do siebie, ale nie puszczał.

– Nie możemy tego zrobić. Nie tutaj, w domu twojej mamy. Gościła mnie, ufała mi. Nie... wezmę sobie jej córki ot tak, bo mam kaprys.

Oliwia poczuła, jak wściekłość wgryza się w jej serce, jeszcze przed chwilą wypełnione pragnieniem i nadzieją na spełnienie.

– Co to znaczy „nie wezmę”? – zaczęła niskim, nabrzmiałym furją głosem. – Nie jestem rzeczą, którą panicz Domoradzki może sobie brać albo nie. Sama decyduję, z kim i gdzie się kocham. Skoro wybrałam, tak właśnie!, JA wybrałam, to miejsce i tę godzinę, to...

No właśnie: co? Zmusisz go, żeby cię przeleciał?

Aż zgrzytnęła zębami. Opanowała gniew. Usta, jeszcze obrzmiałe i wilgotne od niedawnych pocałunków, wygięły się w podkówkę, w złotych oczach, o źrenicach tak

wielkich i czarnych, że można w nich było zatonać, błysnęły dwie wielkie łzy.

– Ja... tak strasznie cię potrzebuję – wyszeptwała, spuszczać wzrok.

Długie rzęsy ukryły przed Nataniem jej prawdziwe uczucia. A on pozwalał się okłamywać, bo nie chciał prawdy... Nie chciał wiedzieć, że następna nim pogrywa.

A nawet jeśli, to co z tego?! Oliwia przynajmniej nie była prostytutką, nie będzie się oddawała za pięć dych miejscowym i nie zdradzi go z Siergiejem – to ostatnie z tego powodu, że Sodarow przepadł i nie daje śladu życia, a to pierwsze... przecież córka Marty Kraszewskiej nie mogła upaść tak nisko! Słuchał więc teraz jej cichego głosu, tuląc dziewczynę w ramionach.

– Mój pierwszy i jedyny jak na razie chłopak zdradził mnie z przyjaciółką. Potem mówił tak podłe rzeczy... Że jestem do niczego... Nie umiem całować... nie umiem się kochać tak, jak on chciał...

Nataniel przycisnął ją do piersi jeszcze silniej, lecz jednocześnie z czułością. Gestem tak desperackim, jakby sam chciał się ukryć w jej ramionach. A potem głaszcząc ją po policzkach, włosach, plecach, zaczął mówić szybko, rwącym się głosem:

– Jesteś wspaniała... Jesteś cudowna... Nigdy nie pozwól wmówić sobie niczego innego. Jesteś jedyna w swoim rodzaju i byle dureń tego nie zniszczy. Może próbować, ale roześmiej się mu wtedy w twarz i powtórz moje słowa.

Oliwia miała ochotę w tym momencie właśnie się roześmiać. Jaki ten Natuś jest cudownie naiwny! Owszem, pierwszy – ale nie jedyny, na Boga, ma przecież dwadzieścia pięć lat! – chłopak tak właśnie wrednie z nią postąpił. Nie dość, że puścił ją kantem, przerzucając się na jedną z przyjaciółek Oliwii, to na pożegnanie poczęstował ją taką gadką: „Jesteś do niczego. Poćwicz z wibratorem, to może coś z ciebie będzie”.

Te słowa bolały do dziś i na paru następnych tamtego gnoja musiała się sprawdzać i udowadniać, że jednak tak do końca beznadziejna to ona nie jest. A gdy już poćwiczyła – nie z wibratorem, jak rzekł wujek-dobra-rada, a z przyjaciółmi tego „wujka” – spotkała się z nim ponownie, ubrana w taką kieckę, że gnojkiw oczy na wierzch wyszły i wacek ze spodni mało nie wyskoczył, rozpalila go pocałunkiem, który do dziś pewnie wspomina, potem ręką, na koniec, nie zdejmując mu spodni, zaczęła się o niego ocierać. Zmysłowo, namiętnie, coraz bardziej dziko poruszała się, mając go między udami, niczym kocica w rui.

Doprowadzony niemal do obłądu, rozpiął rozporek, uwolnił nabrzmiące prącie i sięgnął po nią, ale... ona zaczęła się śmiać. Podle. Z pogardą i odrazą.

– Tym chciałeś zaspokoić kobietę? Tą nędzną namiastką fiuta? Nie, to nawet nie fiut, a żalosne nic. Widziałeś ty kiedyś męskie prącie? Czy ono liczy sobie trzy centymetry długości? We wzwodzie? – I znów parsknęła szyderyczym śmiechem.

Jej były upchnął czym prędzej swoją dumę w slipach, próbując ukryć łzy ponizienia. Zwyczywał ją oczywiście od dziwek, ale to Oliwii już nie obeszło. Zemściła się na gnoju. Odplaciła mu pięknym za nadobne.

– Ja przynajmniej zdjęć twojego korniszona po internetach nie roześle – rzuciła mu na do widzenia, bo to właśnie bydlak zrobił jej: parę półnagich fotek, gdy spała, wrzucił na fejsa i jego znajomi mieli ubaw. Oliwię na taką podłość nie było jednak stać.

Te niechciane wspomnienia przemknęły teraz przez umysł dziewczyny.

Zdmuchnęły z jej twarzy, ukrytej na piersi Nataniela, uśmiezek triumfu. On by jej tego nie zrobił. Nie skrzywdziłby dziewczyny, która oddałaby mu swoją niewinność. Której byłby pierwszym mężczyzną. Nie. On nie sprawiłby cierpienia żadnej kobiecie, czy pierwszej czy ostatniej. Już samo to, z jakim szacunkiem i miłością mówił o swojej mamie... Tym razem poczuła pod powiekami prawdziwe, dobre łzy.

– Nie odrzucaj mnie – wyszeptała, unosząc wzrok i patrząc Natanielowi prosto w pociemniałe oczy. – Naprawdę cię pragnę.

– Ja ciebie też – wydusił przez zaciśnięte zęby.

Mówił prawdę, czy raczej mijał się z prawdą, bo on nie tylko jej pragnął, on jej wściekle pożądał. Oddałby wszystko, by kochać się z nią tu i teraz.

– Chodźmy do ciebie – rzuciła, a on w jej przepastnych źrenicach odnalazł obietnicę.

Wstał bez słowa, unosząc ją ze sobą.

Ubierali się tak spiesźnie, tak gorączkowo, jak za dwa kwadransy będą wbiegali do chaty, zrzucając w pośpiechu kurtki i buty. Wybiegli z dworu, trzymając się kurczowo za ręce, tak szybko, jak za parędziesiąt minut będą zdzierać z siebie bluzki, spodnie i bieliznę.

Nataniel niemal biegł ścieżką przy jeziorze. Niesprawna noga? Jaka? Która? Zapomniał o bólu, zapomniał o kalectwie. Niemal unosił się nad ziemią, ledwie muskając ją stopami. Biec... biec po spełnienie! Biec po radość brania i dawania! Biec po rozkosz i oddanie! Biec aż do utraty tchu! Aż po zatracenie!

Wpadli do chaty. On przekręcił w drzwiach klucz, żeby tym razem nikt im nie przeszkodził, ona dorzuciła do kominka dwa polana i zgasiła światło. Miękki mrok, rozjaśniany jedynie nikłym płomieniem, otulił ich łagodnie, zaprosił w swoje przepastne ramiona, popchnął w stronę łóżka, zasłanego dziś rano przez Nataniela świeżą, pachnącą pościelą, zupełnie jakby przeczuwał, że będzie dzielił je z kimś szczególnym.

Złożył dziewczynę na ołtarzu swoich pragnień. Pozwoliła, by ją rozbierał. Na początku w pośpiechu, gwałtownie zdzierając z niej ubranie, potem, gdy dotknął jej nagiego brzucha, przesunął dłońmi po jej ciepłej, aksamitnie gładkiej skórze od wygięcia szyi aż po ukryte wstydliwie zagłębienie między udami, zwolnił. Bieliznę zdejmował z niej niespiesznie, rozkoszując się cichymi jękami, błagalnym szeptem i tym, jak pięknie wygina ciało pod jego pieśczośliwym, czułym dotykiem.

– Teraz ty – szepnęła, gdy zsunął z niej koronkowe majteczki i zamarł bez ruchu, chłonąc piękno jej nagości.

– Jesteś taka cudna – odpowiedział rwącym się głosem.

– Chodź tu do mnie – wyciągnęła doń ręce.

Zrobił posłusznie to, o co prosiła, bo sam tego pragnął. Chciał, by to ona ściągnęła mu przez głowę koszulkę, rozpięła spodnie, mocując się chwilę z guzikiem i rozporkiem. By wsunęła dłoń w slipy i objęła chłodnymi palcami prącie, pod którego cienką skórą płynęła już nie krew, a wrząca lawa.

Pozbywszy się ubrania – i wstydu, tak, nawet mu przez myśl nie przeszło, żeby ukrywać przed tą niesamowitą istotą swoją pobliznioną kończynę, a ona nawet na te blizny nie spojrzała – położył się między zachęcająco rozwartymi udami dziewczyny,

spojrzał głęboko w jej czarne teraz oczy, i szepnął:

– Chcesz tego tak jak ja?

– Bardziej – odparła, z trudem łapiąc oddech.

Wziął ją jednym silnym pchnięciem, aż jęknęła zaskoczona, ale i gotowa na więcej. Drugie pchnięcie wyrwało z jej piersi niski, gardłowy krzyk. Wygięła się w łuk, wychodząc naprzeciw temu, co dla niej miał. Naprzeciw jego pragnieniu dawania i brania zarazem. Naprzeciw jego gorączkowym szeptom, obietnicom i prośbom. Naprzeciw niemu, Natanielowi, ze wszystkim, czym chciał ją obdarować...

Oboje nie mieli pojęcia – na szczęście albo na nieszczęście – że każdy ich ruch, każdy gest, przytulenie, pocałunek, pęd do spełnienia obserwuje para rozwartych szeroko oczu, oczu wypełnionych szokiem i narastającą nienawiścią. Ta, która patrzyła na kochającą się parę, stała może dwa kroki od okna. Nawet gdyby chcieli, nie mogli widzieć ukrytej w mroku sylwetki, za to ona doskonale widziała ich, w świetle płonącego w kominku ognia. Usta przygryzała coraz mocniej, im bardziej chłopak napierał na ciało tamtej dziewczyny, tym ta, która obserwowała tę grę, silniej wbijała zęby w wargę. Palce, już na początku zacisnięte w pięści, teraz – gdy tych dwoje było bliżej spełnienia – aż pobielaly. Oczy, na początku rozwarte szeroko niczym u śmiertelnie ranionej sarny, zwięzały się w dwie szparki, błyszczące wściekle mimo panujących ciemności.

Wreszcie dziewczyna w środku krzyknęła. Ta na zewnątrz także, ale tak cicho, że nie usłyszał jej nikt. W następnej chwili on jęknął przeciągle i opadł na kochankę, powtarzając jej imię. Ta po drugiej stronie okna jęknęła także, lecz z rozpaczy, nie ekstazy. Gdy on szeptał imię kochanki, ta, która stała pod oknem, syczała słowa przysięgi:

– Zapłacisz mi za to, klnę się na własne życie. Zapłacisz...

Gdy on wstał, ta po drugiej stronie szyby patrzyła oczami pełnymi łez na jego nagie, piękne, męskie ciało, błyszczące od potu, i zaciskała uda w bolesnym niespełnieniu. Był tak blisko, a tak nieosiągalny... Wsunęła dłoń między nogi i przez chwilę pracowała w milczeniu nad namiastką tego, czym on obdarował tę rudą dziwkę. Płonąc ze wstydu, zaspokoila najdotkliwszy głód, wiedząc, że wieczorem, leżąc samotnie w łóżku, powróci dłonią do spragnionej dotyku – nie jej dotyku przecież, a jego! – kobiecości, i sycząc przekleństwa, wycofała się krok za krokiem w najciemniejszą noc. Chwilę później po podglądacze nie został nawet ślad, zasypany przez śnieg.

Tamtych dwoje zaś, sytych i niczego nieświadomych, poszło pod prysznic, ubrało się spiesznie, a potem szybkim krokiem wróciło do dworu. Akurat na czas, by jakby nigdy nic powitać Martę z Emilką.

Ziarno nienawiści zostało jednak rzucone na podatną i żyzną glebę. Wybuchnie już niedługo, niosąc to, co nienawiść przynieść potrafi: łzy, nieszczęście i ból. Oby nie śmierć. Oby...

## ROZDZIAŁ IX



K

ażdy, kto choć trochę znał tych dwoje młodych ludzi, zauważyłby, że między nimi coś musiało się wydarzyć, a w ich relacji zaszła subtelna zmiana. Ona zerknęła co i rusz na chłopaka, rumieniąc się lekko, gdy odwzajemniał spojrzenie, on niby przypadkiem próbował jej dotknąć, otrzeć się o jej ramię swoim ramieniem czy chociaż sięgnąć na tyle blisko, by podając Marcie talerzyk z ciastem, musnąć dłoń dziewczyny, która to ciasto kroїła.

Marta była uważnym obserwatorem. Natychmiast wychwyciła zmianę nastroju z niechętnego na jak najbardziej chętny i... gdyby mogła, uśmiechałaby się szeroko niczym Budda, czy bardziej swojsko: szkolny łobuziak, któremu udał się psikus. Przecież od pierwszej chwili, gdy poznała Nataniela, chodziło jej po głowie zapoznać go ze swoją córką. Wydawało się, że spotkanie tych dwojga w Wigilię przekreśli owe plany, ale kilka dni później musiało coś między nimi zaskoczyć.

Oby tylko nie byli zbyt lekkomyślni! Oliwia nie wygląda na taką, co marzy o gromadce dzieci. Emilki nie darzy sympatią – Marta spochmurniała w tym momencie. Jeśli Oliwii marzy się Nataniel, bierze go z całym dobrodziejstwem inwentarza: chatą nad jeziorem, bo młody mężczyzna z powrotem do miasta raczej się nie wybiera, i czarnowłosą wiercipiętą zwaną Emilką, bo chłopak jest zbyt odpowiedzialny, by oddać dziecko, które mu powierzono. Nawet jeśli zakochałby się do szaleństwa...

Zamyśliła się, patrząc, jak Nataniel i Oliwia rozmawiają z Mateuszem i Emilką, udając, iż nie zauważają siebie nawzajem. Że to drugie nie siedzi tuż obok, tak blisko, że wyciągniesz rękę i możesz dotknąć jego ramienia, a mimo to – chociaż pragnienie, wcale nie zaspokojone w chacie nad jeziorem, wręcz przeciwnie, rozbudzone jeszcze bardziej, aż pali w łędźwiach – jakby nigdy nic prowadzić przyjacielską pogawędkę o pogodzie i dokarmianiu saren.

– Zbiorę talerze – odezwał się Nataniel, gdy kolacja dobiegła końca.

– Pomogę ci! – Oliwia poderwała się ze swojego miejsca, zanim Marta zdążyła wyartykułować:

– Dajcie spokój, pozmywam jutro.

W trzy sekundy talerze zniknęły ze stołu, a młodzi z jadalni.

Mateusz uniósł brwi w niemym zdumieniu, po czym spojrzął pytająco na Martę.

– Wygląda na to, że twoja mała intryga odniosła skutek.

– Specjalnie się nie naintrygowałam – rzekła, uśmiechając się do siebie. – Wystarczyło zostawić tych dwoje samych na parę godzin.

– Oliwia gotowa jest zamieszkać w Sennej?

To pytanie, na pozór zupełnie niewinne, zdmuchnęło z jej twarzy ten uśmiech.

– Ma kilka pomysłów na przyszłość – rzekła wymijająco.

Prawdę mówiąc, jej córka rozprawiała li tylko o wyjeździe do Stanów, gdzie zaproponowano jej pracę w renomowanej stadninie, o zamieszkaniu na wsi nie zająknąwszy się ani słowem. Czy nagłe zauroczenie przystojnym sąsiadem wystarczy, by ją tutaj zatrzymać?

– Co tam tak cicho? – Mateusz obejrzał się na drzwi do kuchni, zwykle otwarte, teraz zamknięte na głucho.

– Całują się – oznajmiła Emilka, która do tej pory siedziała jak trusia, składając z papierowych serwetek armię słoników.

– A skąd ty, dziecko, o tym wiesz?! – wykrzyknęła Marta.

Dziewczynka wzruszyła ramionami.

– Gdy przyszliśmy, też się całowali. Biegłam przodem, pamiętasz, ciociu? Zakradłam się, żeby popukać w szybę i ich przestraszyć, a oni stali i buzi, buzi.

– Nieładnie podglądać!

– Nie podglądałam! Obejrzałam, zapukałam w okno i to był koniec całowania na wtedy. Teraz na pewno znów to robią. Będą z tego dzieci. – Emilka, nie odrywając oczu od składanego słonika, pokiwała głową niczym stuletni starzec, który przeżył już wszystko, co było do przeżycia, i nic go nie zaskoczy.

Marta oniemiała, nie bardzo wiedząc, co ma na to odpowiedzieć, Mateusz klepnął się dłońmi w uda, z trudem powstrzymując rozbawienie.

– Od całowania do dzieci droga daleka – zauważył z powagą, czekając, co też dziewczynka wymyśli.

– Ja tam nic nie wiem – zaczęła, podnosząc nań wzrok. – Ale moja niania mówiła: najpierw całowanie, potem przewijanie. I miała na myśli właśnie dzieci! Bo powtarzała to zawsze, gdy w telewizji pan z panią właśnie buzi, buzi.

– Miała jeszcze jakieś mądrości w zanadrzu? – zapytał ciekawie mężczyzna, zanim Marta kopnęła go pod stołem w łydkę.

– Owszem – odparła z powagą pięciolatka – co nie odrośnie, to się nie wymydli. Nie wiem dokładnie, co to znaczy, ale powtarzała o tym odrastaniu i mydleniu za każdym razem, gdy pani w telewizji nie chciała się już całować, a pan chciał. Potem niania wyłączała telewizor, więc nie pytaj, wujku, co było dalej. Pewnie dzieci. – Ramionka znów powędrowała w górę i w dół.

Wyglądało to, w połączeniu ze śmiertelną powagą na buzi dziecka, przekomicznie. Mateusz, od dłuższej chwili krztusząc się ze śmiechu, w końcu nie wytrzymał i roześmiał się na głos. Posłała mu urażone spojrzenie, ale w tym momencie wróciła do pokoju zarumieniona Oliwia i uwaga zebranych przy stole natychmiast skupiła się na niej.

– Gdzie Nat? – chciał wiedzieć Mateusz.



– Wyszedł po drewno – odpowiedziała, spuszczać wzrok.

Prawdę mówiąc, Nataniel musiał nieco ochłonać, bo na niego pocałunki i pieszczoty, wykradane sobie nawzajem, działały znacznie silniej niż na dziewczynę. Jej, owszem, sprawiały przyjemność – jakżeby nie! – lecz potrafiła zapanować nad pragnieniem, Nataniel zaś musiał użyć całej siły woli, by nie wziąć dziewczyny na ręce, nie wymknąć się z nią na poddasze i tam, w którymś z gościnnych pokoików... albo w łazience...

Oliwia przeszła do salonu, usiadła w narożniku wygodnej kanapy, otulając się miękkim pledem i popijając herbatę ze skórką pomarańczy, tak jak lubiła, podążyła myślami za chłopakiem.

To, co jeszcze dziś rano miało być czystym sportem bez emocji, ot, zapragnęła zdobyć tego przystojniaka i właśnie się jej to udało, zaliczony-odhaczony, teraz wyglądało zupełnie inaczej. Intencje, z jakimi go uwiodła, zaczęły Oliwię uwierać. Zaraz po tym, jak kochali się w chacie, a Nataniel wyszedł do łazienki, posłała swej najlepszej kumpeli radosnego esemesa właśnie tej treści:

„Zaliczony-odhaczony! Ale miałam jazdę! Wyposzczony chłopaczyna za nas dwoje!”

Jessica odpisała niemal natychmiast: „Dobry jest?! Ty też doszłaś czy wiesz: tartak?!”

„Koooochana... Chciałabyś mieć codziennie taki tartak” – odpisała, rumieniąc się mimowolnie.

„Cool! Wpadnę w odwiedziny zaraz po sylwku i wypróbuję tego drwala! Chyba nie masz nic przeciwko? Nie poskąpisz przyjaciółce?”

Oliwia odpisała: „Bierz go sobie”, bo tak należało odpisać.

Z Jessy Harp zamieniały się facetami od czasu, jak tamten bydlak zdradził Oliwię z przyjaciółką, zaś ukochany Jessiki stwierdził któregoś dnia, że chyba woli chłopców. Cóż, Jessica, choć beznadziejnie zakochana, nie miała szans z drugą płcią. Zresztą seks, którego jej facet się domagał, do przyjemnych nie należał. Zraniona słowami tak samo jak Oliwia, poprzysięgła sobie, że już nigdy żadnego nie pokocha. Nigdy! I odpłaci facetom tą samą monetą: da posmakować, jak świetnie może być z nią w łóżku, a potem, gdy będą nakręcali się coraz bardziej, wyszydzi, obśmieje i pokaże fakowca. Byle się nie zakochać!

Dlatego właśnie dzieliła się zdobyczami z Oliwią: facet, który sypia z tobą i twoją przyjaciółką tym jedynym nie zostanie. *No chance*. I dlatego Oliwia wypisywała do Jessiki takie esemesy zaraz po cudownych chwilach z delikatnym, lecz jednocześnie namiętnym, uważnym na jej pragnienia Natanielem. Żeby tamta nie domyśliła się, iż... ten facet może być tym jedynym. Jessica by ją śmiechem zabiła! Tak po prostu!

W tej jednak cichej, wieczornej godzinie, gdy Marta z Emilką poszły na górę gotować się do snu, Mateusz pożegnał się i poszedł do siebie, a ona, Oliwia, zawinięta w miękki koc i wpatrzona w rozmigotane płomienie, czekała na powrót Nataniela, czuła... czuła całym sercem, że powinna dać sobie i jemu szansę. Zaufać... oddać się w dobre ręce tego mężczyzny, który – wiedziała to, po prostu wiedziała! – nie był zdolny uczynić krzywdy komuś, kogo pokocha. Wprawdzie pasowali do siebie mniej więcej tak jak ogień i woda, nożyce i kamień, ale... przeciwieństwa się przyciągają, prawda?

Wszedł do pokoju. Zapytał spojrzeniem, gdzie są Marta z małą. Oliwia wskazała sufit. Podeszedł do niej cicho jak kot, zagarnął w ramiona i zaczął tak całować, wsunawszy głodne ręce pod jej bluzkę, że dziewczyna poczuła, że omdlewa. Osuwa się po prostu w rozkołysaną, gorącą czerń. Trzymał ją mocno i nadal całując, zsunął dłoń w jej dzinsy, uniosła się nieco, wyszła mu naprzeciw. Zagłębił palce w jej rozpalone wnętrze i doprowadził do rozkoszy – całkowicie ubraną, zaplątaną w koc – jedynie tymi palcami, zatykając dziewczynie usta drugą ręką, gdy zaczęła pojękiwać coraz głośniej. Spazm rozkoszy, który nią szarpnął, był tak silny i obezwładniający, że jęknęła z głębi duszy, zanim zdążył ją uciszyć.

Tulił dziewczynę dotąd, gładząc po mokrym od łez – skąd u niej te łzy?! – policzku, aż odzyskała oddech, uniosła ciężkie powieki i spojrzała w granatowe oczy Nataniela.

– A ty? – szepnęła, wiedząc, że niespełnienie musi sprawiać mu fizyczny ból.

– Innym razem – odparł cichym, niskim tonem. – Większą przyjemność daje mi to, że ty jesteś szczęśliwa.

Oliwia odwróciła głowę, nie śmiąc spojrzeć w jego czułe, szczere oczy. We wszystkim, co ona robiła, były fałsz i wyrachowanie. We wszystkim, co robił on, uczciwość i bezinteresowność. Był po prostu dobrym człowiekiem. Ona zaś...

Już po tym, jak kochali się pierwszy raz, gdy szedł u boku dziewczyny ścieżką nad jeziorem, splatając dłoń z jej dłonią, prosił, by nie robiła sobie za wiele nadziei.

– Nie wiem, czy potrafię cię pokochać – mówił cicho, pragnąc, by dobrze zrozumiała jego intencje. – Z Iwoną rozstałem się tak niedawno, jakby to było wczoraj, nadal ją kocham. Wybacz, Oliwio, ale chcę być z tobą uczciwy. Jeśli poczułaś się wykorzystana, wybacz również. Postaram się trzymać ręce przy sobie.

– Pragnęłam tego równie mocno jak ty – odparła cicho. – I nie jestem naiwną dziewczynką, Nat. Nie zakochuję się od pierwszego wejrzenia w pierwszym facecie, który mi wsadzi łapę w majtki. Oczekuję od miłości mego życia czegoś więcej. Nie pochlebiaj sobie, że po jednym numerku stracę dla ciebie głowę. I również nie czuj się zawiedziony, gdy ja wrócę do Warszawy, ty zostaniesz tutaj i na tym nasza... nasze coś, czego nawet romansiem nazwać nie można, się zakończy.

Kiwnął głową, a Oliwia zauważyła, że zacisnął przy tym lekko szczęki. Zapewne spodziewał się łez i błagań... Wtedy, zanim dotarli do dworu, jeszcze kpiła sobie w duchu z naiwności chłopaka, teraz, parę godzin później, gdy tulił ją w silnych, bynajmniej nie chłopięcych, a męskich ramionach, i ona czuła się tak bezpieczna jak chyba nigdy wcześniej... zapragnęła odwołać tamte słowa, wymazać je ze swojej i jego pamięci, a potem... zacząć od nowa z nadzieją, że jednak zdarzy się im coś więcej niż przygoda na jeden wieczór.

Teraz też spoczywała w jego ramionach, cicha, ukojona, i bardziej niż kiedykolwiek pragnęła, by ta chwila trwała...

– Za kilka dni wracam do Poznania, tam mieszkałam przez parę ostatnich lat, a potem wyjeżdżam do Stanów. Być może na zawsze – odezwała się szeptem, patrząc przed siebie.

Odpowiedziała jej cisza.

Nataniel gładził ją opuszkami palców po policzku i milczał.

– Nie poprosisz, bym została? – Uniosła wzrok i zajrzała w jego spokojne, zamysłone oczy.

– A to by coś zmieniło?

– Spróbuj.

Uśmiechnęła się lekko. On spojrzał w twarz dziewczyny tak uważnie, jakby chciał zajrzeć na dno jej duszy – Oliwia zadrżała w głębi serca, że odnajdzie tam jedynie fałsz i owo wyrachowanie, jakie do niedawna dlań miała – a potem odrzekł:

– Zostań, proszę. Zostań, jeśli nawet nie dla mnie, to dla twojej mamy. Ona tak bardzo cię kocha i tak by pragnęła odzyskać to, co was kiedyś łączyło. Zostań, Oliwio...

Marcie, która schodziła po schodach i słyszała te słowa, łzy zakreśliły się w oczach. Jedną, nim zdążyła obetrzeć ją wierzchem dłoni, spłynęła po policzku. Kobieta stanęła, bojąc się głośniej odetchnąć, i czekała z sercem zamartwionym w pół uderzenia na odpowiedź córki.

– Ona powinna mnie o to poprosić, nie ty – zaczęła dziewczyna.

– Mylisz się – wpadł jej w słowo. – Ty ją znienawidziłaś bez powodu, ty ją zraniłaś i ty odeszłaś. – Jego głos brzmiał odrobinę ostrzej niż poprzednio.

Oliwia skrzywiła na moment usta w wyrazie niechęci, ale po chwili odrzekła, po raz pierwszy od sześciu lat siłąc się na szczerość w stosunku do samej siebie:

– Masz rację. Wina leży po mojej stronie. Jeśli matka też tego chce... Żebym została...

– Ona przede wszystkim pragnie twojej miłości – sprostował Nataniel, naprawdę z trudem znosząc pogardliwy ton dziewczyny i słowo „matka”. Oddałby pół życia, żeby miał do kogo mówić „mamo”. – Czy będziesz blisko, tutaj, na sąsiedniej ulicy, czy przeciwnie: dzielić was będzie ocean, jeśli wróci bliskość, która była między wami, jeżeli odnajdziecie wszystko to, co zagubiliście przez tych sześć długich lat, myślę, że obie będziecie szczęśliwe. Wyciągnij do mamy rękę na zgodę, odbuduj mosty czy też zasyp przepaść i... nieważne, co postanowisz. Czy zostaniesz, czy wyjedziesz. Jeśli ty będziesz szczęśliwa, Marta również będzie.

– Takie to proste? Wybaczyć, zasypać i już? – odezwała się zaczepnym tonem.

– Spróbuj.

– Całe życie mieszkałam w wielkim mieście. I teraz prosisz, bym zapadła się w leśnej głuszy?

– Domagałaś się, bym poprosił, więc...

– Przecież to absurd! Co niby miałabym tu robić? Krowy doić?!

– A to wstyd czy grzech? Nie wiem dokładnie, ilu ludzi w Polsce mieszka i pracuje na wsi, ale jakoś żyją. Krowy doją. Nawet kochają te swoje małe ojczyzny i nie wynieśliby się nigdzie indziej.

– To bynajmniej nie takie proste, jak ci się wydaje! Mam swoje życie i swoje plany, nic mi nie wiadomo, by należała do nich przeprowadzka na wieś!

– Rozumiem – uciął. – Naprawdę nie musisz się tłumaczyć. Nie każdy nadaje się do takiego życia, ja...

– Domyślam się, co zaraz powiesz – w jej głosie zabrzmiał gniew – że ty ze swoją chorą nogą jakoś sobie radzisz, tym bardziej poradzę sobie ja. Zważ jednak, że ty chciałeś

tu przyjechać, a mnie końmi by na wieś nie zaciągnęli.

– A jednak też tu jesteś. Dobrowolnie. I nie wciskaj mi w usta słów, które masz na myśli. Chciałem powiedzieć, że ja zostałem zmuszony do opuszczenia domu i miasta. Gdyby nie to, pewnie wyprowadzka na wieś również do głowy by mi nie przyszła. Lubiłem Mazury, owszem, ale raz na jakiś czas, krótko, z pokładu łódki. Z zimnym piwem w jednej ręce i sterem w drugiej. Nigdy nie przypuszczałem, że zapragnę tu zostać. Do czasu, aż zobaczyłem tę moją rudę, nabrałem w płuca powietrza, które pachnie jak nigdzie indziej, i poczułem się wolny. Prawdziwie wolny.

– Brzmi pięknie – odrzekła z przekąsem. – Ale jesteś nie tyle wolny, co do bólu samotny. Tak wyposzczonego faceta... – Ugryzła się w język, widząc, jak twarz mu tężeje.

– Wierz mi, gdybym chciał pierwszej lepszej, wystarczyłoby wyciągnąć rękę – rzekł powoli, a ona zrozumiała, że właśnie to zrobił. Wziął tę, która mu się nawinęła.

Wstał.

– Czas na mnie.

I z romantycznego związku dwojga samotnych dusz nici...

Narzucił na ramiona kurtkę. Na głowę kaptur obszyty futrem. Na progu zatrzymał się i powiedział miękko, próbując złagodzić swoje ostatnie słowa:

– Proszę cię, przemyśl wszystko, o czym rozmawialiśmy. Może dasz szansę temu miejscu, sobie i twojej mamie. Może dasz szansę... – Chciał dokończyć „nam”, ale... nie. Po co się oszukiwać. Dla ich związku nie było przyszłości.

Ona zrozumiała to również – i zabolalo – ale najbardziej dotknięta niedopowiedzianym słowem Nataniela poczuła się Marta. To on miał zatrzymać Oliwię w Sennej. To w nim, tym niewdzięczniku, pokładała resztki nadziei. Tymczasem przespać się z jej córką, owszem, Nataniel potrafił, ale na coś więcej nie było go stać? W czym Oliwia była gorsza od tej latawicy Iwony?!

Marta potarła twarz zmęczonym gestem, wiedząc, że jest niesprawiedliwa w stosunku do przyjaciela. On nie pragnął związku właśnie dlatego, że Iwona, na której punkcie oszalał do szczytu, zraniła go w najgorszy, najboleśniejszy możliwy sposób. Zdradziła, opuściła, okradła. I, jakby tego brakowało, podrzuciła mu na wychowanie dziecko. Czy można się było dziwić młodemu mężczyźnie, że wszelkich związków, zakochań i ślicznych dziewczyn ma dosyć? Przynajmniej do czasu, aż rany nieco się zabliznią?

– Podśluchiwałaś – padło nagle ostre słowo.

Marta otworzyła szeroko oczy. Oliwia stała u stóp schodów i patrzyła na matkę z chłodem w złocistych źrenicach.

– Przepraszam, ja...

– Na litość boską, nie mogłabyś choć raz mi się postawić?! Nie przepraszaj za to, że żyjesz! Jesteś w swoim domu i masz prawo stać na tych schodach i słuchać tego, co mówią w twoim salonie!

Ileż było złości w głosie dziewczyny. Ile pogardy...

– To nie jest mój dom – próbowała bronić się Marta.

– I to cała odpowiedź. – Oliwia wzruszyła ramionami. – I ja miałabym tu zostać

i żyć z tobą pod jednym dachem.

Jej matka powinna była wybuchnąć tak jak sześć lat temu: „Nikt cię do tego nie zmusza! Nie podoba ci się nasz dom, to wynocha!”, lecz zmilczała. Już raz przez takie słowa córkę utraciła. Dziś miała szansę ją odzyskać, lepiej więc zacisnąć zęby. Pozwolić, by słowa Oliwii wybrzmiały w ciszy, przepadły w niebyt. Może jednak...

– Jutro z samego rana wracam do cywilizacji – oznajmiła nagle Oliwia głosem tak zaciętym, że nikt by jej do pozostania chociaż dzień–dwa dłużej nie zmusił.

Marcie łyzy stanęły w oczach. Odwróciła się gwałtownie, by znów nie usłyszeć od córki ostrych słów. Nie chciała wiedzieć, co Oliwia sądzi o matkach mażących się z byle powodu.

– Wyślę esemesa, że dojechałam szczęśliwie – dziewczyna dodała cicho i Marta zrozumiała, że Oliwia chociaż w ten sposób przeprosza i wyciąga na zgodę rękę. Posłała córce nikły uśmiech i wróciła do pokoju na piętrze, gdzie spała Emilka.

Na widok dziecka, posapującego z buzią wtuloną w poduszkę i nogami wystającymi spod skotłowanej kołdry, spróbowała się uśmiechnąć. Podeszła na palcach do łóżka, ujęła bosą stópkę, potrzyzymała chwilę zamkniętą w dłoni, a potem pochyliła się i ucałowała gładką, pachnącą płynem coca-colowym piętę, tak jak to setki razy czyniła dawno temu, gdy Oliwia była jeszcze małą, słodką Olusią...

– Nie oddam cię, kruszyno – wyszeptała nagle, czując ból w sercu na samą myśl, że ktoś – nieczuła matka Emilki, ciotka albo dziadkowie – mógłby przyjść i ot tak zabrać dziecko. – Nie pójdziesz tam, gdzie cię nie kochają. Zostaniesz z Natanielem i ze mną. Tu będzie twój dom.

Otuliła Emilkę kołdrą i przeszła do swojego pokoju, wiedząc, że dziś zaśnie spokojnie. Bez strachu, co jutro podłego zrobi lub powie jej własna córka.

Już nie.

## ROZDZIAŁ X



liwia jak powiedziała, tak zrobiła. Marta zdążyła jej tylko kanapki na drogę zrobić, a potem szybko ubrać marudzącą Emilkę – żeby odwieźć Oliwię na poranny pekaes, musiała zbudzić małą skoro świt – i parę kwadransów później patrzyła, jak autobus powtórnie zabiera jej własne dziecko daleko stąd. Oliwia miała jasny plan: stadnina w Arizonie, zaś jej matka wołała nie sprawdzać, ile tysięcy kilometrów będzie je od tej chwili dzieliło. I tak ledwo powstrzymywała łzy, machając Oliwii dotąd, aż autobus zniknął za zakrętem.

– Nie płacz, ciociu – odezwała się Emilka, mocniej zaciskając palce na jej dłoni. – Niania mówiła, gdy płakałam za mamusią, że złego diabli nie biorą...

– Emilko! – Marcie łzy naraz obeschły, a dziecko podniosło na nią zdumiony wzrok. – Tak nie wolno mówić! Nie o własnej matce!

– Ale to przecież dobrze, że diabli nie chcą jej zabrać! – odparła dziewczynka. – Mama pojechała do sanktuatorium i wróci, gdy się udobrucha... Udobrzy...

– Wydobrzeje – poprawiła ją odruchowo Marta, zastanawiając się, czy nieroztropna niania dla roztropnego dziecka to rzeczywiście dobry pomysł. – Pojechała do sanatorium i wydobrzeje, ale nie wolno mówić, że twoja mama jest zła.

– Ale zostawiła mnie z nianią – upierała się dziewczynka. – Czy dobra mama oddaje swoją córeczkę? No? Oddaje?

– Czasami nie ma wyboru – odparła cicho Marta.

Należałoby potępić w duchu Iwonę, która po urodzeniu dziecka powinna się ustatkować, zmienić... profesję na bardziej odpowiednią, ale... ona, Marta, była lekarką i zabiła dziecko. Która z nich ma więcej na sumieniu?

– O swojej mamusi nie możesz się źle wyrażać. Nigdy. Nosiła cię w brzuszku, urodziła, wykarmiła i jestem pewna, że bardzo cię kocha.

– To gdzie teraz jest, zamiast być ze swoją córeczką? – Dziewczynka spojrzała na Martę oczami pełnymi łez.

– Dobrzeje w sanatorium, pamiętasz? A córeczka ma tutaj sporo zajęć. Musi podsypać sianko pewnemu zgłodniałemu kucykowi.

Dziewczynka na wzmiankę o Kacperku powinna się rozchmurzyć – z matką nie

była zbyt związana, widywała ją rzadko, wychowywana od urodzenia przez ciągle zmieniające się niańki – lecz to właśnie Iwona, choć być może nie zdawała sobie z tego sprawy albo w to nie wierzyła, stanowiła jedyny stały punkt na ciągle zmieniającym się firmamencie dziecięcego istnienia. To ją wołało dziecko w chwilach smutku, gdy rozbiło sobie kolanko, spadło z huśtawki, śniło zły sen albo było chore. Ją, nie Dorotkę, Kasię czy kto tam się Emilką w danej chwili opiekował. To matka przytulała swą córeczkę z prawdziwą, nieudawaną miłością, to jej czuła dłoń ścisnęła rączkę dziecka, gdy leżało w szpitalu po upadku z drabinek.

Iwona nie doceniała swego znaczenia w życiu córeczki. A może wręcz przeciwnie? Może celowo odsuwała dziecko od siebie, by nie cierpiało ono i nie cierpiała ona sama, gdy przyjdzie zły czas?

Tak. Czy Iwona z rozmysłem to uczyniła czy też nie, dziś jej wybór przynosił efekty: dziecko oddane obcym, nie pierwszy raz przecież, tęskniło za mamą, ale owa tęsknota nie łamała Emilce serca.

Teraz jeszcze trochę popłakała, naburmuszona wsiadła do samochodu, który Marta pożyczyła od Mateusza, ale już po chwili zapomniała o dąsach, dopytując o małego kucyka na krótkich nóżkach. Nataniel obiecał, że będzie mogła dziś na nim pojeździć i Emilka, przypomniawszy sobie o tym, aż podskakiwała w foteliku, nie mogąc się doczekać.

Wjechały na podwórze, w momencie kiedy drogą od strony leśniczówki nadszedł Mateusz. Nataniel wyszedł więc im wszystkim naprzeciw.

– Wujku Natanielu, wujku Natanielu, mogę pojeździć na kucyku?! Już teraz?! Obiecałeś!

Chłopak złapał dziewczynkę wpół, obrócił dookoła, podrzucił dwa razy w górę, aż zapiszczała ze strachu, po czym cmoknął ją w policzek i odparł:

– Nie w tej chwili, słonko. Muszę coś bardzo pilnego załatwić w Olsztynie. Zabiera się ze mną wujek Mateusz, a ty zostaniesz z cicią Martą w chacie. Znalazłem w internecie fajną grę edukacyjną dla dzieci.

– Chyba żartujesz... – odezwała się Marta, niemile zdziwiona. – Pięciolatkę będziesz przed komputerem sadzał?

Posłał jej równie zaskoczone spojrzenie.

– Jakieś zajęcie musi mieć, gdy ja będę pracował w domu czy w obejściu. I nie jest to żadna głupia, odmóżdżająca gierka, ale interaktywna nauka czytania dla małych dzieci. Tylko patrzeć, a będzie pochłaniała książeczki.

– Ja mogę czytać jej już teraz! – sprzeciwiła się kobieta.

Dziecko patrzyło z ciekawością to na nią, to na opiekuna. Mateusz milczał. Bardzo chciałby wziąć stronę Marty, ale co mała dziewczynka na takim odludziu będzie robiła, gdy Nat dostanie pilną robotę i przepadnie w niej na całe godziny? Sama ze sobą będzie w bierki grać? Wolał jednak milczeć, niż otwarcie poprzeć przyjaciela, a sprzeciwić się Marcie. Taki to już tkwił w nim mały tchórz, jeśli chodzi o ukochaną doktor Kraszewską.

Nataniel jednak miał swoje zdanie i nie zamierzał go zmieniać.

– Marta... – zaczął, ostrożnie dobierając słowa, by jej nie urazić. – Ty niedługo wracasz do Irlandii, ja zostanę z dzieckiem sam. Nie będę miał czasu, jeśli chcę

oczywiście zarobić na nas oboje, skakać przy małej całymi dniami. Muszę Emilce znaleźć zajęcie...

– Postanowiłam zostać w Sennej na stałe – wpadła mu w słowo. – Zaopiekuję się Emilką, gdy ty będziesz pracował.

Nataniel milczał parę chwil, nie do końca będąc pewnym, czy powrót Marty do Sennej, a raczej jej nagłe zainteresowanie opieką nad dzieckiem, koniec końców wyjdzie im wszystkim na dobre czy raczej nie.

– Emilka nie zostanie tu na zawsze – odezwał się w końcu. – Wróci do mamy, gdy tylko ta wyjdzie z... sanatorium.

– Właśnie! Wrócę do mamy! – zawtórowała mu dziewczynka, rada, że może wtrącić swoje trzy grosze.

– Nie wiadomo, jak długo Iwona w tym sanatorium zabawi – ucięła stanowczo Marta. – Do tego czasu będziemy zajmować się Emilką we troje. Ja, ty i Mateusz. I wierz mi, Nat, nie potrzebujemy do tego komputerów i gier, choćby nie wiem jak edukacyjnych.

– Ale ja potrzebuję! – sprzeciwiła się Emilka.

– Ty nie masz nic do powiedzenia – uciszyła ją Marta równie stanowczo.

– Ej... ciociu Marto... – Natanielowi coraz mniej się to podobało, chociaż jeszcze próbował obrócić sprzeczkę w żart. Oni się do tej pory nie sprzecali! Nigdy! – Emilka została oddana pod opiekę mnie i pozwól, że ja zadecyduję, jak w moim domu będzie spędzać czas.

Marta zorientowała się nagle, że dalszą ingerencją w plany Nataniela może więcej stracić, niż zyskać. Jeśli chciała wprowadzić w życie własne zamierzenia, musiała czynić to roztropnie, stopniowo, łagodnie i niezauważalnie. Najlepiej rękami Nataniela.

– Masz rację, Nat, masz świętą rację – przyznała, co nieco zaskoczyło chłopaka. – Pozwolisz jednak, że we dworze będziemy czytać książeczki, a nie klikać w gry?

– Tak, oczywiście, w swoim domu możesz uczyć Emilkę chińskiej kaligrafii, jeśli taka będzie wasza wola.

Marta roześmiała się. Dziewczynka, wyczuwając, że Nataniel, a i Mateusz też, nie jest rozbawiony, pozostała poważna.

– Nie lubię kalafiorów – oznajmiła. – Po chińsku też nie.

To rozbroiło także ich.

– Kaligrafia, skarbie. – Nataniel poczochnął jej czarne włoski. – Piękne pisanie literek.

– Ja umiem napisać, całkiem pięknie, E-m-i-l-k-a. Emilka. To ja. – Wskazała na siebie, jakby ktokolwiek miał wątpliwości, o kim mowa.

– Po co jedziecie do Olsztyna? – Marta zmieniła temat.

– Za część pieniędzy, niewielką, które zwróciła mi... wiadomo kto... muszę kupić jakiegoś grata. Mamy w tym momencie jeden samochód na trzy domy. Mateusz ma swój, ja muszę mieć, ty również, skoro postanowiłaś wrócić na wieś. Jedziemy po niedrogą terenówkę dla mnie.

– Ja swoją sprzedałam w zeszłym roku, więc rozejrzyjcie się za jakimś miłym autkiem i dla nas. – Marta przytuliła Emilkę, by nikt nie miał wątpliwości, o kim mówi.

Nataniel to „nas” wołał przemilczeć, chociaż perspektywa wojny o dziecko – i to



jeszcze nie jego własne – wcale mu się nie podobała. Jednak potrzebował pomocy w wychowaniu dziewczynki. A kto lepiej mu w tym pomoże niż dusza człowiek Marta, lekarz pediatra na dodatek?

– Znajdziemy i dla was jakieś autko – odparł na głos.

Marta postawiła sobie w myślach pierwszy plus. Tę małą bitwę zremisowała.

– Nie spieszcie się... – Postanowiła ją wygrać. – Pewnie zejdzie wam do wieczora. Obejrzymy wasze dzieło – Nataniel zadzwonił rano, że pokój dla dziecka jest gotowy – a potem wrócimy do dworu. Tam Emilka ma swój kącik, swoje łóżeczko i firankę w księżniczki, prawda, kruszynko?

Dziewczynka skinęła głową.

– Ale tutaj mam wujka Nataniela i kucyka Kacperka! – dodała.

– Oczywiście. I będziesz miała. Przecież nigdzie się nie wybierają! – Marta uspokoiła ją natychmiast. – Szerokiej drogi, kochani. Wracamy do siebie.

Emilka, zapomniawszy najwidoczniej o pokoiku w chacie, podbiegła do Nataniela, uściskała go, cmoknęła w policzek i w podskokach pobiegła za Martą.

Chłopak odprowadził je spojrzeniem, lekko marszcząc brwi. Coś zaczęło mu się bardzo, ale to bardzo nie podobać...

– Daj spokój, Nat. – Mateusz położył mu rękę na ramieniu. – Marta to kobieta, na dodatek bardzo opiekuńcza, jak wiesz, a Emilka potrzebuje matki, nie dwóch starych kawalerów. I kucyka.

– Wszystko ładnie-pięknie, tylko co zrobi Marta, gdy zjawi się prawowity opiekun?

– To będzie problem Marty.

– Mylisz się, bo nie tylko ona będzie rozpaczać. Jest jeszcze dziecko, które przywiąże się do Marty, pokocha ją, a potem siłą zostanie od niej oderwane. Oby jeszcze trafiło w ręce Iwony, swojej matki, ale może się po małą zgłosić zupełnie kto inny...

– Niby kto? – Mateusz posłał mu zdziwione spojrzenie.

– Siergiej. Ojciec małej.

Mężczyzna wciągnął powietrze, szczerze zaskoczony.

– Sodarow jest ojcem Emilki?! Skąd ci to przyszło do głowy?!

Nataniel wzruszył ramionami.

– Mam takie podejrzenia. Nawet jeśli nie on, to mała ma przecież ojca.

– W akcie urodzenia, który Iwona dołączyła do listu, jest jej nazwisko. Tak się robi, gdy ojciec jest nieznany.

– Jestem pewien, że Iwona zna ojca Emilki. Pytanie, czy on wie, że ma córkę, a jeśli wie, kiedy zamierza sobie o niej przypomnieć.

– Wiesz, jacy są faceci: o dziecku wolą raczej nie pamiętać, niż pamiętać.

– Zgoda. Do momentu, gdy staje się im w jakichś celach potrzebne. Wtedy nagle sobie przypominają i... poleją się łzy.

Nie było na to dobrej odpowiedzi.

Mateusz wszedł do samochodu, Nataniel za kierownicę. Ruszyli.

– Naprawdę myślisz, że to Sodarow? – odezwał się mężczyzna ponownie. Odpowiedziało mu wymowne milczenie. – Ma dwór Marty... Może mieć Emilkę... Coraz mniej mi się to podoba – wymamrotał zaszepiony. – Będziesz chyba o nią walczył?

O dziewczynkę? Iwona powierzyła ją tobie, nie Siergiejowi! Jemu psa bym nie oddał pod opiekę, co dopiero małe dziecko.

– Nie wiem, co zrobię, gdy nasz sąsiad wróci do Sennej i upomni się o Emilkę, ale wiem, co zrobię, zanim wróci – odparł Nataniel pewnym głosem. – Porozmawiam z jej matką. Zaraz po nowym roku pojedę do... więzienia – z trudem przyszło mu wypowiedzieć to słowo – i spotkam się z Iwoną. A potem postąpię tak, jak ona sobie zażyczy.

Mimo że dokładnie tego się po Natanielu spodziewał, Mateusz pokręcił głową:

– Może powinieneś myśleć o sobie, a nie o życzeniach kogoś, kto wbił ci nóż w plecy?

– To nie ma znaczenia – uciął Nataniel.

– Bo nadal ją kochasz?

– Bo najważniejsze jest dobro Emilki.

Te słowa, jasne i proste, sprawiły, że mężczyzna musiał się zgodzić. Bez względu na to, jak się potoczą dalsze losy Iwony, Siergieja, nawet Nataniela, nie ulegało wątpliwości, że dobro dziecka oni wszyscy muszą postawić na pierwszym miejscu. Ponad animozjami, miłością czy nienawiścią.

Pytanie tylko, czy pewna osoba, nie, nie jedna, a co najmniej dwie, również tak sądzą. I czy odłożą na bok własne uczucia, gdy przyjdzie czas pożegnań?



Ż

ycie w Sennej, gdy tylko szał świąteczno-sylwestrowy przeminął, wróciło na dawne tory. Wieś zajmowała się swoimi sprawami, plotkami i skandalami na skalę taką, jaka przynależała małym ojczyznom. To się ktoś upił, to z kimś się pobił, to kogoś oszukał. Komuś urodziło się dziecko, komuś innemu zmarł ojciec. Żona uciekła od męża, inna nakryła swojego z kochanicą. Awantura była na całą okolicę. Sąsiedzi mieli czym oczy sycić, a tematów do najbliższych świąt nie zabraknie.

Nadchodziło – powoli i z ociąganiem, lecz jednak – przedwiośnie. Pod koniec lutego, wyjątkowo ciepłego jak na tę porę roku, ktoś ponoć widział klucz gęsi wracających do domu, ale czy to prawda czy wymysł zamroczonego wódką umysłu – tego nie wie nikt.

W dworze Emilka bywała tak często, a Marta dotąd nalegała, iż Nataniel poddał się w końcu – ile można walczyć z dwiema kobietami? – i pozwolił małej zamieszkać tam na stałe. To znaczy do wyjścia Iwony z więzienia.

Ciażyło mu na sumieniu, że do tej pory nie odwiedził dziewczyny, ale... jakoś nie potrafił się przymusić do takiej wyprawy. Nie ciągnęło go za kratki, bez względu na to, czy on za nimi siedział czy ktoś, kto był mu drogi. W końcu jednak musiał zebrać się w sobie, wsiaść w swój „nowy” samochód, dziesięcioletniego suzuki grand vitara, i ruszyć do Czerska.

Była czwarta niedziela lutego, słoneczny ranek, gdy po pięciu godzinach za kółkiem dojechał na miejsce.

Z zewnątrz zakład karny nie wyglądał tak źle – ot, zwykły powojenny budynek o ładnej, klasycznej bryle, przypominającej przedwojenne urzędy – dopiero za nim rozciągał się płot zwieńczony drutem kolczastym, na którego widok Natanielowi zaschło w gardle. Choćby nie wiem jak pięknie więzienie wyglądało z zewnątrz, nie chciał tam wchodzić. Nawet jako odwiedzający.

Stanąwszy w kolejce osób oczekujących na wpuszczenie do sali widzeń, czuł, jak narasta w nim chęć, by odwrócić się na pięcie i uciec. I jakoś dziwnie się tego nie wstydził.

Żeby odgonić tchórzliwe myśli – on miał tylko wejść, spotkać się z Iwoną i wyjść, niektórzy nie mieli tyle szczęścia i po wejściu zostawali za więziennymi murami na wiele

lat – zaczął ukradkiem przypatrywać się osobom, które również czekały na spotkanie z więźniarkami. Kobiety – ani jednego faceta – w różnym wieku, niektóre z dziećmi, co chłopaka niezmiernie zdziwiło, matki, siostry, przyjaciółki osadzonych, rozmawiały jak stare znajome. Wymieniały się uwagami na temat cen w kantynie – Nataniel przeczytał przed wyjazdem, że tylko w więziennej kantynie może zamówić paczkę dla Iwony – i narzekały na zdzierstwo, chwaliły się osiągnięciami wnuków, marudziły, że dojazd zimnym pekaesem czy zatłoczonym pociągiem czeka je powtórnie, gdy będą wracać do domów. Dzieci, znudzone już teraz, dopytywały co chwila, kiedy stąd wyjdą. I tylko nikt, ani jednym słowem, nie wspominał o tych, które przyjechały odwiedzić, zupełnie jakby kobiety za murami były tematem tabu.

– Jesteś po raz pierwszy? – usłyszał nagle.

Za nim stała dziewczyna niewiele starsza od Iwony.

– To aż tak rzuca się w oczy? – zażartował.

– Trochę tak – odparła. – Znamy się tutaj, jak widzisz, no i facet, który raz przyjeżdża, nigdy już nie wraca.

– Nigdy?

– No, rzadko się zdarza. Wiesz, to „lekkie” więzienie. Faceci uważają, że dziewczyny, która nie siedzi zamknięta całymi dniami w celi, może z niej wychodzić do świetlicy czy biblioteki, może pracować, o ile dostanie pracę w świecie, a potem wraca jak do sanatorium, nie warto odwiedzać. Siedzi, nic nie robi, ma towarzystwo, karmią ją, opierają, leczą. Wszystko za darmo, na koszt podatnika. Żyć nie umierać!

– Nie wiedziałem...

– Że tu tak dobrze? – zaśmiała się, ale w tym śmiechu nie było wesołości. – To zakład otwarty i półotwarty. Lekki, jak powiedziałam. Ale wierz mi, nawet jeśli dziewczyny chodzą sobie po więzieniu w wyznaczonych godzinach, żarcie mają podane na tacy o stałych porach i nie muszą nic, nadal jest to więzienie, a one doskonale o tym wiedzą. Wiedzą, że wyjdą, owszem, pochodzą sobie po terenie, zgadza się, ale będą musiały wrócić do celi. Nie mają żadnego wyboru. I na tym polega kara. Że nie masz wyboru. Dokonałeś go tam, na wolności, i teraz pokutujesz, jeśli był zły.

Kiwnął głową, nie wiedząc, jakiej odpowiedzi – czy w ogóle – ona oczekuje. Jemu byłoby wszystko jedno, czy odsiaduje karę w zakładzie otwartym czy o zastrzyżonym rygorze, sama świadomość, że jest zamknięty, byłaby karą. Zaprzagnął zostawić komuś pieniądze, nawet tej dziewczynie, która zaczęła rozmowę – niech ona kupi Iwonię, co tamta sobie zażyczy – i wyjść, uciec na świeże powietrze.

Nieznajoma musiała wyczytać to w jego oczach. Sama miała to samo pragnienie wypisane na młodej, ładnej twarzy.

– Przeczekaś to, spokojnie. Papierkowa robota potrwa z pół godziny, później godzinka z narzeczoną i jesteś wolny.

– Ona nie jest moją narzeczoną. Przyjaciółką tak, ale nie narzeczoną – sprostował, wstydzając się, że ktoś wziął go za narzeczonego więźniarki. Nic na to nie mógł poradzić: wstydził się, że tu jest.

Wzruszyła ramionami.

– Jak zwał, tak zwał. Więcej się tu nie pojawisz, więc co za różnica.

Chciał zaprzeczyć, że owszem, będzie przyjeżdżał co miesiąc, ale... słowa uwięzły mu w krtani. Nawet tej dziewczynie, zupełnie obcej, nie chciał łąć.

– Ile dostała? Ta twoja przyjaciółka?

– Nie wiem. Pewnie dzisiaj mi powie. A twoja?

– Moja mama? – zapytała i uśmiechnęła się smutno.

Nataniel uniósł brwi. „Mama”? Ta dziewczyna przyszła do matki?!

– Piątkę – odparła spokojnie. – Dźgnęła skurwysyna, mojego ojca, nożem. Zdechł, niech mu ziemia ciężką będzie, i tylko żal, że nie zrobiła tego, gdy tłukł ją do nieprzytomności. Wtedy byłby to afekt, rozumiesz, i okoliczność łagodząca, ale ona któregoś dnia po prostu wstała po tym, jak w nocy zmasakrował jej twarz, wzięła nóż i go zadźgała. Potem poszła na policję, w zakrwawionej koszuli nocnej, i o tym opowiedziała. Dziś mija czwarty rok. Odwiedzam ją co miesiąc, jak w zegarku. Jeszcze rok temu przywiozłabym jej tort, jak to na rocznicę, ale zlikwidowali paczki z zewnątrz. Teraz można dać to, co jest w kantynie, a w kantynie tortu nie kupię, rozumiesz?

Rozumiał. Łzy ścisnęły go w gardle, paliły w oczy, ale rozumiał. Chciałby mieć tyle odwagi co ta dziewczyna, żeby odwiedzać Iwonę miesiąc w miesiąc, jednak... nie miał.

– Moja mama jest super – mówiła dalej, ni to do niego, ni do siebie. – Na początku miała krzyż pański, bo dali ją do celi z niegrzecznymi dziewczynkami, jeśli wiesz, o co chodzi, bardzo niegrzecznymi. Były dla niej niemiłe i mama trafiła do szpitala, ale później ją przeniesiono i teraz ma lepiej. Mieszka z takimi jak ona, wiesz, po przejściach. Wspierają się, bronią przed bandytkami, razem pracują, czytają książki i o nich dyskutują. Takie niby normalne życie. Za kratami, ale normalne. Tylko, wiesz, one się oszukują i ja mamie nieraz to wykrzyczałam, że siedzi w więzieniu, a nie w sanatorium, więc niech mi nie opowiada, że to normalne życie. Ona za każdym razem płacze i prosi, żebym jej wybaczyła, a jak ja jej mam to wybaczyć? Że mam matkę kryminalistkę? No jak? W mojej mieścinie wszyscy wiedzą, co zrobiła. Nie miałam tam życia. Musiałam się wynieść do Warszawy, gdzie nikt mnie nie zna, ale Szymek, mój brat, został z babcią i teraz jego wytykają palcami. A mogła mu łeb upierdolić jakoś po cichu... – dokończyła szeptem, bo głos odmówił jej posłuszeństwa.

– Komu?! Twojemu bratu?

– Nie, skurwysynowi, mojemu ojcu. Dosypać czegoś do wódki chociażby. Udusić poduszką, gdy złaził z niej i padał nieprzytomny na łóżko. Są różne sposoby. Ale nie... Musiała go zadźgać...

Nataniel nie chciał już słyszeć ani słowa więcej. Pragnął po prostu stąd wyjść. Na świeże powietrze, na lutowe słońce, pod błękitne niebo... Wsiąść do samochodu i odjechać, nie oglądając się za siebie.

Z ulgą usłyszał swoje nazwisko.

– Trzymaj się – rzucił do nieznajomej, która skinęła tylko głową. Wiedział, że nigdy więcej jej nie spotka i... cieszyło go to.

Ruszył za kobietą w mundurze i po chwili wchodził do sali przypominającej świetlicę na koloniach. Stało w niej kilkanaście stolików, przy których siedziały więźniarki i te, co przyszły w odwiedzinach.

– Niech pan tu siada – odezwała się nieco obcesowo strażniczka, wskazując mu miejsce przy oknie. – Ładny widok – dodała kpiąco, bo okno wychodziło na ogrodzone murem podwórze. Drut kolczasty na szczycie i dwie wieżyczki, gdzie tkwili strażnicy, nie pozostawiały złudzeń: to spacerniak, a nie miejski park. – Proszę tu poczekać, osadzona zaraz przyjdzie.

Usiadł. Przy sąsiednich stolikach trwały przyciszone rozmowy. Rozejrzał się ukradkiem. Więźniarki miały na sobie zwyczajne ubrania. Niczym nie różniły się od odwiedzających. Jeśli Nataniel chciałby się doszukać czegoś w ich twarzach czy oczach, mógłby się rozczarować. Były równie szare co wszystkich w ten lutowy dzień. Słońca brakowało i tu, w więzieniu, i poza nim. Dzieci siedziały przytulone do matek, ale nie wszystkie, dwoje – chłopiec i dziewczynka – wyraźnie boczyły się na tę, do której przyszły w odwiedziny. Właśnie siostra osadzonej kobiety namawiała je, by pożegnały się z matką, ona tkwiła na krześle ze spuszczonego wzrokiem, a dzieci gniewnie odmawiały. Cała trójka wyszła w końcu, więźniarka, łykając łzy, też.

I wtedy w drzwiach stanęła Iwona.

Nie poznałby w tej chudej, wyniszczonej dziewczynie dawnej piękności, która tyle namieszała w jego życiu. Po raz nie wiadomo który tego dnia stracił oddech, widząc przerażający szkielet, który zbliżał się w jego kierunku. Wstał, gdy podeszła do stołu, mimo że nogi odmawiały posłuszeństwa, przytulił ją, czując pod palcami każde żebro, każdą kostkę, pocałował w zapadły policzek.

Usiadła i spróbowała się uśmiechnąć. On nawet nie próbował, przerażony tym, co zobaczył.

– Dzięki, że przyjechałeś – odezwała się chropawym głosem.

Kiwnął głową.

– Jak Emilka? – rzuciła bez zainteresowania.

– Dobrze – wykrztusił. Ledwo mógł na nią patrzeć. Wyglądała jak żywy trup. – Jak cię tu traktują? – Może ją głodzą?! Przecież człowiek nie może tak schudnąć w trzy miesiące! Ona musi być chora! Czy nikt nie widzi, co się dzieje z tą dziewczyną?!

– Znalazłam na nich sposób – odezwała się, jakby w odpowiedzi na jego niemy krzyk. – Jem tyle co nic, a potem palec w gardło. Tylko mnie nie podkabluj.

– Ale po co?!

– Ciii...! – obejrzała się na strażniczkę, która znudzonym wzrokiem wodziła po sali. – To sposób.

– Na co, Iwona? Na szybszą śmierć?

– Chcę stąd wyjść. Wszystko jedno dokąd i jak. Po prostu muszę stąd wyjść.

W jej wielkich oczach, wypełniających zapadłą twarz, błysnęło szaleństwo. I łzy.

– Nie wiesz, co ze mną tu robią, do czego mnie zmuszają – zaszepotała, pochylając się ku niemu. – One, te diablice, są straszne. Te, z którymi siedzę. Gwałcą mnie tym, co mają pod ręką, trzonkiem od szczotki, butelką, wszystko jedno!, a kiedy się bronię, biją. Ale tak, by nie zostawić śladów. I nikt się za mną nie wstawi. Nikt! Muszę stąd wyjść – dokończyła łamiącym się głosem.

– Może... może zwolnią cię wcześniej? Za dobre sprawowanie chociażby? – Próbował szybko coś wymyślić, ale rozum odmawiał mu posłuszeństwa. Po prostu

osłupiał, patrząc na tę dziewczynę, słuchając jej szybkich, cichych słów, niewyobrażalnych słów, i domyślając się, że jest na skraju szaleństwa. Pragnął jej pomóc, ale nie miał pojęcia, co może zrobić. Sam poczuł w oczach łzy, których nie mógł przecież okazać, nie tutaj, on, jedyny facet w sali. – Z kim mogę o tobie porozmawiać?

– Nie wolno ci! – syknęła. – Jeśli mnie podkablujesz, to koniec! Oni mnie dopadną. Te bestie w mundurach. A potem te diablice. Ani piśnij, bo zobaczysz, co się stanie!

To było ponad jego siły. Przekraczało wszystko, czego się spodziewał po tej wizycie. Miał nadzieję na grzeczną, spokojną rozmowę z dawną miłością, mamą dziewczynki oddanej mu na wychowanie. Tymczasem siedziała przed nim wynędzniała, obłąkana istota, z którą mógł rozmawiać o bulimii, owszem, o anoreksji też, może i metodach samookaleczania się, byle tylko trafić do szpitala, ale nie o Emilce.

– Zostawię ci pieniądze – odezwał się wreszcie. – Kupisz sobie coś w kantynie.

Bez słowa wyciągnęła rękę. Wcisnął w tę drapieżną, chudą dłoń wszystko, co miał w portfelu. Kobieta siedząca przy stoliku obok pokręciła z dezaprobatą głową, gdy pochwycił jej spojrzenie. A on nie wiedział, czy daje Iwonie za mało pieniędzy, za dużo...

– I gdzie ona to schowa? – odezwała się tamta. – Zamów coś w kantynie, człowieku, to przynajmniej będzie miała na dłużej. Tak, to jej ukradną albo wyda na te ich hazardy. Głupiś, człowieku, ot co. Widać, że pierwszy raz.

– Zatkaj mordę! – usadziła ją Iwona.

Tamta wzruszyła ramionami i odwróciła wzrok.

– Nie słuchaj jej. – Iwona odezwała się do Nataniela. – Kupię za to papier i długopis. Będę pisała listy do ministra. Nie mogę tu zostać.

Przytaknął, gotów zgodzić się na wszystko, byle tylko znaleźć się na zewnątrz. W duchu przyrzekał sobie, że nie zostawi jej tak, że on również zrobi wszystko, byle dziewczyna jak najszybciej znalazła się na wolności...

Wstał, pożegnał się z nią, mając wyrzuty sumienia, że wytrzymał tak krótko, po czym z nieopisaną ulgą ruszył do drzwi. Gdy znalazł się na korytarzu, musiał na chwilę oprzeć się o ścianę, złapać kilka głębokich oddechów, bo słabo mu się zrobiło. Trudno, wyszedł na mięczaka...

Jego wzrok padł na tabliczkę przybitą do drzwi naprzeciwko. „Justyna Konik, psycholog”. Właśnie się uchyliły i wyszła z nich zapłakana kobieta, najwidoczniej matka albo siostra któregoś z osadzonych, bo szybko skierowała się do wyjścia.

– Pan do mnie? – padło tuż przy nim.

Młoda kobieta, nieco tylko starsza od niego, stała dwa kroki obok i przyglądała mu się bez zainteresowania.

– Jestem Justyna Konik, psycholog więzienny. Chce pan zamienić ze mną kilka słów?

Chciał odrzec: „Nie, sorry, ale nie. Spieszę się na pociąg”, lecz tylko kiwnął głową i bez słowa ruszył za nią. Mogła być ostatnią szansą dla Iwony.

Psycholożka wprowadziła go do jasnego pokoju, urządzonego w stonowanych barwach jesieni, wskazała miejsce po drugiej stronie biurka.

– Napije się pan czegoś? Wody? Soku? Może herbaty?

Odmówił. Pragnął zamienić z nią owych „kilka słów”, a potem po prostu znaleźć

się w swojej chacie nad jeziorem.

– Jestem przyjacielem Iwony Bugaj – odezwał się.

Ona skinęła tylko głową.

– Wygląda... strasznie i mówi straszne rzeczy. Jak to dłużej potrwa, nie doczeka zwolnienia.

– W jakim sensie „straszne”? – zapytała neutralnym, typowym dla psychologa tonem.

– Jest maltretowana przez koleżanki... przez współosadzone – poprawił się, bo tych wiem, co znęcają się nad Iwoną, nie można przecież nazwać „koleżankami”. – Strasznie schudła, mówi, że głodzi się i zmusza do wymiotów. Chce... nie, ona musi stąd wyjść!

– Odbywa karę pozbawienia wolności – odrzekła psycholożka łagodnie. – A to znaczy, że będzie musiała pozostać w tym zakładzie aż do końca wyroku.

– A jeśli umrze z głodu?!

– Proszę mi zaufać, nie dopuścimy do tego. Już teraz jest pod nadzorem.

– Oczywiście, że jest! Siedzi w więzieniu!

– Czy uważa pan, że została osadzona niewinnie?

Nie. Tego nie mógł powiedzieć. Iwona przyznała mu w liście, że jest oszustką i zasłużyła na karę. Jednak nie karę śmierci! I to wykrzyczał psycholożce w twarz.

– Pani Iwona jest jedną z wielu przed nią i wielu po niej, które próbują wymóc coś na służbie więziennej. Samookaleczenia, odmowa przyjmowania pokarmu, połykanie niebezpiecznych przedmiotów... To praktyki powszechnie przez więźniów stosowane – odparła psycholożka spokojnym, niemal obojętnym tonem. – Potrafimy sobie z tym poradzić. Jeśli waga pani Iwony spadnie do alarmującego poziomu, zostanie przewieziona do szpitala, o co jej zapewne chodzi. Proszę mi jednak wierzyć, że szpital więzienny niewiele różni się od zakładu karnego. A jeśli pani Iwona trafi do szpitala psychiatrycznego na taką na przykład salę ścisłej obserwacji, może okazać się to większą udręką niż pobyt tutaj. Pani Iwona trafiła do jednego z lepszych więzień, na oddział półotwarty, może swobodnie poruszać się, oczywiście w wyznaczonym czasie, po niemal całym obiekcie, może wychodzić z celi bez nadzoru, korzystać do woli ze świetlicy i biblioteki, pomagać w kuchni i w pracach porządkowych. Jak na karę pozbawienia wolności nie wiedzie jej się źle...

– Oprócz tego, że znęcają się nad nią współwięźniarki – wtrącił, by nieco zepsuć ten sielankowy obrazek.

– Musi dostosować się do tutejszej społeczności. Każda z nowo przybyłych w jakiś sposób zmienia *status quo* zakładu, a osadzone, które były tu wcześniej, dążą do jego utrzymania. Jednostka musi się przystosować do większości, nie na odwrót. Im szybciej pani Bugaj to zrozumie, tym łatwiejszy stanie się dla niej pobyt w tym miejscu. Myślę, że poczyniłyśmy pewne postępy, pani Iwonka zgodziła się uczęszczać na kurs zawodowy. To, oprócz przydatnych społeczeństwu umiejętności, przysporzy jej tutaj przyjaciół czy choćby znajomych. Nie będzie już sama. Zacznie przynależć do grupy. Problem w tym, że pani Iwona nigdy do żadnej nie należała i po prostu dostosowanie się do społeczności przychodzi jej z większym trudem, niż zakładaliśmy na początku. Prawdę mówiąc... –



zawahała się na moment – ...jest nieco zbuntowana i zachowuje się czasem prowokująco w stosunku do osadzonych z celi. A to prosta droga do kłopotów.

– Sugeruje pani, że to ona prowokuje do gwałtów?!

– Nic nie sugeruję, to po pierwsze – odrzekła zimno – a pana przyjaciółka nie zgłaszała przemocy fizycznej, to po drugie. Interweniowalibyśmy, gdyby coś takiego miało miejsce.

– Może się boi? Może jest zastraszana? Poza tym koszmarnie schudła. Wygląda jak żywy trup! Zdaję sobie sprawę, że to więzienie, a nie sanatorium, wiem, że zasłużyła na karę, ale karę powinno się odbywać w ludzkich warunkach...

– Sugeruje pan, że tu panują warunki nieludzkie?

– Przepraszam, jeśli tak to zabrzmiało – odparł z odrobiną pokory, by nie narobić Iwonie jeszcze większych kłopotów.

– Czy wie pan, za co Iwona Bugaj została skazana?

– Napisała w liście, że za oszustwo.

– Tak. Za oszustwo. Jest oszustką. Nałogowo łże, kłamie. Żyje, czy raczej żyła, z oszukiwania ludzi, wyłudzenia pieniędzy. Jaką ma pan pewność, że nie prowadzi tutaj następnej gry, żeby wyłudzić zmniejszenie wyroku?

Nataniel nie miał na to odpowiedzi. Tak, można było uwierzyć, że Iwona jest do tego zdolna, oj można było...

– I ryzykowałaby w tym celu własnym zdrowiem, o ile nie życiem? – Próbował jej jeszcze bronić.

Kobieta uśmiechnęła się i pokręciła głową.

– Gdyby pan wiedział, jakie pomysły mewają osadzeni, żeby tylko osiągnąć cel... Iwona Bugaj nie jest w tym oryginalna. Proszę się jednak nie zamartwiać. Rozumiem, że to nie tylko dla niej, ale i dla pana nowa sytuacja, my jednak jesteśmy dobrej myśli. Zwrócimy na panią Bugaj baczniejszą uwagę.

Czy te beznamiętne słowa uspokoiły Nataniela?

Trochę tak. Przyznał w duchu, że ludzie tu pracujący mieli do czynienia z takimi „Iwonami” od lat. On zupełnie nie wiedział, jak postąpić w tej sytuacji. Musiał wierzyć, że ta kobieta, psycholog przecież, nie pozwoli, by Iwona skrzywdziła siebie albo innych.

– Czy będzie pan przyjeżdżał na widzenia? – padło pytanie.

Chciałby wykrzyknąć: „Tak! Jasne! Z miłą chęcią!”, jednak musiał być szczery z nią i z samym sobą:

– Żałuję... naprawdę mi przykro, ale raczej nie. Iwona... byłem z nią krótko związany, później postąpiła ze mną jak z poprzednimi... ofiarami i jakby tego było mało, oddała mi pod opiekę swoją córeczkę. Nie, nie jestem ojcem tego dziecka – dodał szybko, bo w oczach kobiety błysnęło zrozumienie.

Tym razem ona się zdumiała.

– Nie jest pan ojcem Emilki?!

Zaprzeczył. A ona naraz uśmiechnęła się ciepło.

– Pan Nataniel Domoradzki, prawda? Powinnam się była domyślić...

– A ja przedstawić. Przepraszam, jestem trochę wytrącony z równowagi.

– Iwona opowiadała mi o panu. W samych superlatywach. Bardzo pana ceni i jest

wdzięczna za wszystko, co pan dla niej uczynił, naprawdę, nawet jeśli sama tego nie przyznała. Ilekroć rozmawiamy o przeszłości, wraca do wspomnień, gdy byliście przyjaciółmi i... tak, jest panu bezgranicznie wdzięczna za okazane serce. I za opiekę nad dzieckiem.

Nataniel słuchał peanów na swoją cześć, myśląc jednak o czymś zupełnie innym.

– Kto jest jej ojcem? Emilki? Muszę wiedzieć, skoro mam się nią zajmować. Muszę być pewien, że ten drań nie przyjdzie któregoś dnia i nie odbierze mi dziecka. Sodarow jest nieprzewidywalny. Nie wiem, co mu strzeli do łba, gdy nie oddam mu Emilki...

– Sodarow?

– Siergiej Sodarow. Iwona musiała i o nim coś wspomnieć.

Kobieta wolno pokiwała głową.

– Owszem, opowiadała mi o Siergieju Sodarowie i, jeśli ma to pana uspokoić, nie on jest ojcem Emilki. Mogę tylko dodać, że dzięki niemu Iwona Bugaj trafiła tutaj, a nie... gorzej, dużo gorzej.

Natanielowi na moment odebrało głos ze zdumienia.

– Przez Sodarowa trafiła do więzienia?! I to ma być dobrze?!

Kobieta rozłożyła ręce.

– Nic więcej nie mogę powiedzieć. Musi mi pan wierzyć na słowo. Proszę porozmawiać z Siergiejem. Zdaje się, że gracie w tej samej drużynie.

– On jeśli gra, to tylko we własnej – mruknął chłopak. – Ale nie omieszkam zamienić z nim kilku słów, gdy tylko się spotkamy. W końcu dzięki niemu matka Emilki siedzi w pier... w więzieniu i głodzi się na śmierć.

– Jest coś gorszego i od więzienia, i nawet od śmierci – odezwała się półgłosem tamta, po czym ruszyła do drzwi, dając Natanielowi do zrozumienia, że powinien już iść.

Przy drzwiach wyciągnęła doń rękę.

– Nie będę namawiała pana do ponownej wizyty, rozumiem, że to trudne. Iwona postąpiła z panem dosyć bezceremonialnie, może nawet okrutnie. Odwiedziny są jednak dla osadzonych bardzo ważne. Jeśli zdobędzie się pan kiedyś na ten gest, proszę zajrzeć i do mnie. Jestem do dyspozycji, gdy tylko będzie pan potrzebował kogoś, z kim można porozmawiać o... takich sprawach. – Zatoczyła ręką krąg, wskazując na ciemny, ponury korytarz, drzwi do sali widzeń, ciężką kratę oddzielającą świat wolnych od świata uwięzionych.

– Dziękuję – odrzekł cicho. – Pomyślę nad tym.

Ale wiedzieli oboje, że krótko będzie myślał. Do tego miejsca nie wraca się z własnej woli...

Kiedy w końcu wyszedł poza mury zakładu karnego, gdy stanął przy samochodzie, wiedząc, że za chwilę wyjedzie z tego miasta i – taką miał nadzieję – nigdy już tu nie wróci, gotów był całować chodnik pod stopami.

Zamknął na chwilę oczy i zwrócił twarz do słońca, pozwalając pieścić czoło i policzki delikatnymi promieniami.

„Tak niewiele człowiekowi potrzeba do szczęścia” – pomyślał. „Wolność. Prawo do samostanowienia. Do wyboru. Oto ja, mimo przekłętej połamanej kończyny, mogę iść, dokąd zechcę. Tak, jestem uwięziony przez zobowiązania: mam pod opieką dziecko,

którego nie mogę zabrać na włóczkę po świecie, jeśli naszłaby mnie taka chęć, mam dom, który trzeba ogrzewać i ogarniać, mam zwierzaki, o które trzeba zadbać, wreszcie pracę, której nikt za mnie nie wykona, jednak... jestem wolny. Lecz ta wolność jest tak krucha, tak bardzo nietrwała...” – Przypomniął sobie słowa dziewczyny, która czekała na widzenie z matką. „Wystarczy, że wtedy na pomoście wpadłbym w szal, zamordował Siergieja i to ja czekałbym po drugiej stronie kolczastego drutu na widzenie z przyjaciółmi, to ja odliczałbym dni, jakie mnie dzielą od wyjścia z więzienia, to ja łykałbym zakrzywione gwoździe czy ciął ramiona ostrym przedmiotem, byle zabrali mnie do szpitala”.

Wolność jest darem równie cennym i kruchym jak życie, a na co dzień tak mało o nie dbamy. Tak rzadko je doceniamy. Aż do dnia, gdy czujemy, jak wymykają nam się z rąk. Ale wtedy jest już za późno. I na odzyskanie wolności, i na przywrócenie życia. Za późno...



P

o powrocie z Czierska Nataniel przez kilka tygodni nie mógł znaleźć sobie miejsca we własnym bezpiecznym, poukładanym życiu. Wciąż miał przed oczami wychudzoną twarz Iwony, niegdyś tak oszalamiająco pięknej, dziś przerażającej. Czy potrafiłby ją taką pokochać? Czy też pokochał li tylko ponętne ciało?

Gdy brał kęs kanapki, myślał, czy Iwona zaczęła jeść czy też nadal prowadzi strajk głodowy, a jeśli je, czy karmią ją porządnie, jak człowieka, czy też więziennego jedzenia do ust nie da się włożyć. Gdy wracał do domu, bezpiecznego, przytulnego domu, zastanawiał się, czy Iwona też jest bezpieczna czy może drży przed gwałtem albo pobiciem. Gdy w końcu zasypiał, żegnało go spojrzenie jej czarnych oczu, jeszcze kilka miesięcy temu płonących pożądaniem, teraz – szaleństwem.

Martwił się o nią. Bardzo się martwił. Słowa psycholożki niewiele go uspokoiły. Ale nie potrafił się zmusić do następnych odwiedzin. Zaczął za to pisać do Iwony listy. Zwykle – ot, miłych kilka słów, czasem w kopercie, czasem na pocztówce – jakie przyjaciół wysyła przyjaciółce, która wyjechała i nie wiadomo, kiedy wróci.

Pisał najczęściej o Emilce, bo przypuszczał, że na wiadomości o córeczce Iwona czeka najbardziej, ale też o spokojnym życiu w Sennej, o zwierzakach, których co i rusz przybywało, bo Mateusz sprezentował mu kotka, a Marta kilka kur „cobyś mi jajek z lodówki nie podkradał”... Takie tam codzienne, nudne do bólu sprawy.

Nie odpisała na żaden, ale któregoś dnia zadzwoniła pani psycholog, zapewniła, że Iwona listy otrzymuje, bardzo są jej potrzebne, więc niech Nataniel nie zraża się brakiem odpowiedzi – dziewczyna ma teraz fazę buntu – i po prostu pisze dalej.

Nie wiedział, czy cieszyć się z tej fazy buntu czy się nią martwić, pocieszał się jednak myślą, że w zakładach karnych zatrudniani są ludzie kompetentni. Psycholog więzienny jest znacznie bardziej doświadczony w postępowaniu z osadzonymi niż on, Nataniel. Co więcej mógł uczynić?

Wyrzuty sumienia, że nie odwiedza Iwony, zagłuszał tymi listami. Zresztą... Emilka była wystarczająco absorbująca, żeby mieć mocną wymówkę, chociaż pozostawała pod opieką Marty, która niemal zupełnie zawłaszczyła dziecko. Nataniel nie był tym zachwycony, lecz przestał z Martą się chandryczyć, najważniejsze przecież, że

dziewczynka była szczęśliwa. Jednakże na utrzymanie obu, Marty i Emilki, musiał zapracować on. Część pieniędzy, które nie tyle dostał, co odzyskał od Iwony, przeznaczył na pilne wydatki, jak choćby samochód, niezbędny na odludziu, i remont pokoiku dla dziecka, a resztę wpłacił z powrotem na konto – był to przecież kredyt, a nie darowizna ze strony banku. Jeszcze czego...

W codziennym zabieganiu nawet nie zauważył, jak minął luty, potem pierwszy tydzień marca, drugi, trzeci i nagle, niemalże co do dnia, zawitała do Sennej wspaniała polska, czy raczej mazurska, wiosna.

W słoneczny piątkowy dzień Nataniel siedział na nowym pomoście, nie tak dawno zbitym z desek przez Mateusza, któremu brakowało najwyraźniej męskich rozrywek, i łapał oddech przed dużym zleceniem. Jedno z wydawnictw publikujących książki dla dzieci przypomniało sobie o Natanielu i jego talencie ilustratorskim, zaproponowało współpracę przy wspaniale zapowiadającym się projekcie, a chłopak z pocałowaniem ręki propozycję przyjął. Praca grafika była niepewna – zlecenia czasami nadchodziły w takich ilościach, że nie wiedział, w co ręce włożyć, kiedy indziej skrzynka pocztowa świeciła pustkami i martwił się, czy będzie miał co jeść. On i jego podopieczna. O etacie w tym zawodzie mógł tylko pomarzyć, zresztą... był wolnym strzelcem, cenił sobie możliwość pracy w takich godzinach, na jakie miał chęć. Gdyby musiał przychodzić do biura na osiem godzin dziennie, byłby nieszczęśliwy. Ale syty – podpowiadał uprzejmie rozum.

Nowe zlecenie spadło Natanielowi jak z nieba, lecz będzie tak absorbujące i pilne – ilustrator zatrudniony wcześniej rozchorował się niespodziewanie, trzeba było zaczynać wszystko od nowa, a czas naglił – że Nataniel na kilka tygodni zaszyje się w chacie i świata bożego oglądać nie będzie. Przyjaciół także nie.

Właśnie jeden z nich nadchodził szybkim krokiem od strony leśniczówki.

– Pochwalony, pochwalony! – uprzedził go Nataniel, naśladowując tubalny głos Mateusza, a ten wyszczerzył zęby w uśmiechu, uniósł kciuk w górę i chwilę później siadał obok chłopaka, mówiąc:

– Taki niby „pochwalony”, a do kościoła końmi cię nie zaciągnie.

– Co nie znaczy, że nie mam Boga w sercu – mruknął chłopak. – A kościół jest tutaj, spójrz: sklepienie z błękitu nieba, posadzka ze srebra fal, ołtarz ze szmaragdu drzew. Nic piękniejszego na całym świecie nie znajdziesz.

– Poganinie... – odparł na to Mateusz, ale w duchu zgadzał się z chłopakiem.

On chodził na mszę z przyzwyczajenia, „bo tak wypadło”, lecz nudne, powtarzające się kazania proboszcza, który z największym przekonaniem grzmiał tylko o grzechach parafian, swoje własne, znane w całej okolicy, przemilczając, coraz bardziej mężczyznę od kościoła odstręczały. Może którejs niedzieli zamiast na mszę przyjdzie tutaj, na ten pomost, pomodlić się w duchu do Boga, którego obecność znać tutaj bardziej niż wszędzie indziej?

– Bluźnisz, panie Jóźwik – zganił półgłosem siebie samego. – Słuchaj, chłopcze, mam wiadomość! – wykrzyknął, przypomniawszy sobie, co go nad jezioro sprowadza.

– Dawaj – odparł chłopak bez zbytniego zainteresowania.

Każda wiadomość oznaczała kłopoty. Nie miał co do tego wątpliwości. Dobrej się jakoś nie spodziewał.

– Imaginuj sobie, bracie, że po naszym odkryciu, kto tak naprawdę jest właścicielem dworu, otóż Siergiej Sodarow we własnej osobie, pofatygowałem się do Warszawy i spotkałem się z papugą, wiesz, tym, który reprezentował jego spółkę przy akcie notarialnym. – Nataniel zaczął słuchać z rosnącą uwagą. To były cenne informacje. – Nie to, żeby spieszo mi było odnaleźć Sodarowa, bynajmniej!, jego powrotu do Sennej tylko brakuje, ale wiesz: lepiej znać zamiary wroga, niż się obudzić z ręką w nocniku.

Nataniel przytaknął z udawaną powagą. Owszem, tak jest lepiej.

– Oczywiście... jak znasz papugi... ten tam, Adam Stołeczny, pary z ust nie puścił, gdy zacząłem wypytywać go o naszego przyjaciela, bo przecież przedstawiłem się jako serdeczny przyjaciel tego drania. Więcej! Nie chciał w ogóle przyznać, że spółka Sagrin należy do Siergieja. Na początku myślałem, że po prostu tego nie wie, pełnomocnictwo mógł mu zlecić ktoś inny, ale... ale jednak znał, kto zaczął ów Sodarow, bo na koniec spotkania, gdy nieco wkurzony, już miałem wychodzić, rozumiesz, telepię się taki kawał, żeby nic nie osiągnąć, mecenasik, któremu po papugowemu z oczu patrzyło, wiesz, co mam na myśli, poprosił mnie, żebym zostawił do siebie kontakt, na wypadek, wicie-rozumiecie, gdyby coś mu się przypomniało. Dałem mu numer mojej komórki i jeszcze, na wszelki wypadek, twojej, bo obaj jesteśmy czynnie zainteresowani Siergiejem Sodarowem, czy raczej jego zniknięciem z Sennej raz na zawsze, ale tego to już papudze nie powiedziałem, i rozstaliśmy się w przyjaźni. Jak jagnię z wilkiem.

Mateusz przerwał, zacierając ręce.

– Znalazł go? – Nataniel ponaglił przyjaciela, bo cała opowieść zaczęła go jednak interesować.

– Otóż to! Zadzwoił przed chwileńką dosłownie! Ledwie skończył, przybiegłem tutaj, żeby się z tobą zastanowić, co zrobimy. Słuchaj, papug odnalazł Sodarowa, czy też Sodarow skontaktował się z papugiem, nieważne. Ważne jest to, że... mamy drania!

– Papuga?

– Siergieja! Czy ty mnie słuchasz?!

– Słucham, słucham, tak się z tobą drażnię. Mów dalej...

\*

Siergiej próbował uchylić powieki i przechylić głowę w kierunku światła. Widział je mimo zamkniętych oczu. Wiedział, że teraz tam, na zewnątrz, jest dzień. Noc była ciemna i cicha. Smoliście czarna i bezdźwięczna, jak gdyby znajdował się pod ziemią. I tego – zakopania żywcem – bał się bardziej niż następnej wizyty „smutnych”. Już wolał, by zawlekli go na kolejne przesłuchanie, niż zostawili tu, gdziekolwiek się znajdował, by zdychał powoli z braku wody i powietrza. O jedzeniu zapomniał dawno...

Zasłużył na śmierć – nie miał co do tego wątpliwości – zasłużył na śmierć w mękach i upodleniu, ale przecież nie na powolne konanie w ziemnej jamie, gdzie wrzucano go po przesłuchaniach i zostawiano w samotności dotąd, aż znów ktoś sobie o nim przypomniał, znów wyciągał go na powierzchnię i zaczynał zadawać te same pytania. A potem ból.

Siergiej powtarzał wciąż to samo: jest tylko najemnikiem. Mięsem armatnim,

wynajętym, by zabijało takich samych jak on. Czy mięsu mówi się, po co zostało sprawione? Czy wtajemnicza się je w plany tych, co trzymają nóż i widelec?

Tamci, którzy go przesłuchiwali, musieli zdawać sobie sprawę, że niewiele wie, a tę garść informacji, które byłyby dla kogokolwiek interesujące, wyśpiewał już dawno. Nie były to jego sekrety. Mógł sypać, nawet gdyby nie zachęcano go do zwierzeń torturami. Lecz wojna, zabawa twardych facetów, w której cierpią i giną niewinni, ma to do siebie, że lubi ból, krew i śmierć. Zabierali go na męki dla rozrywki, bo rzadko zdarzało się pojmać żywego wroga. Im udało się tylko dlatego, że towarzysz Siergieja, z którym wyszedł na akcję, zdradził. Miał pełnić nocną wartę, a przeszedł na stronę tamtych, wydając im Sodarowa jako wkupne.

Pojmali go, gdy spał. Spętali, zarzucili worek na głowę i powiedli do swojej siedziby. Najpierw na piechotę, potem rozklekotanym dżipem, na koniec znów na własnych nogach, dokądś... Chyba w tym momencie, gdy szedł, potykając się co krok o cegły i gruz, ulicą jakiegoś miasta cuchnącego wojną i śmiercią, a potem przez cmentarz – tak, tego był pewien, prowadzą go na cmentarz – stracił wiarę, że wyjdzie z tego cało. Gdy po raz pierwszy wzięli go na przesłuchanie, nabrał pewności.

Ile dni konał pod ich nożem? Zbyt wiele.

Ile razy wołał o śmierć, gdy podłączali go do prądu? Zbyt wiele.

Ile razy o tę śmierć błagał, gdy wrzucali go do dołu, obiecując, że jutro znów się nim zajmą? Nie zliczyłby.

A jednak trzymał się życia.

Dlaczego? Czy może dla kogo? Siergiej po tygodniach tortur nie odpowiedziałby na to pytanie. Żadna doktor Kraszewska nie była warta takiego bólu. Bezsensownego bólu, bo nie była to nawet jego wojna.

– *Wychadi!* – padło nagle z góry. – *Nu, wychadi!* – Głos ponaglił, bo on zdobył się jedynie na zwrócenie twarzy ku temu, kto wołał. – *Tfu! Sobaka... Matkojebiec...*

Ktoś wskoczył do ziemianki, poderwał Sodarowa pod ramiona. Kto inny zarzucił pasy, na których wciągnięto wynędzniały strzęp człowieka na powierzchnię.

Próbował protestować, walczyć z oprawcami tą odrobiną sił, które tliły się w piersi, ale cios w splot sprawił, że padł na kolana. Nie miał już sił. Na nic.

Wywlekli go pod ramiona na zewnątrz. Wrzucili jak worek kartofli na pakę samochodu. Siergiej otworzył usta, chciwie łapiąc świeże powietrze. Nic to, że wiozą go na śmierć – miał pewność, że dziś jego żalosna egzystencja dobiegnie końca, i modlił się o to tą resztką duszy, która jeszcze modlić się potrafiła. Mniejsza z tym, że nikt nigdy się nie dowie, gdzie go pochowano. Bogiem a prawdą, nikogo to nie obchodziło. Pragnął zaliczyć wreszcie tę kulę w łeb, o ile będą tak łaskawi, by go zastrzelić, a nie po prostu wrzucić do grobu i zasypać ziemią, jeszcze żywego, jeszcze wijącego się w mękach i krzyczącego o zmiłowanie, mimo cuchnącej szmaty w ustach... Błagał o tę kulę, choć tylko w duchu. Gdyby poprosił oprawców na głos, przez zwykłą złośliwość szybkiej śmierci by mu pożałowali...

Samochód ruszył.

Podskakując na wybojach, jechał dokądś... Po coś... Długo... Siergiej najpierw stracił rachubę czasu, a potem i przytomność, co mu się ostatnio często zdarzało. Ocknął

się, gdy warkot silnika umilkł.

Ktoś wskoczył na pakę, zerwał plandekę, którą Siergieja nakryli, kopnął go w udo, nie mocno, ot tak, by więzień wiedział, że pozostaje we władzy tego kogoś, a potem warknął:

– Ty jesteś Siergiej Andriejewicz Sodarow?

Lepiej przytaknąć czy zaprzeczyć? A co, jeśli mają Martę?! Nawet i Nataniela czy Mateusza?! Co, jeśli sprowadził nieszczęście na ludzi, których on nazywał przyjaciółmi, nawet jeśli oni darzyli go li tylko nienawiścią?!

– *Gadaj, sobaka!* – Tym razem kopnięcie miało sprawić ból i sprawiło.

Niezagojona dłoń była dobrym celem, by wydobyć z gardła Sodarowa nie tylko krzyk, ale i potwierdzenie. Przecież od początku znali jego tożsamość. Nie wiedział skąd, ale od pierwszej chwili, gdy go dorwali, mówili doń „Sodarow”...

– *Biericie jego* – warknął ten, który pytał, i... to był koniec umierania.

Następnym wspomnieniem z tego dnia były delikatne kobiece dłonie, które zdierały zeń cuchnące resztki munduru, starając się zadać udręczonemu mężczyźnie jak najmniej bólu. Cóż za miła odmiana...! Potem te same dłonie zmyły krew i łajno z jego ciała.

Plakał. Choć chciał się trzymać do końca, płakał. Łzy płynęły po zapadniętych, pokrytych wielodniowym zarostem policzkach. Płynęły z jedyne go oka, które mu pozostało. Drugie wykłuli mu na samym początku.

Dłonie, te dobre kobiece dłonie, odziały go w czystą piżamę. A to wszystko w zupełnej ciszy. W milczeniu. Nie wiedział, kim jest kobieta, która zajmuje się jego nędznym istnieniem. Czy jest młoda czy stara, ładna czy brzydka, w ogóle go to nie zajmowało. Pragnął całować ją po rękach już za to, że przynosi mu ulgę, a nie ból. Tak niewiele do szczęścia brakuje komuś, dla kogo szczęście jest macochą, nie matką...

Przewieziono go na salę zabiegową. Tam lekarz, sądząc po głosie, młodszy od Sodarowa, zaczął grzebać w jego ranach, tych, które nie chciały się goić. Ciął na żywca zaropiałe tkanki, nie zważając na krzyki i przekleństwa torturowanego mężczyzny, dotąd, aż pociekła z nich krew, nie posoka. Omył je czystą wodą, posypał antybiotykiem, zabandażował. I... sięgnął do opaski na oku. Siergiej chwycił go za nadgarstek, odruchowo, choć nie widział prawie nic.

– Błagam, *pomiłuj!* Uśpij mnie! – wycharczał.

– Nie ma nic, człowieku. Nie mam narkozy dla najciężej rannych, a to u ciebie to drobiazg, wytrzymasz.

– Wódki mi chociaż daj... – Palce zaciśnięte na nadgarstku lekarza nie chciały puścić.

– Nie ma. Nic nie ma.

Dłonie kobiety, dotąd tak delikatne i współczujące, teraz chwyciły Siergieja za ramiona, wbiły w stół zabiegowy, nie pozwalając na najmniejszy ruch. Ani wtedy, gdy lekarz ściągał zaropiałą opaskę, ani gdy wbijał w wypełniony cuchnącą tkanką oczodół pęsetę i skalpel. Sodarow zawył i zemdlął. Na szczęście dla siebie. Zemdlął.

\*



– I widzisz, chłopcze, on jest w Polsce. – Mateusz kończył opowiadać to, co przekazał mu pełnomocnik Sodarowa. – Wczoraj przywieźli go do Lublina, do szpitala... niech spojrzę... ano tak, wojskowego, łatwo będzie trafić. Bo pojedziemy po niego? Zabierzemy go tutaj, na Mazury?

Nataniel spojrział na przyjaciela ze zdumieniem.

– Mówisz o Sodarowie? Chcesz go tu przywieźć?

– Po to dzwonił do mnie papug. Siergiej nie ma nikogo, żadnych bliskich. Tylko do mnie i do ciebie adwokat miał telefon. Do nikogo więcej. Poprosił mnie, żebym zabrał Sodarowa do domu, gdy tylko ten drań będzie mógł opuścić szpital, więc zrobimy to, prawda, Nat? Nie zostawimy drania samemu sobie?

– Nienawidzisz go nie mniej niż ja! Pamiętasz, ile krzywd wyrządził Marcie, mnie, tobie?!

– Pewnie, że pamiętam, chociaż z tą nienawiścią... Dobrze, masz rację, swego czasu utopiłbym bydlaka w łyżce wody, ale zobacz, Nat, to nasz wróg – zgadza się?, zgadza – jeśli nie ten, to będzie inny, a przecież lepszy wróg znany niż nieznany. Kogo nam Pan Bóg ześle, jeśli odwrócimy się od Sodarowa? Bandytę, co tobie będzie psa truć, a mnie chałupę nad głową spali? Siergiej jaki jest, taki jest, krzywdzić krzywdzi, jednak na swój sposób opiekował się Martą. Żadnemu burkowi nie pozwoliłby jej tknąć...

– Racja, on jedynie kupił jej dwór. Po to, żeby go spalić, to twoje słowa.

– Oj tam... zaraz spalić... rzuciłem tylko, co mogło chodzić Siergiejowi po łbie. Może zmańdrał tam, gdzie się poniewierał przez ostatnie miesiące? Może się zmienił?

– Ciekawe w co...

– Przecież myślisz to, co ja. Trzeba zająć się Sodarowem. To swój. Nasz. Jakże tak zostawić go w biedzie.

– Nie jest taki biedny. Ma ranczo, dwór, parę hektarów ziemi...

– Nat, droczysz się ze mną.

– Bo nie rozumiem, po co chcesz go tutaj ściągnąć! Marcie będziesz go stręczył? Myślałem, że... no wiesz, że życzysz jej dobrze.

– Bo życzę Marcie jak najlepiej! I nikogo nie będę jej, jak to się brzydko wyraziłeś, „stręczył”. Gdyby doktor Kraszewska chciała być z kimś, toby była. Nie potrzebuje swata. Ale... No zobacz, Nat, Siergiej bardziej skrzywdzić jej nie może, prawda?

– Prawda. Napsuł jej krwi wystarczająco. Chyba że jednak spali ten dwór, zanim Marta zdąży go odkupić.

– Nie spali. Po to do niego jedziemy. Żeby wybadać, jakie są intencje Sodarowa, i... w razie czego mieć czas, żeby coś wymyślić. Rozumiesz, przeciwdziałać. Jeśli zostawimy go teraz samemu sobie, wróci tu tak czy siak, wredny i mściwy, jak to on. Gdy jednak okazemy mu serce... Rozumiesz, przez wdzięczność sprzeda ten dwór Marcie. Już my się o to postaramy.

Chłopak, pozbawiony złudzeń, pokręcił głową. Każdy będzie kiedyś potrzebował pomocy, nie było co do tego wątpliwości, i Nataniel nawet najgorszemu wrogowi tej pomocy by nie odmówił. Pojechałby do Lublina, spotkał się z Sodarowem, zapytał, czy niczego mu nie potrzeba, bo tak nakazuje sumienie. Lecz wiele po Siergieju oczekiwać nie można. Nie wolno liczyć na jego wdzięczność. Wytłumaczy to jednak Mateuszowi po

drodze, bo przecież ten pojedzie do Lublina – z nim, Natanielem, czy bez niego.

– To co, jedziemy? – Mateusz był gotów do drogi w chwili, gdy skończył rozmowę z pełnomocnikiem Sodarowa.

Nataniel nie mógł odpowiedzieć inaczej niż:

– Jedziemy.

Przyjął pomocną dłoń i wstał właśnie wtedy, kiedy na pomost wbiegła Emilka.

Jej do niedawna blada buzia mieszkanki wielkiego miasta zaczęła rumienić się od promieni mazurskiego słońca. Były jeszcze nieśmiałe, wiosenne, ale już potrafiły brązować ramiona i policzki.

– Wujku Natanielu, ciocia przyniosła ciasto! – zaszczebiotała, odebrawszy należną porcję uścisków i buziaków. – Cały ranek mieszałyśmy, o tak, tymi rączkami, i mieszałyśmy. Potem rodzynki, do piekarnika i będzie jak znalazł! Na podwieczorek!

Marta wodziła za dziewczynką rozkochanym spojrzeniem, gdy ta, podskakując jak wróbel, ciągle w ruchu, pełna niespożytej energii, opowiadała Natanielowi o tym, co przydarzyło się w dworze od ostatniego spotkania. Czyli od wczoraj. Mimo iż Emilka na stałe zamieszkała u Marty, Nataniel stanowczo pilnował, by widywać się z małą codziennie. Nie tylko z obowiązku. Sam pokochał to urocze, uśmiechnięte dziecko. Może nie wielbił, tak jak Marta, ziemi, po której mała stąpa, ale lubił, gdy dziewczynka zarzucała mu ręce na szyję, przytulała się drobnym ciałkiem, wyciskała na policzku całusa i szeptała:

– Kocham cię, wujku Natanielu, jak kucyka Kacperka. Może nawet więcej.

Tak, do Kacperka również się przytulała i jego też całowała w policzki albo chrapy. Nataniel mógł wierzyć jej więc na słowo.

Teraz porwał dziecko w ramiona, ucałował i zwrócił się do Marty, nie wypuszczając małej z objęć:

– Wyjeżdżamy z Mateuszem w misji ratunkowej. Wrócimy prawdopodobnie jutro, może pojutrze. Zajmiesz się zwierzętami?

Dzień–dwa bez konkurencji w osobie Nataniela?

– Pewnie. Jedźcie spokojnie. Nawet na tydzień, skoro taka potrzeba.

Jeśli Nataniel spodziewał się, że Marta zacznie wypytywać, co to za misja, musiał się rozczarować. Najwyraźniej było jej wszystko jedno, dokąd się wybierają, byle Emilka została z nią.

Nic więcej nie zostało do powiedzenia.

Z wdzięcznością przyjęli ciasto drożdżowe, aż ciężkie od bakalii, wsiedli do samochodu i żegnani przez obie kobiety – jedną małą, drugą dużą – ruszyli na południowy wschód, do Lublina.

Mecenas wyrażał się dosyć niejasno, jeśli chodzi o przyczynę pobytu Sodarowa w lubelskim szpitalu. Wypadek? Pobicie? Albo sam wiedział niewiele, albo też – i to było bardziej prawdopodobne – nie chciał przedwcześnie wystraszyć dwóch przyjaciół. Gdyby oni odmówili pomocy, sam pewnie musiałby się fatygować na Lubelszczyznę.

Tak więc Mateusz z Natanielem spodziewali się Siergieja po wypadku. Nic, absolutnie nic nie przygotowało ich do widoku człowieka po ciężkich torturach...

– Siergiej, to ja, Nataniel – młody mężczyzna odezwał się zduszonym głosem, gdy

już był w stanie wypowiedzieć tych kilka słów.

Nieruchomy dotychczas kształt, spoczywający w bieli szpitalnych prześcieradeł, drgnął lekko, jakby słowa chłopaka obudziły go z głębokiego, narkotycznego snu, ale pielęgniarka, wprowadzając ich do sali, powiedziała, że pacjent jest przytomny. Nie śpi. Muszą postępować jednak bardzo delikatnie, bo nadal jest w ciężkim stanie.

I był. Widać to było choćby po opuchniętej twarzy, posiniaczonej, pociętej ranami, które nie chcą się goić. Najgorszy był jednak widok kompresu zakrywającego lewe oko mężczyzny, czy raczej to, co po oku zostało. Lekarz z kolei uprzedził ich, że pacjentowi wyłupiono gałkę oczną w sposób niezwykle brutalny. Musieli przeprowadzić zabieg oczyszczenia oczodołu raz jeszcze.

To wystarczyło, żeby Mateusz poprosił Nataniela słabym głosem:

– Wejdz do niego sam. Ja na razie... chyba muszę wyjść, złapać kilka oddechów. Nie zrozum mnie źle... Wiem, że ja cię tu przywlokłem...

– Daj spokój, człowieku – uciał cicho, lecz stanowczo Nataniel, wiedząc, że przyjaciel nie znosi widoku krwi i ran. – Przyjdz, kiedy będziesz gotowy.

Tak więc do pokoju, w którym spoczywał Sodarow, wszedł sam. Pielęgniarka zostawiła go na progu i wróciła do swoich zajęć.

Podszedł cicho do łóżka i na widok Siergieja w tak strasznym stanie, w jakim nigdy nikogo nie widział, po prostu odebrało mu oddech. Usiadł ciężko, wbił na chwilę spojrzenie w ekran pulsoksymetru, żeby zebrać myśli, po czym odezwał się cicho:

– Siergiej, to ja, Nataniel.

Powieka drugiego oka drgnęła. Uniosła się odrobinę. Usta próbowały wymówić jakieś słowo. Powitanie? Przekleństwo? Nataniel nie miał pojęcia, czy jest tu mile widziany czy wprost przeciwnie. Sodarow powoli, z nadludzkim niemal wysiłkiem wyciągnął do Nataniela dłoń. Kikuty dwóch palców, kciuka i wskazującego, spowijały bandaż. Chłopak zamrugał, by odpędzić łzy, po czym delikatnie ujął tę dłoń i uściśnął. Lekko, żeby nie sprawić bólu, ale żeby Siergiej wiedział... wiedział, że...

– Jeśli tylko chcesz, zabierzemy cię do domu.

Powieka opadła. Po sinym policzku spłynęła łza. Nataniel raz jeszcze uściśnął dłoń Sodarowa, po czym wyszedł z pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi. Wyszedł na korytarz, oparł się o ścianę i oddychał chwilę głęboko, próbując się nie rozplakać.

Tak, złorzeczył Siergiejowi! Owszem, po tym, jak zobaczył ich dwoje – Sodarowa i Iwonę – wtedy, na pomoście, zniechęcił go i życzył mu wszystkiego, co najgorsze. Ale przecież nie tortur! Nie utraty oka i palców u dłoni! Boże, przecież wiesz, że w głębi duszy tego mu nie życzyłem!

– Bardzo z nim źle? – usłyszał zmartwiony głos Mateusza.

Zdobył się jedynie na kiwnięcie głową, walcząc ze łzami. Czuł się podle, jakby sam przyłożył rękę do tych tortur. Czy nasze złorzeczenia mają rzeczywiście tak wielką moc? Ilu ludzi, których nawet nie znamy, przeklinamy dzień w dzień? Kasjerkę w supermarkecie, bo odmówiła przyjęcia butelek po piwie... Urzędniczkę w skarbowce, bo zażądała innego dokumentu... Pijaczkę, który zbyt natarczywie wyciąga łapę po pięćdziesiąt groszy... Drobne w ogólnym rozrachunku nieprzyjemności, które kwitujemy: „Niech cię szlag, zarazo!”. Czy te słowa uderzają w winowajców? Nie

wiadomo. Ale na pewno uderzają w nas samych.

Nataniel, przyciskając dłoń do oczu na korytarzu lubelskiego szpitala, żałował po stokroć każdego przekleństwa, jakie cisnął na głowę Siergieja. Każdego. Po stokroć.

## ROZDZIAŁ XIII



Emilka marudziła od samego rana. Nie chciała włożyć bluzeczki z Elzą z Krainy Lodu, wolała tę z My Little Pony, która jeszcze wilgotna po praniu, wisiała na suszarce. Wzgardziła płatkami z mlekiem, a gdy Marta zrobiła jej kanapki, wzięła kawałek do ust i wypluła, jakby jedzenie gryzło w język. Po długich namowach zjadła połowę i więcej ani kęsa. Potem było jeszcze gorzej. Nie chciała wyjść na spacer, nie chciała oglądać bajek ani czytać książeczek, za to jak nakręcona powtarzała pytanie, kiedy wraca wujek Nataniel, aż Marta, doprowadzona do granic cierpliwości, zaproponowała, że pojedą na dworzec PKP i sprawdzą najbliższe pociągi, mimo że połączenia z wielkim światem – jakim był na przykład Lublin – Senna nie miała.

To na parę minut dziewczynkę uspokoiło.

Pozwoliła zaprowadzić się do samochodu, zapiąć w foteliku i w milczeniu, bardzo do niej niepodobnym, zawieźć na pustą o tej porze stację.

Wysiadły, podeszły do tablicy przyjazdów i odjazdów.

– Za półtorej godziny jest pociąg z Pizy – odezwała się Marta, ale dziewczynka zdawała się jej nie słuchać. Stała nieruchomo, z palcami zaciśniętymi w pięści, po czym nagle stęknęła:

– Muszę do toalety. Muuszę!

I wymiotowała prosto na Martę.

Ta oniemiała.

– Muszę do toalety – wybełkotało dziecko i ruszyło, chwiejąc się na nogach, w kierunku rosnących na poboczu krzaków.

Kobieta, nabrawszy pewności, że dzieje się coś złego, ruszyła biegiem za Emilką, porwała na ręce, wpadła w krzaki i w ostatniej chwili ściągnęła małej spodnie... Dziewczynka zgięta w pół, pojękując z bólu, długo załatwiała nagłą potrzebę, by na koniec zwrócić resztki śniadania.

– Emilciu, kochanie moje... – Marta otarła własnym szalikiem buzię dziecka. – Jesteś chora, małeńka. Musimy ci pomóc.

Wzięła osłabłe z wysiłku dziecko na ręce i pobiegła do samochodu. Teraz już wiedziała, że poranne marudzenie było początkiem choróbki. Dotknąwszy czoła

dziecka, jęknęła w duchu. Miało gorączkę, a sądząc po gwałtowności objawów, ta wzrosnie.

– Grypa żołądkowa albo rotawiroza – zaszepiała do siebie. – Boże, nie pozwól, żeby przyplątało się coś gorszego...

Na wspomnienie małego Maciusia, który niewiele młodszy od Emilki trafił w ręce doktor Kraszewskiej i dzień później już nie żył, serce kobiety zacisnęło się ze strachu. Ból przeszył klatkę piersiową. Musiała na chwilę się zatrzymać, przyciskając dziecko do piersi, poczekać, aż ostre klucie minie i będzie mogła ruszyć dalej.

– Proszę, Boże kochany, żeby to nie było zapalenie opon mózgowych...

Przypięła leżące się przez ręce dziecko do fotelika i wskoczyła za kierownicę. Nacisnęła na pedał gazu tak silnie, że samochód zabuksował kołami na szutrowej drodze. Chwilę później gnała do Olsztyna. Pisz był wprawdzie bliżej, ale olsztyński szpital przyjął niedawno jej kolegę ze studiów. Doktor Hubert nie zawiedzie, jak ona zawiodła sześć lat temu...

Emilka krzyczała wniebogłosy. Jeszcze parę minut wcześniej zwiślała bezwładnie Marcie z rąk, teraz wiła się, kopała i wrzeszczała na całe gardło. Pielęgniarka, coraz bardziej roztrzęsiona, próbowała wbić igłę najpierw w przedramię dziewczynki, a gdy jej się nie udało i pod skórą zaczął rosnać krwiak, w wierzch dłoni.

– Emilciu, skarbie, ciiiicho, już, już... – powtarzała Marta, próbując uspokoić lamentujące dziecko.

Następna żyłka o cienkich ścianach pękła, a ręce pielęgniarki zaczęły drżeć.

– Przepraszam – wymamrotała. – Gdyby to dziecko siedziało spokojnie... Spróbuję raz jeszcze, a potem będziemy musiały czekać na doktora.

– Proszę ją przytrzymać – nakazała nagle Marta, biorąc od dziewczynki, czerwonej na twarzy z gniewu i wstydu, wenflon, stazę i gazik nasączony spirytusem. – Ja się wkłuję, jestem lekarzem. Proszę tylko mocno przytrzymać dziecko.

Młoda pielęgniarka, pewnie zaraz po technikum, obejrzała się za siebie, szukając wsparcia u koleżanek, ale te, równie niedoświadczone, a już zupełnie nieskore do zakładania wenflonu u rozhisteryzowanej pięciolatki, umknęły z gabinetu, zostawiając ją samą.

Emilka, widząc, że obca kobieta unieruchamia jej ramiona, a ciocia Marta odchodzi, zaczęła krzyczeć jeszcze głośniejsze, z jeszcze większą rozpaczą.

– Nie zostawiaj mnie, ciociuuu, nie zostawiaj! Już będę grze-eczna, tylko nie odchoodź!

Marta obeszła fotel, na którym siedziało dziecko, i zupełnie bez emocji, bo nie były one w tej chwili dobrym doradcą, podwinęła rękaw bluzeczki na drugim ramieniu dziewczynki, przetała skórę wacikiem i rzuciwszy do pielęgniarki: „Proszę ją mocno trzymać”, jednym płynnym ruchem wbiła się do żyły.

Emilka zachłysnęła się szlochem. Marta dopięła wężyk kroplówki i dopiero teraz odezwała się kojącym, serdecznym tonem, który zawsze miała dla swoich pacjentów, no, z wyjątkiem sytuacji, gdy musiała być chłodna i skoncentrowana, jak przed chwilą:

– Już, skarbeńku, po wszystkim. Nie będzie bolało...

– Proszę, proszę, nasza Martusia jak zwykle pokazała, co potrafi – padło od drzwi.

Marta uśmiechnęła się i zwróciła w stronę wysokiego, przystojnego mężczyzny, który od paru chwil stał w progu i przyglądał się jej poczynaniom.

– Zamiast ze mnie kpić, wyręczyłbyś mnie z wkłuwania się w rączkę mojej dziecinki! – rzuciła z udawanym gniewem.

– Po co? Ty byłaś w tym najlepsza na roku – odparł, wszedł do gabinetu, wypłoszył pielęgniarkę jednym spojrzeniem, po czym pochylił się i cmoknął o głowę niższą od niego kobietę w policzek. – Cieszę się, że cię widzę, kochanie. Już się bałem, że na mieście mówią prawdę i *pagibłaś bojam*.

– Jak zwykle przesadzają – odparła. – Zaszłam się na pięknej mazurskiej wsi i tyle. Zajmiesz się Emilką?

– Naszą małą syrenką okrętową, którą słychać w całym, dosłownie całym szpitalu? Pewnie! Ucinałem sobie drzemkę po morderczej nocy na pogotowiu, gdy oto budzi mnie hejnał ze szpitalnej izby...

Marta parsknęła śmiechem. Jarka Huberta nie dało się nie lubić. Był uroczym, wygadany, inteligentnym chłopakiem, z zadartym piegowatym nosem, okularami, które wiecznie gubił, i strzechą rudych włosów, których z kolei nigdy nie potrafił ujarzmić. Swego czasu chudy jak tyczka i wysoki, nosił pseudo „Czapla”. Dziś, dobiegając pięćdziesiątki, trzymał się świetnie, co Marta stwierdziła może nie na pierwszy rzut oka, bo jednak zajęta była uspokajaniem Emilki, ale już na drugi, gdy Jarek oparł się dłonią o jej przedramię – co zawsze przyprawiało koleżanki o przyspieszone bicie serca – i pod lekarskim fartuchem wyczuła twarde węzły mięśni, owszem. Rude włosy pojaśniały, wyłocili się, wysrebrzyły, ale to tylko dodawało uroku jego męskiej, szczupłej twarzy. Szare oczy za oprawkami drogich drucianych okularów były nieco zgaszone przez upływ lat, jednak pochwyiciwszy spojrzenie kobiety, doktor Hubert posłał jej swój zwykły, łobuzerski uśmiech.

O tak, do Jarka wzdychała żeńska część jej rocznika, wcześniejszych i późniejszych również. Uwodził koleżanki, czarował, a to wszystko w lekki, żartobliwy sposób, by żadna nie robiła sobie nadziei na nic więcej niż niewinny flirt. Jarek Hubert nie zostawiał za sobą złamanych serc.

O dziwo, był również lubiany przez kolegów z roku, bo nie dość, że genialnie podpowiadał na kolokwiach, to jeszcze głowę miał mocną i w picciu dotrzymywał kroku najlepszym. Był równym gościem, dobrym przyjacielem, który wspomógł dyszką, gdy trzeba.

Wykładowcy cenili przyszłego doktora za to, iż mimo luzackiego podejścia do życia i nauki chłonał wiedzę jak gąbka. Niewielu studentów było lepszych od niego. Marta do nich należała, przez co dokuczał jej niemiłosiernie. Ale wiadomo: kto się czubi, ten się lubi. Byłaby z nich świetna para, tyle że on w połowie studiów zakochał się od pierwszego wejrzenia w studentce farmacji – szarej myszce, tak niepozornej, że wszyscy zachodzili w głowę, co Jarek Hubert w niej widzi – i reszta świata przestała się liczyć, Marta zaś wpadła w oko facetowi, który później stał się jej mężem.

– Przeniesiemy naszą syrenkę do pokoju – odezwał się, odkładając próbki napełnione krwią do stojaka. Oczywiście mógł o to poprosić pielęgniarkę, ale wolał zostać z Martą sam na sam. Swego czasu stanowili świetny zespół...

– Jestem Małą Syrenką? – Dziecko uniosło opadające powieki i spojrzało zamglonym z gorączki i osłabienia wzrokiem na wysokiego, uśmiechniętego mężczyznę.

Wziął małą delikatnie na ręce i odparł:

– Wprawdzie głos masz potężny niczym wielka okrętowa syrena, ale rzeczywiście jesteś małą, biedną, pokłutą syrenką.

– Rzeczywiście – wyszeptała i zapadła w płytki sen.

– Wygląda to na zwykłą grypę, ale zlecę wszystkie badania – zwrócił się do Marty idącej obok. Chciała coś powiedzieć, jednak uprzedził ją: – Tak, w kierunku *meningitis* też. Słyszałem. Szok.

Kiwnęła głową, wdzięczna, że w tych dwóch krótkich słowach, bez zbytniego rozwodzenia się, skwitował to, co się jej przydarzyło. I wyraził na swój sposób współczucie.

Usiadła przy łóżku, które niemal wchłonęło drobną, chorą istotkę, ujęła pokłutą i obandażowaną rączkę dziewczynki i odgarnęła sklezione potem włosy z jej czoła.

– Twoja córeczka? – zapytał.

– Podopieczna mojego przyjaciela.

Weszła pielęgniarka, podała doktorowi kartę, by wpisał do niej zalecane badania i zabiegi. Zanotował coś zamasyście – to również było dlań typowe – po czym podsunął swoje gryzmoły do przeczytania Marcie. Zdumiona, uniosła na niego wzrok.

– Sprawdź, czy czegoś nie pominąłem. Jesteś świetnym pediatrą – dodał, kładąc nacisk na „jesteś”, i lekko pokręcił głową, gdy już otwierała usta, żeby sprostować: „byłam”.

Pielęgniarka wyszła, posyłając wcześniej Marcie spłoszone spojrzenie. Skoro ta kobieta była lekarzem, nadto w tak bliskich stosunkach z ordynatorem, należało na nią uważać i z tą małą, Emilią Bugaj, obchodzić się jak z jajkiem...

On odezwał się ponownie, wyciągając stetoskop:

– Mam co do ciebie niecny plan, Martusiu Sipińska.

– Kraszewska – tym razem sprostowała. – Wszelkie plany sobie daruj. Nie wrócę do zawodu.

– A kto cię o to prosi?! – wykrzyknął z udawanym zdumieniem. – No dobra, chciałem ci z miejsca zaproponować etat, albo i dwa, gdzie tam dwa, całą dobę, siedem razy w tygodniu! – musiała się w tym momencie roześmiać, na Jarka nie było mocnych – ale zmieniłem zamiary. Najpierw zabiorę cię na lurowatą kawę do szpitalnej stołówki, wieczorem na wymęczone kanapki w barku dla rodziców, a jutro rano będziesz moja.

Marta spojrzała nań zaskoczona.

– A Krysia? – Tak miała na imię miłość jego życia.

Spowaźniał. Światło w szarych oczach przygasło.

– Zmarła pięć lat temu.

– Och...

– Wredny, szybko postępujący guz mózgu.

– Tak bardzo mi przykro... – Położyła dłoń na jego dłoni i uścisnęła. Krótko, ale silnie.

– Pięć lat zabrało mi pożegnanie się z Krychną i tamtym życiem i oto, tadam!,



zaczynam od nowa. W naszym pięknym Olsztynie. – Mimo żartobliwych słów w jego oczach nadal czaił się tamten smutek. – I kto by pomyślał, kogo tutaj spotkam. Największa kujonka na roku, niezastąpiona, wspaniała doktor Sipińska, tak, wiem, że teraz Kraszewska, zstępuje do nas, zwykłych śmiertelników, pod postacią krawcowej...

– A o tym skąd wiesz?! – Marta aż cofnęła się ze zdumienia. I nagle jej nowy zawód, przy tym mężczyźnie, który wspomniał jak gdyby nigdy nic o jej dawnych dokonaniach, wydał się bardzo niestosowny.

– Zrobiłem mały *research*. – Puścił do niej oczko. – Dopóki nie poznałem Krychny, skrycie podkochiwałem się w tobie... – Chwycił pasmo kasztanowych włosów, jak to czynił w dawnych studenckich czasach, owinął sobie na palcu i pociągnął lekko.

Marta poczuła nagłą radość. Nie pożądanie, bez przesady, z nagłych porywów serca, i nie tylko serca, wyleczył ją skutecznie Siergiej, ale zwykłą radość kobiety, która wie, że jest lubiana – i może nawet leciutko uwodzona! – przez fajnego, uroczego, znanego jej od lat faceta.

– A że stara miłość nie umiera...

– Nie jestem jeszcze taka stara! – Udała oburzenie.

– I co? Liczysz teraz na tani komplement? Mam zaprzeczyć: ależ skąd, wyglądasz na dwudziestkę! Co ja mówię: nie dałbym ci więcej niż osiemnaście! Ale ja ci powiem, Martusiu, że przez ostatni rok, może półtora, od kiedy w ogóle zauważam kobiety, do żadnej osiemnastki czy dwudziestki nie poczułem takiej mięty jak teraz do ciebie. Jesteś śliczna, zawsze byłaś, jak świeżo zerwane, dojrzałe jabłuszko.

Marta parsknęła śmiechem, po prostu nie mogła się powstrzymać. Jarek i te jego zadziwiające komplementy. Kiedyś nazwał ją, z powodu koloru włosów, za którym w młodości nie przepadała, mufką z lisiczki. „Bo jesteś taka miękka i ciepłutka – mówił – że tylko wsunąć w ciebie ręce”. I oczywiście próbował wsunąć dłonie pod jej fartuch, ale ze śmiechem dała mu po łapach, a on, jak to on, nie próbował posunąć się dalej. Cenił Martę jako dobrą kumpelkę i czekał na wielką miłość.

Doczekał się. Żeby dziś stać się czterdziestosiedmioletnim wdowcem...

– Emilka zasnęła. Kroplówka z całym dobrodziejstwem egzemplarza działa. Dasz się zaprosić na kawę? Poproszę kogoś, by posiedział przy małej. – W głosie mężczyzny zabrzmiała prośba, której Marta nie potrafiła odmówić. Tak to jest, gdy spotyka się dawną sympatię, na dodatek sympatię, która straciła połówkę duszy, ale druga połowa jest jak najbardziej wolna.

– Nie masz ty przypadkiem pacjentów? – Musiała o to zapytać. Chore dzieci stawiała na pierwszym miejscu.

– Nie zostawiłbym ich nawet dla najpiękniejszej kobiety, kochanie, ale dyżur skończył mi się godzinę temu. Gdy akurat zasnąłem na stojąco w lekarskiej kanciapie, obudziła mnie twoja syrenka. Mój zastępca nie przepada za zamieszaniem na oddziale, ceni ciszę i spokój, rozumiesz, uprosił mnie więc, bym ostatni raz tego ranka go zastąpił, i jak w tamtej chwili kląłem miglanca najparszywszymi słowami typu: „cholera jasna!”, tak teraz gotów jestem postawić mu dobre piwo. No, wino. – Przekrzywił głowę i taksował Martę spojrzeniem sekundy–dwie. – Okej, koniak mu postawię.

Pokręciła tylko głową, uśmiechając się nadal, i odparła:

– Jeśli znajdziesz kogoś, kto przypilnuje Emilki, pójdziemy na szybką kawę. Naprawdę chcę przy niej być, gdy się obudzi. I do jej opiekuna muszę zadzwonić.

– A tak, twojego przyjaciela. Ile waży?

– Emilka?

– Nie! Twój przyjaciel!

Marta zrobiła wielkie oczy.

– Nie mam pojęcia... Z siedemdziesiąt kilogramów? Sześćdziesiąt parę? A po co ci to?

– Zastanawiam się, ile przygotować środka do narkozy, jakbym chciał pod jego bokiem poflirtować z tobą.

Marta zatkała usta dłonią. Po prostu – jak to mówi młodzież – wymiękała przy tym człowieku!

– Idiota! – parsknęła, gdy tylko udało się jej opanować śmiech. – Nataniel jest w wieku mojej córki!

– No i co z tego? Lubisz młodszych.

– Benek był ode mnie młodszy o dwa lata, a nie o dwadzieścia!

– To nie zmienia faktu, że był młodszy.

– Nataniel to mój przyjaciel i sąsiad!

– To przyjacielom i sąsiadom czegoś brakuje? Okej, nie namawiam cię na Nataniela, bo sam mam wobec ciebie niecne plany, jak pamiętasz. O, jest już Ala, idziemy?

Marta poprosiła młodą praktykantkę o opiekę nad śpiącą Emilką, po czym ruszyła w kierunku, który wskazał doktor, przepuszczając ją, rzecz jasna, w drzwiach. Może był luzakiem, ale dobre maniery miał we krwi.

Kawa w szpitalnej stołówce nie była taka zła. Dobrze Marcie zrobiła. Tak jak i rozmowa z uroczym Jarkiem Hubertem, na którego zerkały ukradkiem chyba wszystkie pielęgniarki i lekarki, które mijali po drodze. Trochę z ciekawości, bo – jak mówił – pracuje tutaj dopiero drugi tydzień, a trochę z zazdrości, bo ledwo doktor Kraszewska się pojawia, już zagarnia go dla siebie. To nie mogło się podobać.

– Będę cię namawiał dotąd, aż powiesz „tak” – uprzedził, dolewając do swojej kawy odrobinę mleka.

– Nie zamierzam wychodzić za mąż – odparła z lekkim uśmiechem, dokładnie wiedząc, co Hubert ma na myśli.

– O tym pomyślimy w następnej kolejności. Najpierw trzeba cię pozyskać dla olsztyńskiego szpitala, czy też raczej dla naszych małych pacjentów.

– Jarek, proszę, nie bierz mnie na szantaż emocjonalny...

– Olsztyn boryka się z niedoborem lekarzy. Dobrych, doświadczonych lekarzy, takich jak ty...

– ...co doprowadzają do śmierci pacjentów? – Pokręciła głową.

– Zdarzyło się to jak dawno temu? Sześć lat? Siedem?

– Nie ma znaczenia, jak dawno. Lekarski światek nie zapomina. Wybacz, owszem, nawet łatwiej, niż powinien, bo każdy może się znaleźć na moim miejscu, ale nie zapomina. Jak długo tu popracuję, zanim ktoś mnie sprawdzi, znajdzie artykuły prasowe

sprzed lat i puści je w obieg?

– Boisz się tego?

Spuściła wzrok. Oczywiście, że się bała! Piętno morderczyni? Kto pozostałby obojętny?

– Może... – zaczął, zastanawiając się nad czymś głęboko. – Może powróciłabyś do nazwiska panińskiego? Zamknęła cały tamten rozdział: swoje małżeństwo, przypadek tego chłopczyka... Jesteś dobrym człowiekiem, Marta, zawsze byłaś. W oczach przyjaciół zasługujesz na szacunek i drugą szansę, tylko sama sobie nie chcesz jej dać, co? – Pochylił się i odgarnął z jej oczu kosmyk włosów. Miły to był gest, pełen ciepła. Marta zapragnęła przytrzymać tę dłoń nieco dłużej...

– Pracowałam przez kilka miesięcy w Dublinie, na stanowisku administracyjnym, ale jednak – odezwała się cicho. – Próbowałam sobie wybaczyć, dać drugą szansę, jak to mówisz.

– No i?

– I wróciłam tutaj, żeby opiekować się Emilką. Tak jest dobrze.

– Marta, z całą sympatią dla Emilki, stać cię na coś więcej niż praca niani. Jesteś lekarzem. I będziesz do końca życia, czy ci się to podoba czy nie. Powinnaś wrócić tam, gdzie twoje miejsce. Proponuję ci pracę na moim oddziale, ja, który znam twoją przeszłość, wiem, że nieumyślnie doprowadziłaś do śmierci pacjenta. Wiem to wszystko i gotów jestem zaryzykować, ponieważ ufam, że drugi raz nie popełnisz podobnego błędu. Mam również pewność, że pozostałaś tym samym świetnym, pełnym współczucia dla pacjentów lekarzem co wtedy, gdy pierwszy raz włożyłaś biały fartuch, a ja... Pamiętasz?

Marta, słuchając ze ściśniętym sercem jego słów, poważnych, przyciszonych, ale bardzo dobitnych, roześmiała się nagle.

– Tak! Do kieszeni owego fartucha, śnieżnobiałego, który prasowałam rano ładną godzinę, by nie miał ani jednej zmarszczki, włożyłaś, draniu, preparat z formaliny! I było po ślicznym, pachnącym białym fartuszk! A jaką reprimendę dostałam od pani doktor, która miała z nami następne zajęcia!

– Pamiętam. – On też zaczął się śmiać. – Miałem radochę!

– A ja cię znenawidziłam od pierwszego wejrzenia!

„Ale niedługo można się było na ciebie gniewać, ty uroczy, pewny siebie przystojniaku” – dodała w duchu. „Owinałaś sobie mnie i resztę kumpelek z roku dookoła małego paluszka, ot tak”.

– Od nienawiści do miłości jeden krok – puścił do niej oczko. – Dasz się uwieść ponownie?

– W życiu nie dałam ci się uwieść! Skąd więc to „ponownie”?

– Czy medycynie dasz się uwieść. Dopiero potem mnie.

Marta spoważniała. Umilkła na dobrych kilka chwil. Pozwolił jej zapaść się we własne myśli. Nie naciskał. Znał takich lekarzy jak ona. Wiedział, jak bardzo musi tęsknić za szpitalem, pacjentami, pracą na adrenalinie, byciem potrzebną. Sam nie poradziłby sobie ze śmiercią Krysi, gdyby nie mógł uciec przed żalobą do szpitala.

– Jeśli zmieniałabym nazwisko... – zaczęła powoli – mogłoby się udać.

Skinął głową, upijając łyk kawy. Ziarno, rzucone na podatną glebę, zaczęło

kiełkować. Bóg jeden wie, co z tego będzie. On, Jarek Hubert, będzie je pielęgnował, podlewał dobrymi słowami, patrzył, jak rośnie, i w razie czego wspierał, by pięło się w górę. Od tego są przyjaciele, prawda? By pomagali wzrastać twoim marzeniom.

– Pozwól mi oswoić się z tą myślą. – W złotych oczach Marty, które wiele razy śniły mu się po nocach, ujrzał dawny błysk. Ziarno wypuściło pierwszy listek.

– Oczywiście, pani doktor. Etat na ciebie czeka. Nie pozwól tylko, by czekał zbyt długo.

Przytaknęła i wstała, gotowa wracać do Emilki.

On dokończył w dwóch łykach kawę i podniósł się również, pocierając palcami piekące z niewyspania oczy.

– Wracam do domu, załapię nieco snu i wpadnę wieczorem zobaczyć, co z małą. Będziesz?

– Oczywiście.

Jarek Hubert ukrył uśmiech pełen satysfakcji. Lubił dostawać to, czego chciał, a teraz chciał Marty Kraszewskiej.

Nie wiedział, że lada moment ktoś może zetrzeć ten uśmiech z jego przystojnej twarzy. Ktoś, kogo Marta już parę razy wyrzuciła z życia, owszem, psy na tym kimś wieszala, wyklinała go od drani i zdrajców – to wszystko prawda – ale do którego słabość miała zawsze i mieć będzie.

Właśnie Mateusz z Nataniem dojeżdżali do olsztyńskiego szpitala, by wybłagać przyjęcie Siergieja Sodarowa, zupełnie nieświadomi, kogo tu zastaną. Oto pod jednym dachem już niedługo spotkają się dwie dawne miłości doktor Kraszewskiej. I Mateusz, który kocha się w niej potajemnie. Czy któryś z nich zdobędzie jej serce? Czy ona zdolna jest zaufać i pokochać raz jeszcze?

## ROZDZIAŁ XIV



*M*

a Martę wpadli po południu, gdy ona udawała się na stołówkę kupić kanapkę dla siebie i jogurt dla Emilki, oni zaś wracali od ordynatora oddziału ogólnego, który po długich prośbach zgodził się przyjąć Siergieja Sodarowa, o ile lubelski szpital z kolei zorganizuje transport.

– Co wy tu robicie? – Marta zdumiała się i zaniepokoiła jednocześnie.

Powinna była wysłać Natanielowi wiadomość, że tego ranka przywiozła do szpitala Emilkę, u której stwierdzono rotawirozę, ale... nie uczyniła tego i nie miała nic na swoje usprawiedliwienie. Jeśli Nataniel, przecież opiekun dziewczynki, dowiedział się o jej chorobie od kogo innego, choćby lekarza, który przejął dyżur po Hubercie, zrobi się nieprzyjemnie.

A przecież Marta nie miała złych intencji! Pomyślała jedynie, że Nataniel wolałby dostać wiadomość o chorobie Emilki z jednoczesnym zapewnieniem, że dziecku nic nie zagraża.

Właśnie... właśnie szła szukać spokojnego miejsca, skąd będzie mogła do niego zadzwonić – dokładnie to powiedziała Natanielowi, zanim zdążył odpowiedzieć na jej „Co wy tu robicie?”.

– Dostałaś etat w szpitalu?! – ucieszył się Mateusz, bo jaką inną wiadomość mogła mieć dla nich Marta tutaj, w miejscu, do którego zawsze ją ciągnęło? Szczególnie Marta z tak uradowaną twarzą i błyszczącymi oczami jak w tej chwili.

– N-nie – zająknęła się. – Emilka dostała niestrawności. Nic poważnego. Ale postanowiłam dmuchać na zimne i od razu ją tu przywiozłam.

– Emilka jest w szpitalu? – Głos Nataniela zabrzmiał ostrzej, niż powinien. Marta westchnęła w duchu. – Dlaczego natychmiast do mnie nie zadzwoniłaś?!

– Miałaś swoje sprawy...

– Dziecko, które mi powierzono, jest ważniejsze od „moich spraw”! Gdzie...

– Drugie drzwi po prawej. – Machnęła zrezygnowana ręką.

Minął ją bez słowa, rozgniewany i zaniepokojony o dziecko. Mateusz odprowadził go wzrokiem, po czym przeniósł spojrzenie na Martę. Była w nim dezaprobatą i próba zrozumienia, ale więcej tej pierwszej.

– Nie wolno tak postępować, Martuś. Wybacz, duszko, że ci to mówię, ale nie wolno pomijać Nataniela w opiece nad dzieckiem. To on za małą odpowiada. Gdyby Emilce coś się stało, nie daj Panie Boże, on miałby nieprzyjemności, również karne. Jest dobrym człowiekiem, przymyka oczy na to, jak ją zawłaszczasz, ale w tej sytuacji... Tak nie wolno.

– Skończyłeś? – Głos Marty był lodowaty. – Nie zawłaszczam Emilki, zajmuję się nią pod nieobecność opiekuna. Wyjechał wczoraj, jak zapewne wiesz, i zostawił ją u mnie. Nie mogłam czekać z chorym dzieckiem do waszego powrotu. Musiałam zabrać ją do szpitala natychmiast.

– Marta... przecież wiesz, co miałem na myśli. Nie odwracaj, proszę, kota ogonem. Ja nie...

– Ja też nie. Skończyłam dyskusję.

Minęła mężczyznę, który stał pośrodku korytarza zmieszany i nieszczęśliwy, ale zatrzymała się w pół kroku, rzuciła przez ramię:

– Jeśli nie przyjechaliście do Emilki, to co tu właściwie robicie?

– Dowiesz się w swoim czasie – odmruknął i zostawił ją samą.

– I tu mi wbijali, wujku Mateuszu, taaaką igłę. Grubą i długą jak... jak mój kciuk! No zobacz sam, pod plasterkiem, ile krwi! – Emilka, która przed chwilą opowiadała o swoich przeżyciach Natanielowi, teraz znalazła drugiego, równie przejętego słuchacza, powtarzała więc wszystko słowo w słowo. – I obrzygałam ciocię Martę. I jej samochód też! Ale nie krzyczała na mnie – dodała szybko.

Nataniel przytulił dziecko serdecznie, ucałował czarne włoski i małą rączkę, na której spod plasterka widać było wielki krwiatek. Potem spojrzał na Mateusza, stojącego niepewnie przy łóżku dziewczynki, a czułość w jego oczach ustąpiła miejsca złości. Bez słowa podał mężczyźnie kartę szpitalną i puknął palcem w miejsce, gdzie widniała godzina przyjęcia małej na oddział.

– Ósma trzydzieści – syknął. – A którą mamy teraz?

– Siedemnastą pięć. Wiem, Nat, wiem, tak nie powinno być, ale przecież...

– Ani telefonu, ani nawet zdawkowego esemesa.

– Nat, chłopcze, wiesz, jakie są kobiety. „Poradzę sobie” to ich ulubiona śpiewka.

– Nie interesują mnie kobiety, a dziewczynka, za którą jestem odpowiedzialny.

Emilka podniosła nań zdziwione spojrzenie.

– Gniewasz się na mnie, wujku Natanielu? Obiecuję, że twojego samochodu nie obrzygam, tylko nie zostawiaj mnie tutaj...

– Oczywiście, że wrócisz ze mną do domu, gdy tylko pan doktor na to pozwoli – odparł łagodnie, bo w oczach małej lada chwila miały pojawić się łzy.

– Może teraz? – zapytała z nadzieją.

Nataniel pokręcił głową.

– Nie tak szybko, skarbie. Musisz całkiem wyzdrowieć. Zostaniesz z wujkiem Mateuszem, a ja porozmawiam z panem doktorem?

W tym momencie do drzwi zdawkowo zapukano i wszedł zamaszystym krokiem wysoki, szczupły mężczyzna w lekarskim fartuchu. Jeśli zdziwił się, że w pokoju Emilki zastaje dwóch nieznanymi facetów zamiast Marty, nie dał tego po sobie poznać.

– Dzień dobry, Jarosław Hubert, ordynator oddziału. Przyjmwiałem naszą małą syrenkę dziś rano – przedstawił się i nie zaprzatając sobie nimi więcej głowy, sięgnął po kartę. Studiował przez krótką chwilę zapisy temperatury i uwagi pielęgniarek, po czym zwrócił się do dziecka:

– Jak się czujesz, Emilko? Brzuszek nie boli?

Pokręciła z powagą głową.

– Wymiotów nie było, kał luźny, temperatura podwyższona... – mrucał, sprawdzając węzły chłonne dziecka. – Otwórz buzię, kochanie, i powiedz „a”.

Emilka, krzywiąc się, spełniła polecenie, po czym, gdy wetknął jej szpatułkę do ust, zaczęła kasłać, aż łzy popłynęły jej z oczu. Wyciągnęła proszącym gestem rękę do Nataniela, a ten zamknął ją w dłoni.

– Panowie to...? – Lekarz spojrział na niego pytająco.

– Nataniel Domoradzki, jestem opiekunem Emilki...

– Ach, przyjaciel Marty Kraszewskiej! – Doktor Hubert uśmiechnął się wreszcie. – Może pan zdoła ją namówić, by wróciła do zawodu?

Nataniel zmarszczył brwi, zaskoczony obcesowością mężczyzny.

– Raczej z nią, nie ze mną, powinien pan o tym rozmawiać, doktorze – odparł, ważąc słowa.

Nie bardzo wiedział, czy Marta jest zaprzyjaźniona z tym człowiekiem, a więc można z nim rozmawiać swobodnie o niej i jej planach, czy też wręcz przeciwnie, należy zachować ostrożność i na wszelki wypadek milczeć. Miała, bądź co bądź, śmierć pacjenta na sumieniu, i o tym obcy nie musiał wiedzieć.

– Namawiam ją od samego rana i będę namawiał do skutku. Jest lekarzem z powołania i jej miejsce jest tutaj, przy pacjentach, nie na zapadłej wsi, gdzie dzierga koldry, w międzyczasie niańcząc pana dziecko.

– Powierzone...

– Tak, rzecz jasna, dziecko, którym pan powinien się opiekować.

– Sugeruje pan, że źle się...

– Nic nie sugeruję – uciał Hubert. – Stwierdzam fakt, że miejsce dobrego lekarza jest tam, gdzie go najbardziej potrzebują.

– Panie doktorze, zgadzamy się w całej rozciągłości – odezwał się Mateusz uniżonym tonem, pragnąc zmytygować nieco Nataniela. Rozmawiał, bądź co bądź, z lekarzem, który tutaj jest panem i władcą, warto więc mieć w nim sprzymierzeńca, nie wroga. – Marta jest dobrym lekarzem, najlepszym, ale... widzi pan, panie doktorze... nie mamy na nią żadnego wpływu. Gdy ona sobie coś postanowi, to nie ma mocnych. – Rozłożył bezradnie ręce.

– Przejdźmy do mojego pokoju. – To nie była prośba, a polecenie, lecz doktor Hubert znany był z władczości w stosunku do pacjentów i ich rodzin.

– Zaraz do ciebie wrócę, skarbie – wyszeptał Nataniel, pochylając się ku nieszczęśliwej dziewczynce. – Przyniosę ci zabaweczkę z kiosku, dobrze?

– Kucyka Kacperka?! – Od razu się rozpromieniła.

– Jeśli tylko znajdę...

Gdy zamknęły się za nimi drzwi, Hubert zaczął bez wstępów:

– Oddział pediatrii powierzono mi dwa tygodnie temu. Jak wszędzie, tak i tutaj są niedostatki kadrowe. Nie wolno marnować takiego potencjału jak doktor Kraszewska...

– Wiem i rozumiem – wszedł mu w słowo Nataniel, coraz bardziej wzburzony. – Ale co ja mam na to poradzić? Przecież nie zmuszę jej do podjęcia pracy w szpitalu, skoro ona tego nie chce.

– Marta pragnie wrócić do zawodu – uciął mężczyzna. – Jedyłą ku temu przeszkodą jest córeczka sąsiada, którą Marta wzięła pod opiekę. Pana córeczka.

– Mówiłem sto razy, że to nie moje dziecko! Uprzejmie proszę mi tego nie imputować!

– Merytorycznie nie ma to żadnego znaczenia. Gdyby zwolnił pan doktor Kraszewską z tego obowiązku...

– Z miłą chęcią! Pytanie tylko, czy doktor Kraszewska pozwoli odebrać sobie dziecko, które od jakiegoś czasu zaczęła nazywać „córeńką”? – W oczach młodego mężczyzny błysnęła furia.

Wkurzał go ten doktorek i jego pomówienia. Wytykał Natanielowi, że przerzuca na Martę obowiązek opieki na dzieckiem, tymczasem było zupełnie inaczej! Marta wzięła na siebie ten obowiązek chętnie, nazbyt chętnie! Ile razy prosił ją, by nie angażowała się tak w wychowanie Emilki, przypominał, że dziewczynka została im powierzona na rok, może dwa, ale nie więcej. Doprawdy, powrót Marty do zawodu lekarza, wielogodzinne dyżury w szpitalu i siłą rzeczy powrót Emilki do Nataniela były w tej sytuacji darem niebios!

– Nie potrafię odebrać Marcie dziewczynki – odezwał się znużonym tonem. – Pokochała małą, a Emilce jest u niej dobrze. Lecz jeśli pan, panie doktorze, namówi Martę na powrót do szpitala, wszyscy będziemy szczęśliwsi, proszę mi wierzyć. Ze swojej strony ręczę, że dziecko będzie pod dobrą opieką. Świat nie kończy się na Martach Kraszewskich.

W tym momencie Mateusz posłał mu urażone spojrzenie, ale Nataniel nie odwrócił wzroku. Dobrze byłoby przeciąć ten węzeł jak najszybciej, dopóki nikomu się jeszcze na szyi nie zacisnął. Z każdym dniem będzie coraz trudniej...

– Mam więc zielone światło od przyjaciół pani doktor? – Hubert przywołał na twarz służbowy uśmiech.

– Jeśli cokolwiek od nas zależy, ma pan nie tylko zielone światło, ale całą hurtownię żarówek – odparł szybko Mateusz.

Uśmiech lekarza stał się szerszy. I po raz pierwszy, od kiedy zaczęli tę rozmowę, szczerzy.

Wyciągnął do starszego mężczyzny dłoń. Ten uściśnął ją z szacunkiem.

– Mateusz Józwik jestem – dodał.

– Mogę raz jeszcze porozmawiać z Martą, zapewniając, że Emilka będzie miała dobrą opiekę?

– Najlepszą! Nataniel to dusza człowiek!

Lekarz pokiwał głową i odezwał się:

– Proszę pozwolić, by to Marta opiekowała się dzieckiem aż do dnia wypisu. Niech zatęskni za atmosferą szpitala. Będę ją angażował w interesujące przypadki...



– Po co ta cała intryga? – odezwał się Nataniel. – Marta potrafi decydować za siebie.

– Nie zawsze nasze decyzje są trafne. Czasem podejmujemy je w gniewie czy rozpacz i wtedy są zupełnie błędne. Kierować się należy umysłem, nie sercem, czego doktor Kraszewska nie rozumie. Miejsce takiego lekarza jak ona, lekarza z powołania, jest tu, przy pacjentach. Im prędzej do nas wróci, tym będzie szczęśliwsza – dokończył stanowczo.

Im pozostało jedynie przytaknąć. Pytanie, czy zgodzi się ze słowami Jarka Huberta sama zainteresowana...

– Mógłby pan zabrać dziewczynkę do mamy – zasugerował doktor. – Emilka nie jest, mam nadzieję, sierotą?

– Nie jest – mruknął Nataniel. Coraz mniej podobało mu się wścibstwo tego człowieka. Próby ingerencji w ich życie tym bardziej. I nagle postanowił zagrać *va banque*: – Rozumiem, że chce pan pozyskać nowego pediatrę, ale dlaczego akurat doktor Kraszewska?

W tym momencie Hubert uśmiechnął się rozbrajająco i odrzekł:

– Była moją pierwszą miłością, jeszcze ze studiów, i mimo tylu lat wciąż czuję do niej słabość.

Nataniela... zatkało. Posłał szybkie spojrzenie Mateuszowi, któremu właśnie przybył kolejny konkurent, ale ten uciekł wzrokiem. Gdy wyszli w końcu na korytarz, powiedział z westchnieniem:

– Lepszy ten niż tamten. – Wiadomo było, kogo ma na myśli.

Ów ktoś za kilka dni miał ponownie zawitać w ich życiu. I pewnie namieszać, jak to on. Jarek Hubert powinien się pospieszyć z czarowaniem doktor Kraszewskiej, bo Marta lada chwila ponownie spotka kogoś, do kogo ona tym razem czuje słabość. Również od lat.

– Zdradzicie mi, co porabiacie w szpitalu, jeśli nie przyjechaliście do Emilki? – zapytała bezceremonialnie, ledwie zdążyli wejść do pokoju i obdarować dziewczynkę kupionymi w kiosku drobiazgami, które przywołały uśmiech na jej wymizerowanej buzi.

Marta spodziewała się ostrej wymiany zdań z Natanielem, postanowiła więc zaatakować pierwsza, ale... chłopak był zbyt zmęczony na słowne utarczki. Nie miał zamiaru czynić jej wyrzutów, że od razu nie powiadomiła go o chorobie dziecka. Doktor Hubert wskazał mu furtkę, którą mógł wyprowadzić Emilkę, zanim Marta pograży się zupełnie. Miłość do dziecka, które niedługo ich opuści, przysporzyłaby jej tylko niepotrzebny ból, a swoje w życiu Marta wycierpiała.

– Potrzebne nam było miejsce w tym szpitalu – odrzekł polubownym tonem.

Kobieta uniosła brwi w niemym zdumieniu.

– Dla Siergieja – dorzucił Mateusz.

Od razu zacisnęła usta w wyrazie niechęci.

– Znow wdał się w jakąś awanturę? – Było to raczej stwierdzenie niż pytanie.

– Można tak powiedzieć. – Mężczyzna aż się wstrząsnął, przypomniawszy sobie stan Sodarowa.

– Co tym razem? – Marta udawała obojętność, zadając pytania, a może

rzeczywiście Siergiej zdążył jej zobojeźnić? – Znów zarobił kulę? Czy oberwał nożem? Nie boi się już policji, że miejsce mu w szpitalu szykujecie?

Spojrzeni na siebie. Jeszcze wczoraj pomyśleliby o Sodarowie to samo. Wiadomość, że wraca do Sennej, podobnie by ich zirytowała, ale dziś... po tym, co zobaczyli w Lublinie... Niechęć ustąpiła miejsca głębokiemu współczuciu. A to, co wyznał im cichym, rwącym się głosem, zmieniło nienawiść, jaką jeszcze niedawno dla niego mieli, w ostrożny szacunek, jeśli nie wdzięczność. Nie zyskał od razu sympatii Nataniela, Mateusz też mu nie wybaczył, ale nie trzeba przecież od razu kogoś kochać, wystarczy dać jeszcze jedną szansę...

Nataniel pochylił się ku Marcie i przyciszonym głosem, żeby nie usłyszała jego słów Emilka, powiedział:

– Siergiej jest w ciężkim stanie. Torturowano go. Leży w Lublinie, ale chcemy sprowadzić go tutaj, gdzie będzie wśród... – „przyjaciół” byłoby za dużo powiedziane – ...swoich – dokończył.

Marta zbladła. Oczy jej zognomniały.

– Kto? Kto go...?!

Pokręcił głową. „Nie przy dziecku”.

– Pojadę do niego – zdecydowała nagle.

Nataniel chciał zapytać: „A Emilka?”, lecz przypomniał sobie słowa doktora. Nawet krótkotrwała rozłaka z dzieckiem była krokiem w dobrym kierunku, ale... czy ponowne pojawienie się Siergieja w życiu Marty, ранego Siergieja, którym znów będzie się czule opiekować, rzeczywiście było tym, czego Jarek Hubert oczekiwał?

„To nie twój problem” – odpowiedział stanowczo sam sobie. „Życie nie jest takie, jakie sobie wymarzymy, a świat to pole bitwy, a nie piknik. Pan doktor sugerował rozłakę Marty z Emilką? Proszę bardzo, jesteśmy do dyspozycji. Ja i Sodarow. Reszta należy do pana, doktorze Hubert”.

– Jedź – odparł na głos, ku konsternacji Mateusza, który spodziewając się nieco innej odpowiedzi, spojrzał na chłopaka wzrokiem zbitego psa. Nataniel powtórzył: – Miałem wracać do Lublina z Mateuszem, ale to dobry pomysł, byś pojechała zamiast mnie. Jesteś lekarzem. Będiesz wiedziała, czy Siergieja można stamtąd zabrać czy nie.

Marta pochyliła się ku dziewczynce, by pożegnać się z nią i obiecać, że niedługo wróci, zaś Nataniel wyszedł za Mateuszem na korytarz.

Starszy mężczyzna miał w oczach taki smutek i rezygnację, że chłopakowi ścisnęło się serce, jakby to jemu odbierano ostatnią nadzieję.

– Najpierw Siergiej, teraz to... – usłyszał.

Nataniel położył dłoń na ramieniu przyjaciela i uściśnił mocno, bo cóż więcej mógł zrobić? Mateusz zaś mówił dalej, ni to do niego, ni do siebie:

– Odbiorą mi ją obaj. Jeśli nie Sodarow, to ten przemądrzały doktorek. Widziałeś, jak sobie poczynał, jak rozstawiał nas po kątach? Już ma gotowy cały plan: ty tu, Marta tam, dla mnie w owym planie miejsca wcale nie ma. Pamiętasz, jak w Wigilię prosiłem cię, żebyś próbował zatrzymać Oliwię?

Nataniel przytaknął bez słowa.

– Roilem sobie, że z Oliwią zostanie Marta. I patrz, moje prośby zostały

wysłuchane, teraz Marta naprawdę ma dla kogo zostać w Sennej, tylko nadal nie będę to ja... – Głos mu się załamał, więc umilkł, by przed młodszym mężczyzną nie wyjść na kompletnego mazgaja. I nieudacznika.

– Nie wiem, co powiedzieć – odezwał się cicho Nataniel.

On też był sam. Znów sam, po krótkim... jakim tam krótkim, jednodniowego romansu nie można nazwać nawet „krótkim”, on się skończył, nim się zaczął! ...był sam po jednodniowej przygodzie z Oliwią. Tęsknił za nią w bezsenne, samotne noce, wspominał dotyk jej ust na skórze, rozkosz, którą mu dała, słowa szeptane w uniesieniu, i to, jak pięknie przeżywała ekstazę... Bolało. Bardzo bolało, że odeszła bez pożegnania. Jeszcze wczoraj zamykał ją w ramionach, nazajutrz obudził się, a te ramiona były puste.

Ale tak było lepiej. Nie zdążył pokochać jej jak Iwony. Ból był łatwiejszy do zniesienia. Jednak Mateusz... Mateusz musiał znosić powroty i odejścia Marty wciąż od nowa. I nigdy nie dostał od niej nawet namiastki miłości. Jego rozpacz i samotność były po stokroć trudniejsze do zniesienia, bo rana nie miała szans się zagoić.

Niech ten cholerny Siergiej czy, jeszcze lepiej, ten pieprzony doktor biorą sobie Martę Kraszewską raz na zawsze, byle nie przysparzać więcej cierpienia dobremu człowiekowi, jakim był Mateusz!

Marta, nieświadoma tych myśli i uczuć, jakie wzburzyła, wyszła z pokoju i rzuciła krótko:

– Możemy jechać.

Mateusz poszedł za nią niczym wierny pies.

Nataniel nie mógł na to patrzeć.

„Muszę coś wymyślić!” – Uderzył pięścią w pięść w bezsilnym gniewie. „Muszę poszukać dla Mateusza miłej kobiety, dobrej i prostej jak on sam!”

Ale takich kobiet nie kupowało się na bazarku w Piszku. Trzeba było je odnaleźć, te ciche, szare myszki, zapomniane przez męski świat, uganijający się za młodszymi i piękniejszymi. Odnaleźć, a potem zachęcić, by wyszły ze swoich skorup, ukryte tam od lat przed ludźmi, którzy ranią, dziećmi, co odchodzą bez pożegnania, niechcianymi wspomnieniami i pogrzebaną nadzieją na miłość. A nawet gdy się je odnajdzie i wywabi na światło dzienne, trzeba jeszcze cierpliwie i łagodnie je nakłonić, by zaufały. Ten jeden, ostatni raz.

## ROZDZIAŁ XV



Marta weszła do cichej, ciemnej sali, gdzie na szpitalnym łóżku spoczywał nieruchomy kształt. Mógł wydać się martwy, gdyby nie powolny oddech unoszący pierś. Nikłe światło nocnej lampki walczyło z mrokiem, litościwie ukrywając zmasakrowaną twarz mężczyzny.

Podeszła do łóżka, oglądając się na przyjaciela, który towarzyszył jej aż do drzwi, ale w tym momencie Mateusz posłał jej ostatnie spojrzenie i wyszedł. Została sama z tym, który parę miesięcy temu był całym jej życiem, wypełnił na parę mocniejszych uderzeń serca nieznośną pustkę, żeby chwilę później zostawić to życie w gruzach, a w miejsce pustki otchłań.

Nie zastanawiała się jeszcze, czy wybaczyć mu czy nie. Na razie chciała... po prostu ująć jego dłoń. Poczuć pod opuszkami palców ciepłą, żywą skórę mężczyzny, który potrafił zadać tyle samo rozkoszy co cierpienia.

Usiadła na krześle stojącym przy łóżku. Dotknęła dłoni pozbawionej dwóch palców. Było to muśnięcie leciutkie jak dotyk motyli skrzydeł, a jednak poczuł je, uniósł powiekę jedyne go oka i wyszeptał:

– Marta...

Była w tym jednym słowie cała miłość, jaką od zawsze darzył tę kobietę, żal, że ją skrzywdził, i prośba o przebaczenie.

– Jestem przy tobie – odrzekła, z trudem panując nad łzami. Mateusz nie przesadzał, opisując stan Siergieja. Jego rzeczywiście torturowano. – Chcę cię zabrać do domu.

Powieka zacisnęła się. Na słowo „dom” po zarośniętym policzku mężczyzny spłynęła łza. Otarła ją gestem tak serdecznym i czułym, że policzek znów powilgotniał.

Chciała zadać mu pytania, setki pytań: Gdzie się podziewał? Kto mu to zrobił? Czy ktoś go ściga? Muszą być ostrożni? Oglądać się przez ramię? Czy też jest już bezpieczny? Ale na pytania przyjdzie czas, chociaż Marta nie była pewna, czy doczeka się również odpowiedzi. Teraz najważniejsze było jedno: kiedy Siergieja będzie można stąd zabrać. Podświadomie czuła, że w lubelskim szpitalu jest on za blisko tych, którzy zadali mu to cierpienie, a dopóki nie poczuje się w pełni bezpieczny, dopóty nie dojdzie do siebie. Nie zacznie zdrowieć.

– Porozmawiam z lekarzami – odezwała się półgłosem, gotowa działać.

– Zostań – powieka uniosła się gwałtownie. W źrenicy, jedynej, którą posiadał,

błysnął strach. – Jeszcze nie odchodź, *liubimyja moja*.

Pochyliła się, dotknęła ustami jego dłoni. Przytuliła policzek do szorstkiej skóry i zamknęła oczy. Mogła zostać tutaj, z tym niegdyś dumnym i silnym mężczyzną, teraz złamanym cierpieniem, aż do świtu. Może światło dnia przyniesie pocieszenie. Może choć na parę chwil zmniejszy ból... Bo Marta wiedziała, że ten właściwy dopiero ich czeka. Już niedługo nadejdzie czas wyjaśnień i próśb. Czas wybaczenia albo rozstania. Przynosząc ze sobą łzy. Zawsze łzy...

– Możemy przewieźć go w każdej chwili – mówił kilka kwadransów później lekarz dyżurny. – Oczywiście karetką, pod kontrolą. Jest stabilny. Nie ma zagrożenia życia...

– Ale? – podchwyciła, gdy zawiesił głos.

– Służby się nim interesują – dokończył.

– Nasze czy... jakieś inne?

– Nasze, jak na razie. Może wywiezienie go stąd to niegłupi pomysł? – Lekarz pokiwał w zamyśleniu głową.

– Myślisz, że tamci go nie znajdą? Spod ziemi go wykopią, jeśli wyrwał się z ich parszywych łap! – prychnęła. – Wiadomo coś więcej? Gdzie był? Kto go tak potraktował? Zaprzeczył.

– Nasz Czerwony Krzyż dostał sygnał z Ukrainy, że mają ciężko rannego Polaka, naszego obywatela, do wywiezienia z obszaru wojny. PCK wysłał ludzi. Zgarnęli go z polowego szpitala, a wtedy był w znacznie gorszym stanie niż dziś. Dwa tygodnie spędził w bezpiecznej strefie, gdzie sporo się nad nim napracowali, zanim podjęli decyzję, że można przerzucić go tutaj, do nas. I jest, jak jest. Widziałaś, koleżanko. – Owszem. Widziała. – To twój znajomy? – W głosie lekarza zabrzmiała nieukrywana ciekawość. Rzadko gościł na oddziale kogoś „stamtąd”. Żołnierzy z polskiego kontyngentu, owszem, ale najemnika bez dokumentów? Po ciężkich torturach? Nigdy.

Marta wzruszyła wieloznacznie ramionami. Wołała nie przyznawać się do takich znajomości. Nie tak blisko ukraińskiej granicy, gdy mieszkała sama z dzieckiem w leśnej głuszy.

– Lepiej od takich przyjaciół trzymać się z daleka. – Doktor jakby przytakiwał jej myślom. – Wiesz, jak potrafią sobie poczynać nasi wschodni bracia. Przykład leży tam, w sali numer cztery.

– Jestem tylko lekarzem. Nie mieszam się do spraw naszych braci ani żadnych innych – ucięła, chociaż słowa lekarza zmroziły jej serce.

– To specjalnie nie przeszkodzi im zamieszać się w twoje sprawy... Decyzja należy do ciebie. Sodarow nie jest aresztowany i może wypisać się w każdej chwili na własne żądanie. Jeśli opłacisz transport, jest twój. – Puścił oczko, by zabrzmiało to jak żart, ale Marta zarumieniła się mimowolnie.

– To tylko znajomy.

– Jasne, jasne.

Przewiezienie Siergieja do szpitala w Olsztynie okazało się jednak nie takie proste, jak się doktorowi wydawało. Wróciwszy do sali numer cztery, Marta natknęła się na dwóch mężczyzn w mundurach. Zmierzyli ją ciężkim spojrzeniem. Ona postanowiła zaatakować pierwsza:

– Kim panowie są? Kto was tu wpuścił? To szpital!

– Chcieliśmy zamienić kilka słów z panem Sodarowem, zanim zniknie nam z radarów – odparł starszy z mężczyzn. Jego ton zabrzmiał nieco żartobliwie, ale tylko nieco.

– Powtarzam pytanie: kto was wpuścił do ciężko chorego pacjenta?

Mężczyzna podszedł bliżej i podetknął jej pod nos „blachę”. Porucznik Adrian Kotowski. Wydział do spraw... Nazwa jednostki, w której służył, nic Marcie nie mówiła, i tak zapewne miało być.

– Przed wstąpieniem na pogawędkę zaszliśmy do dyrektora szpitala i to on, we własnej osobie, wydał pozwolenie na rozmowę. Tylko rozmowę – odrzekł, a Marta dokończyła za niego w myślach: „Na razie”.

– Rozmawiajcie więc. – Skinęła dłonią. – Jako lekarz rodzinny pana Sodarowa siadę sobie w kątku i zajmę się lekturą. Nie będę przeszkadzać.

– Rozmowa będzie miała charakter poufny.

– Obowiązuje mnie tajemnica lekarska. A pacjent, jeśli będzie chciał, powtórzy mi wszystko słowo w słowo, bo jestem nie tylko jego lekarzem, ale i przyjacielem.

– Wie pani, że moglibyśmy go aresztować? – To już zabrzmiało groźnie.

– Na jakiej podstawie?

Zmilczał, patrząc na nią z góry.

– Na aresztowanie pacjenta w takim stanie nawet dyrektor szpitala nie wyda zgody. Choćby nie wiem jak z wami zaprzyjaźniony. – Nie dała się zastraszyć.

Młodszy podszedł do nich i zaczął polubownym tonem:

– Pani doktor, skąd założenie, że mamy złe zamiary? Pan Sodarow został przywieziony z terenów objętych działaniami wojennymi. Musimy wyjaśnić, w jaki sposób i w jakim celu się tam znalazł. Tylko tyle.

– Byłem obserwatorem – odezwał się nagle Siergiej.

Wszyscy troje zwrócili się w jego stronę.

– Nie brałem bezpośredniego udziału w walkach.

– Czy jest ktoś, kto poświadczy pana słowa? – Porucznik Kotowski stanął przy łóżku, patrząc beznamiętnie na zmasakrowaną twarz rannego, kompres, zakrywający pusty oczodół i okaleczoną prawą dłoń.

– Popytajcie w SWW\*. Ja nie podam żadnych nazwisk.

– Rozumie pan, że...

– Nie. Nie rozumiem. Tamci nie wyciągnęli ze mnie niczego i wam również nic nie powiem. Możecie mi wykluć drugie oko.

– My nie działamy w ten sposób! – zachnął się porucznik, ale Siergiej nie miał mu już nic do powiedzenia. Odwrócił lekko głowę, żeby intruz to zrozumiał.

– Cóż, dobre i to. – Mężczyzna skinął na swojego towarzysza i ruszył do drzwi. Zatrzymał się na chwilę przy Marcie. – Proszę wstrzymać się na dwa–trzy dni z przewożeniem pana Sodarowa do Olsztyna.

Marta w tym momencie uniosła brwi z niebotycznego zdumienia. Przecież nikt nie znał jej planów! On uśmiechnął się z lekkim politowaniem, po czym dodał:

– Jeśli słowa tego człowieka się potwierdzą, będzie wolny.

Zasalutował jej i wyszedł.

– W coś ty się wplątał, draniu – wyszeptała ze złością, siadając na krześle obok łóżka. – Po co ci to było? W wojnę się jeszcze nie bawiłeś, co?!

Nie odpowiedział, mając głowę zwróconą w stronę okna. Jej gniew opadł tak szybko, jak zapłonął. Czy wymówki miały sens? Teraz? Przywrócą Siergiejowi oko albo sprawną rękę? Będzie okaleczony do końca życia przez swoje durne nie wiadomo co.

– Chciałeś sobie udowodnić, że jesteś twardzielem? – Głos się jej załamał, gdy patrzyła na biały bandaż spowijający jego dłoń.

– Niczego nie chciałem udowadniać – odezwał się cicho. – Miała to być pokuta za to, co ci zrobiłem.

Oniemiała. I poczuła ten sam gniew co przed chwilą.

– Aha! Więc teraz to będzie moja wina?! To ja ci przypomnę, że gdybyś mnie nie zdradził, nie miałbyś za co pokutować! Tak *à propos*: zapytałeś mnie, czy życzę sobie takiego zadośćuczynienia?!

Powoli odwrócił twarz w jej stronę. Jego jedyne oko błysnęło w ciemności niczym u wilka.

– Daruj sobie, Marta. Po prostu wyjdź. Wracaj do Sennej. Zostaw mnie w spokoju.

Ona siedziała przez chwilę jak ogłuszona. Każda inna, po tym, co uczyniła dla tego mężczyzny i jak on ją za to potraktował, rzeczywiście wstałaby i wyszła, ale Marta nie była „każdą inną”. Ona wiedziała, co znaczy pewna sentencja: „Kto przestaje być przyjacielem, nigdy nim nie był”. Czy Siergiej sobie tego życzył czy nie, ona, Marta, będzie przy nim, dopóki sama nie uzna, że może odejść, bo jego „Zostaw mnie w spokoju” przyjaciół nie obowiązywało. Właśnie tak!

– Wrócisz do domu, Siergiej – odezwała się równie cicho co przed chwilą on. – I jeśli, będąc już bezpieczny na swoim ranczo, powtórzysz te słowa, więcej mnie nie zobaczysz. Może nie wyjadę na koniec świata, nie ruszę na wojnę jak ty, ale nie będę się już narzucać.

Wyciągnął do niej okaleczoną rękę.

– Przepraszam. Nie chciałem, by tak to zabrzmiało.

Ujęła jego dłoń, zamknęła w swoich.

– Raniliśmy się wiele razy. Może czas z tym skończyć? – W jej głosie brzmiał już tylko smutek. I zmęczenie. To był długi... bardzo długi dzień.

Miała nadzieję, że zaprzeczy, ale on odparł:

– Może... Ale nie tak. Nie jako wrogowie.

Przytaknęła bez słowa, walcząc ze łzami.

\* Służba Wywiadu Wojskowego.

## ROZDZIAŁ XVI



N

ataniel wstał z samego rana. Wyjrzał przez okno z nadzieją, że przywita go słońce, tak jak wczoraj, i z ulgą ujrzał jasny krąg przedzierający się dzielnie przez siwe chmury. Zapowiadali wiosenne burze, ale może dziś los uśmiechnie się do Mazur i podaruje im nieco słonecznego blasku.

Wyszedł przed dom, z rozkoszą wciągnął do płuc powietrze pachnące jak nigdzie indziej. Pąkami liści rwącymi się do życia. Wiosennym deszczem, drobnymi kroplami skapującym na żywną, świeżą ziemię. A już najbardziej obietnicą, tak właśnie: obietnicą nowego dnia, kiedy wszystko, co najlepsze, dopiero przed tobą.

Trusia zatańczyła u jego stóp, popiskując radośnie. Poglaskał pieska po łebku. Uśmiechnął się sam do siebie. Był szczęśliwy, tak po prostu. Nie oczekując niczego od życia, dziękował za to, co ma. Trochę absurdalne wydało mu się to uczucie właśnie dzisiaj, gdy Emilka była w szpitalu, Siergiej był w szpitalu i Marta z Mateuszem też na dobrą sprawę byli w szpitalu, ale... Nataniel wierzył, że wszystko będzie dobrze. Promień słońca padł na nagi tors młodego mężczyzny. Mięśnie zagrały pod skórą. Czuł się pełen życia i energii, gdy nie zważając na wiosenny chłód, chwycił w dłoń siekiere i rozłupywał pień brzozy na pół. Za chwilę rozpali w kominku. W domu od razu zrobi się ciepło i przytulnie.

Zje szybkie śniadanie, oporządzi zwierzęta, najpierw własne, potem Siergieja, następnie krótka wizyta z Trusią u weterynarza i koło południa będzie w szpitalu, przy Emilce. Może dziś ją wypiszą? I dziewczynka wróci z nim do domu?

Przed południem, wróciwszy z rancza, wziął Trusią na ręce i mimo iż piesek popiskiwał błagalnie, szóstym zmysłem czując, co go czeka, zamknął biedaczkę do transportera i wstawił na tylne siedzenie terenówki.

– Nie bój się, mała – rzucił przez ramię do pieska, który kilka dni temu zaczął pokasływać. – Jeszcze tylko jeden zastrzyk i koniec. Możemy uznać cię za wyleczoną.

Drogi do lecznicy były dwie: jedna na skrót, przez las, a potem szosą asfaltową, druga dłuższa, za to bardzo malownicza – okalająca jezioro – i tę Nataniel wybrał, jeszcze za mało mając wiosny i słońca.

Jezioro lśniło błękitem i srebrem, łąki i polany zieleniły się nieśmiało, chłopak



jechał wolno, rozkoszując się wiosennym, pogodnym dniem.

Podjazd przy lecznicy świecił pustkami. Nie tylko dlatego, że pora była wczesna, po prostu miejscowi rzadko chodzili ze swoimi zwierzakami do lekarza. Wydawać stówę na zastrzyki, bo pies zachorował?! Wolne żarty. Psów jest ci na wsi dostatek. Nie ten, to będzie inny, którego miastowi do lasu podrzucają na zatracenie. Co innego krowa czy prosiak – o te się dbało, bo przynosiły zysk. Pies był jedynie darmozjadem, niczym więcej...

Nataniel zaparkował, wydobył pieska z transportera, wziął na ręce i wszedł do ciemnego, chłodnego korytarzyka. Drzwi prowadzące do gabinetu były otwarte, zapukał więc we framugę, a słysząc: „Proszę! Zapraszam!”, wszedł do środka, głaszcząc drugą ręką drżącą na całym ciele psinę.

O dziwo, przy szafce z lekami stała, ustawiając buteleczki sobie tylko znanym systemem, dwudziestoparoletnia rudowłosa i szarooka dziewczyna, którą Nataniel widział tu po raz pierwszy.

– Dzień dobry – odezwał się, nieco zmieszany, bo dziewcząt w gabinecie weterynarza się nie spodziewał. – Przyszliśmy na zastrzyk.

Nieznajoma, odziana w zielony lekarski fartuch, odstawiła buteleczkę z lekiem i uśmiechając się do Nataniela, czy raczej Trusi, szeroko, wskazała dłonią stół. Biedna psina na ten widok zaczęła trząść się jeszcze bardziej.

– Doktora Rumskiego nie ma? – zapytał.

– Jestem jego zmienniczką, właśnie kończę studia. Zofia Micińska.

Wyciągnęła do Nataniela rękę, a gdy podał swoją, przedstawiając się, odpowiedziała mocnym uściskiem. Spodobało mu się to. Lubił, gdy dziewczyna podawała zdecydowaną dłoń, a nie coś miękkiego i nijakiego jak żelowa wkładka do butów.

– Dyplomu jeszcze nie mam, chociaż praktykę jak najbardziej. Jeśli chce pan jednak poczekać na wujka, powinien wrócić za pół godziny.

Nataniel spojrzał na Trusią. Czekać pół godziny z tym kłębkim strachu?

– Zastrzyki umie pani robić? – musiał się upewnić.

Zaśmiała się.

– Jak najbardziej. Ćwiczyłam na sobie.

Zdecydowany wyjść stąd jak najszybciej – ze względu na Trusią, rzecz jasna, bo rozmowa z fajną, uroczą dziewczyną wcale mu nie przeszkadzała – postawił pieska na stoliku, a ona, ta Zosia Micińska znaczy się, od razu podeszła do pieska, objęła go serdecznie i głaszcząc po łebku, zaczęła uspokajająco przemawiać. Trusia nadstawiła uszka.

– Kto jej to zrobił? – zapytała półgłosem dziewczyna, wskazując puste oczodoły pieska.

– Byli właściciele – mruknął. – Oślepiłi i zostawili w lesie. Przybłąkała się do mnie i oto jest. Radzi sobie bez oczu całkiem nieźle – dodał.

Pokręciła głową bez uśmiechu, zbadła sunię uważnie, cały czas przemawiając do niej cicho i łagodnie, po czym podeszła do biurka, sprawdziła w komputerze, co ma podać, i raz-dwa-trzy było po zastrzyku. Trusia, wygłaskana przez młodą lekarzkę

i uszczęśliwiona, nawet nie zauważyła szybkiego ukłucia.

– Jest pani czarodziejką – odezwał się Nataniel pełen podziwu.

Obserwował dziewczynę przez cały ten czas. Nie należała do piękności, miała zbyt ostre rysy, nieco nieregularne do tego. Oczy, aż za duże jak na drobną, szczupłą twarz, skryła za grubymi szklami okularów. Nos usiany piegami i ogniste włosy związane w koński ogon – oto cała doktor Zosia. Ale... miała w sobie coś tak kojącego, taki spokój i serdeczność, że Nataniel – porównując tę dziewczynę z równie rudowłosą i wielkooką Oliwią – dał duży plus Zosi Micińskiej.

– Proszę mówić mi po imieniu. – Uniosła nań spojrzenie i znów się uśmiechnęła. Ładny miała uśmiech. Ciepły. Bez krzty fałszu.

– Tylko jeżeli ty będziesz mówiła po imieniu mnie.

– Nie ma sprawy. Zajrzałam do naszej kartoteki, zastrzyki dzisiaj się kończą, ale za dwa tygodnie wypadałoby zaszczerpić Trusię przeciwko wściekliwości.

– Wiem, pamiętam. Mam to zapisane w kalendarzu.

– Naprawdę? – zdziwiła się.

Należał do nielicznych, którym nie trzeba było przypominać o szczepieniu psa. Lekarze weterynarii uwielbiali takich pacjentów. Nie dlatego, że przynosili dochód, lecz dlatego, że dbali o zwierzęta nie tylko gospodarskie, ale i domowe.

– Na długo zostaniesz w okolicy? – Sam siebie zdumiał tym pytaniem. Co go niby obchodzi, czy pani doktor zostanie tu czy nie? A jednak...

– Mam do zaliczenia jeszcze trzy końcowe egzaminy, ale te parę razy do Warszawy dojadę. Od środy mieszkam na stałe z mamą.

– Jesteśmy więc sąsiadami – stwierdził, czując zadowolenie, które wcale mu się nie podobało. „Chyba nie zaczniesz podrywać tej dziewczyny? Mało ci tęsknoty za Oliwią?” – sarknął na siebie w duchu.

– Mieszkasz w chacie po drugiej stronie jeziora? Niedaleko rancza Sodarowa?

– Znasz go? – Na dźwięk tego nazwiska od razu się nastroszył. Pamięć brutalnie podsunęła mu wspomnienie Siergieja i Iwony. Na pomoście, którego już nie ma...

– Przed studiami pracowałam u niego. Przy koniach. Domyślasz się, że uwielbiam konie, jak chyba każdy weterynarz. Fajny człowiek. Ratuje zwierzęta z transportów śmierci. Za to naprawdę go lubię.

W jej głosie nie było nic więcej oprócz życzliwości, gdy mówiła o Siergieju. Jeśli Nataniel doszukiwał się resztek uczuć, cienia romansu, musiał się rozczarować. Pozytywnie rzecz jasna.

– Nie widziałam go szmat czasu – dorzuciła, cały czas głaszcząc Trusię, która ułożyła się wygodnie na stole i podstawiła łepkę pod dobrą, czułą dłoń lekarki. – Nadal prowadzi tę stadninę?

– Ja się teraz zajmuję jego końmi – odparł. – Jeśli chcesz, możesz wpaść. Nie potrzebuję pomocy przy codziennych obowiązkach, ale moglibyśmy pojechać w teren.

– Super! Tego mi właśnie w Sennej brakowało! Miłego towarzystwa do długich włóczęg! Kiedy tylko znajdziesz czas, a ja nie będę miała dyżuru w lecznicy, ślij esemesa. Proszę, oto numer mojej komórki. – Podała mu prostą białą wizytówkę z imieniem, nazwiskiem, adresem, telefonem i wizerunkiem zabawnego corgi. Przyjął ją

z uśmiechem.

– Mój telefon...

– Mam w kartotece.

– Będę dzwonił. Uporam się tylko z pilnymi obowiązkami i będę dzwonił – zapewnił, czując, że bardzo pragnie towarzystwa tej dziewczyny w samotnych dotychczas wędrówkach. – Jeśli nie przydarzy się to w najbliższym tygodniu, nie myśl, że zapomniałem, dobrze? Pewnie o tym nie wiesz, ale opiekuję się córeczką znajomej. Jest nieco absorbująca, jak to pięciolatka, ale na co dzień mieszka z Martą Kraszewską... – Urwał nagle. „Po co jej to mówisz, na miłość boską?! Tej dziewczyny nie interesuje twoje życie rodzinne! Ogarnij się, człowieku, i zamilcz!” – zbeształ się w duchu.

– Wiem wszystko. – Uśmiechnęła się. – Marek Sidło nie omieszkał streścić mi wydarzeń ostatnich miesięcy, gdy tylko natknęłam się na niego przy spożycym. Z godzinę mi nawijał o tobie, twojej dziewczynie, doktor Kraszewskiej i jej córce.

– Ja już nie mam dziewczyny. Rozstaliśmy się – sprostował, rumieniąc się mimowolnie.

– O tym też wspomniał. Szczerze cię nie cierpi, ale podziwia, a zyskać podziw w oczach sołtysiaka to naprawdę coś. Prędzej zasłużyłbyś na łaskawość rekina niż Sidły. – Ze śmiechem, jak kumpel kumpla, poklepała Nataniela po ramieniu. – To co? Jesteśmy umówieni na randkę w siodle?

– Jesteśmy.

Uregulował należność, wziął Trusię na ręce i już miał wychodzić, gdy odwrócił się, żeby po raz ostatni, ostatni na dziś, spojrzeć na miłą twarz tej dziewczyny.

– Dziękuję, Zosiu – rzekł z głębi serca, nie bardzo wiedząc, za co jest jej wdzięczny. Czy za propozycję wspólnych włóczęg czy za... normalność, z jaką się z nią rozmawiało. Miła odmiana po obłędzie, który go dopadł wraz z Iwoną, i krótkim szaleństwem z Oliwią, które pozostawiło pustkę w sercu.

– Pamiętaj o szczepieniu! – zawołała, gdy wsiadał z pieskiem do samochodu.

– Nie zapomnę. Ale prędzej, mam nadzieję, spotkamy się w stajni Sodarowa.

I tu się mylił.

Bo plany planami, a los i tak robi, co chce.

Było dobrze po południu, gdy wrócił do domu. Ostatnim punktem dnia była wizyta w szpitalu, u Emilci, która nie mogła już pewnie doczekać się wujka Nataniela, „samotna i opustoszała”. Jeszcze musiał dokończyć rąbanie drew na dziś, bo zbierało się na wiosenną burzę. Ściągnął koszulę, czując na nagiej skórze przyjemny chłód, uniósł siekiere i jednym ciosem rozłupał polano.

W momencie, gdy kładł je na stos i sięgał po następne, Trusia, leżąca dotąd grzecznie obok, uniosła się na sztywnych łapkach i warknęła ostrzegawczo. Nataniel wyprostował się, osłonił oczy od słońca, a potem odłożył powoli siekiere.

Drogą od strony lasu nadchodziła Oliwia. Śliczna, wiosenno-płomienna Oliwia. Widząc chłopaka, przyspieszyła kroku, a potem ruszyła biegiem. Ze śmiechem wpadła mu w ramiona, on obrócił ją dokoła, uradowany tak samo jak dziewczyna. Nagrodziła go za tę radość długim, namiętym pocałunkiem. Przez parę uderzeń serca nie mógł się od niej oderwać, całując jej wargi tak samo zachłannie. Wbiła paznokcie w sprężystą skórę

na jego plecach, a on jęknął z nagłego pożądania. Wsunął dłoń między jej uda. Przytrzymała ją, ocierając się o jego palce. Doktor Zosia, o której przed chwilą jeszcze myślał, teraz zniknęła z jego życia, jakby nigdy w nim nie zaistniała. Była tylko Oliwia. Obłądnie pociągająca, pełna ognia Oliwia.

– Dokończymy w domu? – zaszeptał.

Błysk w jej złotych źrenicach wystarczył za odpowiedź.

Oczy wypełnione nienawiścią śledziły każdy ich ruch. Nie umknęło uwagi tej, która – mając obsesję na punkcie młodego mężczyzny – zakradała się pod jego dom, czatowała przy drodze, żeby wiedzieć, kto do niego przyjeżdża, a teraz patrzyła, zaciskając uda z całych sił, owładnięta wściekłym pożądaniem i takąż nienawiścią, jak tych dwoje dopada siebie, całuje, dotyka tam, gdzie ona chciała być dotykana. Jęknęła cicho z frustracji i przestraszyła się, że oni usłyszą, ale byli zbyt zajęci sobą. Ten, którego kochała chorą, obłądną miłością, wziął rudą dziwkę na ręce i niósł w stronę domu.

Wycofała się cicho. Nie była w stanie znów patrzeć, jak będą się gzić...

Natanielowi, niosącemu Oliwię na rękach do domu, coś tam błysnęło w pamięci o zwierzętach, o dziecku, które na niego czekało. Lecz to, czego pragnął właśnie teraz, było pilniejsze, znacznie pilniejsze. Nie mógł się doczekać, aż złoży swój cudny ciężar na łóżku, a potem... Ręce same rwały się do dziewczyny, czuł niemal fizyczny głód jej ciała. Przywarł do niej, gdy tylko zrzuciła botki i kurtkę. Uniósł jej ramiona nad głowę, jedną dłonią skrępował nadgarstki, drugą wsunął we włosy i całował dotąd, aż zaczęła osuwać się po ścianie, półprzytomna z rozkoszy.

Cisnął ją na łóżko. Usiadł na niej okrakiem. Niecierpliwie zawalczył z jej dzinsami, zsunął swoje i wreszcie mógł zrobić to, o czym marzył w bezsenne, samotne noce. Jego męskość odnalazła drogę do jej cieplej, śliskiej od soków intymności. Jęknął przeciągle, zagłębiając się aż po dno. Oplotła jego biodra udami, wbiła paznokcie w pośladki, ponagłując go do szybszych, głębszych ruchów. Nie musiała prosić o więcej, chciał jej to dać i chciał brać. Czerpać aż do utraty tchu ze szczodrego źródła rozkoszy.

– Powiedz to – wydyszała. – Powiedz, że mnie kochasz.

Nie słyszał, albo nie chciał słyszeć, uderzając w jej pleć raz po raz, coraz szybciej i głębiej.

Cofnęła gwałtownie biodra i spojrzała nań wyczekująco.

To jakaś nowa gra? Chwycił ją za kolana, rozwarł siłą uda.

– Kocham cię, ty mała wiedzmo – wydusił, wdzierając się w nią ponownie. Wysunął się i wdarł jeszcze raz. I jeszcze.

– Teraaaaz – jęknęła i wgryzła się w jego ramię.

Krzyknął z niespodziewanego bólu i eksplodował.

Opadł na nią, łapiąc oddech jak po szaleńczym biegu, i chwilę tak leżał, czując pod dłońmi bicie jej serca. Wreszcie zsunął się z niej, wsparł się na łokciu i podziwiał piękne, nagie ciało dziewczyny, zroszone kropelkami potu.

– Co ty ze mną wyprawiasz – wyszeptał, wodząc opuszką palca dookoła jej ust. – Nie myślałem, że potrafię wypowiedzieć to słowo. Ale... tak. Kocham się z tobą kochać.

Uśmiechnęła się leniwie. Scałował ten uśmiech z jej ust.

– Jestem gotów na powtórkę – wyszeptał, patrząc w złociste oczy dziewczyny.

Te zwęziły się niepokojąco.

– Zakładamy się, że nie minie pięć minut, a będziesz miał mnie dość?

Zaśmiał się gardłowo.

– Nigdy nie będę miał cię dość.

Ona uniosła się na łokciu, przyglądała się chłopakowi przez chwilę, po czym wypaliła:

– Jestem w ciąży.

Zadławił się śmiechem. Oczy mu zokrąglały.

– Żartujesz...

Pokręciła głową, nie spuszczać z niego badawczego spojrzenia.

Usiadł, poblądły z szoku i niedowierzania.

– J-jak... z kim...?

– Z tobą.

Milczał, patrząc na nią, jakby przed chwilą spadła z księżycy.

– Seks bez zabezpieczenia czasem kończy się wpadką – wyjaśniła uprzejmie.

Jej beznamiętny ton, jakby oznajmiała, że zanoszą się na deszcz, mroził bardziej niż słowa.

– Wiem, czym kończy się bezmyślność – wycedził. – I poniosę jej konsekwencje.

Rozumiem, że to trzeci miesiąc? – Przytaknęła. – Od kiedy wiesz?

– Od początku.

– I czekałaś niemal trzy miesiące, żeby podzielić się ze mną tą nowiną?!

Wzruszyła ramionami.

– Tak wyszło. Na skrobankę za późno.

– Nawet o tym nie pomyślałem! – krzyknął, blednąc tym razem z gniewu. –

Wypadało jednak przyjść z tym do mnie wcześniej!

– Po co? Coś by to zmieniło? Pokochałbyś to małe bardziej?

Zacisnął szczęki, odwrócił głowę do okna i policzył do dziesięciu. Dawno nie czuł takiej furii. Ledwo zapanował nad odruchem, by chwycić dziewczynę za ramiona i potrząsnąć. Gdzie tam potrząsnąć, chciał jej wpięprzyć! Tak po prostu!

Sięgnął po spodnie, naciągnął i dopiął suwak. Cały się trząsł z wściekłości i odrazy. Gdyby Oliwia powiedziała mu o tym w inny sposób... w każdej innej chwili... przed tym, jak ją wziął, szepcząc słowa pełne miłości... Byłoby to łatwiejsze do przyjęcia. Pragnął mieć dzieci, rodzinę, dobrą, kochającą żonę. Naprawdę nie miał nic przeciwko małżeństwu. Ale to, jak Oliwia go potraktowała...

– Uznam to dziecko i będę na niełożył – powiedział, gdy był już w stanie wydobyć głos.

– Nie miałam co do tego wątpliwości – odparła słodko, a on spojrzał na nią z taką pogardą, na jaką nawet Iwona nie zasługiwała. – Rozumiem, że o rękę mnie nie poprosisz? Dziecko będzie bękartem?

– Jeżeli będzie trzeba, ożenię się z tobą – uciął, nie patrząc na nią.

Po prostu nie mógł znieść widoku tej cynicznej, podłej dziwki. Tak właśnie: dziwki. Inaczej nie mógł w tym momencie o Oliwii myśleć. Boże mój... mogła powiedzieć mu przy kolacji, przy świecach... Uczynić z tego wyznania małe święto... Mogli razem

cieszyć się tym szczęściem, bo dziecko dla Nataniela, jego własne maleńkie dziecko, byłoby przecież cudem. Już nigdy, nigdy nie byłby sam. Miałby córeczkę albo synka... I może jeszcze kochającą żonę, bo kwadrans wcześniej chciał Oliwię pokochać.

Pokochać? Tę wyprutą z uczuć, wyrachowaną, zupełnie mu w tej chwili obcą kreaturę?! Spojrzał na nią wreszcie i rzekł, z trudem panując nad łzami rozczarowania i żalu:

– To dziecko jest chyba jedynym w całym twoim życiu, co stworzysz, bo ty potrafisz tylko niszczyć. Wszystko i wszystkich. Jesteś podłym człowiekiem. Żałuję, że uratowałem ci wtedy życie. Gdybyś szeszła, oszczędziłabyś bólu swojej matce, mnie i temu dziecku. Żałuję nie tego, że je począłem, ale że zrobiłem to z tobą. – Narzucił na ramiona koszulę i wyszedł.

Siedziała bez ruchu z półśmieszkiem zamartwionym na twarzy, słuchając, jak Nataniel z pasją rąbie drewno, wreszcie wzruszyła ramionami i zaczęła się ubierać.

Uśmiech powoli spęłzył z jej twarzy. Prawdę mówiąc, nie miała pojęcia, dlaczego w taki właśnie sposób przekazała chłopakowi tę arcyradosną wiadomość.

„Arcyradosna, dobre sobie” – zaśmiała się w duchu. „Ani mnie nie uradowała, ani jego”.

Gdy ponad dwa miesiące wcześniej zrobiła test, który potwierdził jej podejrzenia, i w małym okienku ukazały się nieszczęsne dwie kreski, zapadła na jakiś czas w stupor. Godzinę? Dwie? Pół dnia? Ile czasu siedziała, gapiąc się bezmyślnie na rezultat paru upojnych chwil z przystojnym Natanielem Domoradzkim? Tego jej umysł nie zarejestrował. Był zupełnie pusty, tak jak puste było serce dziewczyny.

Jeszcze tydzień przed tym wybierała się do Sennej, żeby przeprosić Nataniela za odejście bez słowa pożegnania, naprawdę miała nadzieję, że będą parą... Ona wymyśli sposób na życie w tej zapadłej dziurze, nauczy się nawet doić krowy, jeśli będzie trzeba, otworzy pensjonat czy hodowlę czegośkolwiek. Albo zasieje lawendę! O właśnie! Całe pole, ciągnące się po horyzont, lawendowych kwiatów... Jakimś sposobem odnajdzie się u boku Nataniela. I pogodzi się z matką. Tak. Na tym również Oliwii zależało.

Ale w tę czarną godzinę, gdy wpatrywała się w dwie kreski, jakby spisano nimi wyrok dożywocia, znów zaczęła nienawidzić. I siebie, i jego, i matki również. Bo przecież gdyby nie ona, nigdy by się na tego chłopaka nie natknęła. A nawet jeśli, to nie odbiłoby jej aż tak, żeby puścić się z nim bez zabezpieczenia! Zawsze nosiła przy sobie prezerwatywy, gdy ruszała na polowanie, zawsze! Ale wtedy przyjechała do matki... Nie przypuszczała, że skończy w łóżku z facetem, a już do głowy jej nie przyszło, że jest płodna jak króliczka i zaskoczy od razu!

Ziarno nienawiści ponownie wypuściło trujące pędy. Odrobinę nadziei, jaka jeszcze przed chwilą wypełniała serce dziewczyny, zamieniło w rozgoryczenie i złość. Pragnienie miłości w zimną chęć niszczenia.

Nie dała szans ani chłopakowi, który równie dobrze mógł się ucieszyć z tej niespodzianki – Oliwia już nigdy się nie dowie, co by było gdyby – ani sobie, ani nawet Bogu ducha winnej Marcie, bo ona też mogłaby być szczęśliwa na wieść, że niedługo przyjdzie na świat maleńka istotka... Nie. Zaślepiona nienawiścią, przez dwa miesiące układała w myślach scenariusz, jak powiedzieć o wpadce Natanielowi, żeby zranić go

najboleśniej, i wymyśliła plan genialny: pojedzie do niego, zaciągnie do łóżka, rozpali do obłędu, a gdy chłopak zacznie bredzić o miłości, poczęstuje go niespodzianką. Tak, że słowo „kocham” utknie mu w gardle. Zadławi się nim.

Poszło jak z płatka. Natanielowi do głowy nie przyszło się wzbraniać przed seksem z wytęsknioną dziewczyną. Cios zadała mu między nogi. Dosłownie.

„I co? Jak się z tym czujesz, Oliwio Kraszewska? *He made your day*, czyż nie?” – zapytała siebie z goryczą. Bo zamiast satysfakcji to właśnie czuła: pogardę, jaką miał dla niej od dziś ten chłopak. Gorzką pogardę.

Ubrała się powoli. Wyszła przed dom. Patrzyła chwilę, jak Nataniel z pasją rąbie siekierą oporny pień.

A mogło być tak pięknie...

Poderwał głowę. Wbił spojrzenie w twarz dziewczyny. Twarz znów doskonale obojętną, jak wyciosaną z kamienia, nie żywej tkanki.

– Twojej matki nie ma, jeśli teraz ją zamierzasz uszczęśliwić tą nowiną – rzucił.

– Nic jej do tego.

Powoli odłożył siekierę. Wyprostował się.

– Może chociaż jej daj szansę? – W głosie młodego mężczyzny zabrzmiało błaganie, za które sam siebie nienawidził.

Wzruszyła ramionami, a on naprawdę musiał się hamować, by nie dopaść jej i nie sprać za tę wżgardę dla ich uczuć.

– Powiedziałam: to moja i tylko moja sprawa. Nikt się nie będzie wpieprzał w...

– Utrzymuje cię – wpadł jej w słowo. – Wysyła pieniądze na twoje potrzeby. Ty nie pracujesz, nie uczysz się, nie robisz nic. Kompletnie nic. Marta miesiąc w miesiąc wysyła ci wszystko, co zarobi. Teraz będzie harowała również na twoje dziecko, a ty mówisz, że nic jej do tego?!

– Na moje dziecko ty będziesz harował, jeśli już. – Uśmiechnęła się złośliwie. – Wiedziałam, przed kim nogi rozłożyć. Nie bój nic. Drugiego tak naiwnego ze świecą szukać. A o moją matkę tak się martwisz, jakbyś to jej machnął bękartą, a nie mi...

Przypadł do niej i strzelił ją w twarz. Poleciała w tył, wpadła na ścianę, złapała się za policzek. On pobladł tak jak wtedy, gdy rzuciła mu w twarz podłe słowa.

– Prze-przepraszam – wyjąkał.

Uniósł dłoń, chcąc z pękniętych ust dziewczyny zetrzeć kroplę krwi, zszokowany tym, co zrobił, ale cofnęła głowę.

– Jesteśmy kwita – wycodziła, minęła go i odeszła, nie oglądając się za siebie.

Nataniel usiadł ciężko tam, gdzie stał. Oparł się plecami o framugę drzwi i oddychał głęboko, nadal wstrząśnięty. Nigdy w życiu nie podniósł ręki na kobietę. Nigdy! I był pewien, że nigdy tego nie zrobi.

– Jesteś skończonym gnojem, Domoradzki – wyszeptał. – Biegnij za nią i błagaj, by ci wybaczyła, albo stracisz nie tylko matkę swojego dziecka, ale i przyjaciółkę, bo Marta nie daruje ci tego na pewno.

Rzucił się biegiem za Oliwią. Zatrzymał ją, szarpnięciem za ramię odwrócił do siebie, zamknął w ramionach.

– Wybacz mi, proszę. Nie wiem... nie potrafię tego wyjaśnić. Po prostu wybacz,

a przyrzekam, że... nigdy się to nie powtórzy. Nigdy – mówił szybko i bezładnie, nie pozwalając jej dojść do słowa.

Ona tkwiła bez ruchu, sztywna jak lalka.

– Miałaś rację, że tak mnie potraktowałaś. Byłem dumny, nieodpowiedzialny. Powiniennem zdawać sobie sprawę z konsekwencji i... przyjąć twoją wiadomość... bez gniewu. Wybacz. To dla ciebie musiało być trudne, tak długo bić się z myślami, co zrobię, co powiem, a ja... jak zwykły cham... Proszę, Oliwio, daj mi szansę. Daj szansę nam trojgu. – Zsunął dłoń z jej ramienia i dotknął lekko już zaokrąglonego brzucha.

Nie zareagowała ani gestem, ani słowem. Czekwała na to, po co tu przyszła. I doczekała się...

– Jeśli chcesz... jeśli się zgodzisz... wyjdź za mnie. – On przerwał na chwilę, bo aż słabo mu się zrobiło, gdy wyrzekł te słowa.

Chryste, nie był gotów na miłość, na ślub, na małżeństwo!

Zdusił jednak panikę, uniósł bezwładną dłoń dziewczyny do ust, ucałował, a potem przyklęknął i powtórzył już spokojnie, jak mężczyzna odpowiedzialny za swe słowa i czyny:

– Zostaniesz moją żoną, Oliwio?

Patrzyła nań z góry. Mierzyła go wzrokiem centymetr po centymetrze, napawając się chwilą swojego triumfu i jego poniżenia. Zasłużył na wszystko, co najgorsze, za to, co powiedział, za to, jak ją nazwał, a już najbardziej za uderzenie, które paliło w policzek.

Złociste oczy, w których tańczyły słoneczne płomyki, były mimo to zimne, gdy odpowiadała:

– Zastanowię się.

Ale w duchu czuła wściekłą radość. Nawet nie marzyła, że ten słodki, milusi Nataniel, pieczuszek mamuni, potrafi się tak zapomnieć. Jechała tu z duszą na ramieniu, bo faceci różnie reagują na podobne wiadomości. Miała nadzieję, a nawet pewność, że ten nie wyrzuci jej na zbity pysk, wcisnąwszy uprzednio dwa tysiąki na skrobankę, to do Nataniela nie było podobne. Była niemal pewna, że nie zostawi jej samej z tym problemem, bądź co bądź to było jego dziecko i powinien na nie łożyć. Ale że poprosi ją o rękę? Będzie błagał, by została jego żoną?! Nieee, tego w scenariuszu nie było.

Uśmiechnęła się z satysfakcją, chociaż policzek piekł niemiłosiernie.

– Nie mogłeś zacząć tak od razu? – rzuciła na tyle lekko, na ile pozwoliła pęknięta warga. – Musiałeś brać się do bicia?

– Przepraszam – wymamrotał.

– Zaczynasz jak moja matka. Ona też potrafi tylko przepraszać.

– Co więcej mogę zrobić? – Podniósł się z kolan, ale nie wypuścił jej dłoni z rąk. Uznał, że zasługuje na każde słowo potępienia, jakie Oliwia dla niego ma. Ona wzruszyła po swojemu ramionami.

– Nie wiem, czy chcę się z tobą hajtać. Już wystarczy, że mam to na głowie. – Spojrzała wymownie na swój brzuch, a Nataniela ścisnęło w gardle.

„Biedne małe... niechciane i niekochane od pierwszych chwil...” – pomyślał. „Gdyby chociaż mnie mogło mieć...” Ale to zależało od widzimisię tej dziewczyny. Nataniel miał tu niewiele do powiedzenia. Gdy ona będzie miała taki kaprys i będzie



chciała go ukarać jeszcze bardziej – za co, na Boga jedyne?! – nawet nie wpisze go jako ojca do aktu urodzenia. O ile w ogóle on jest ojcem tego dziecka...

Szóstym zmysłem musiała odczytać tę myśl, bo odezwała się nagle:

– Ani przez chwilę nie wątpię, że to twoje?

– Gdybym nawet zwątpił, powiedziałabyś prawdę? – odpowiedział pytaniem.

Uśmiechnęła się ponownie tym swoim zjadliwym uśmiechem, a on po raz nie wiadomo który zdumiał się, ile zła kryje się w córce kogoś tak dobrego jak Marta Kraszewska. Widać kogoś takiego wyznaczył Natanielowi los na nauczyciela pokory...

– Twoja mama wróci za dwa, najpóźniej trzy dni. Może zostaniesz? Poczekamy na nią razem? Spróbujemy trochę się dotrzeć?

– Tobie jeszcze mało? – prychnęła.

On poczerwieniał.

– Nie miałem na myśli seksu – odwarknął.

Prawdę mówiąc, ostatnim, o czym by w tej chwili marzył, był seks z Oliwią. Ledwo mógł na nią patrzeć.

– Matce powiem kiedy indziej – odparła. – Podwieź mnie do autobusu. Aha, przydałby mi się samochód. I nie mówię od razu o jaguarze, ale jeśli mamy stworzyć namiastkę rodziny, muszę czymś tu dojeżdżać. Czymś bezpiecznym dla dziecka.

– Tak. Masz rację. Pomyślę... wezmę więcej zleceń... Na razie możesz wziąć mój.

– Tego starego rżęcha? Żeby zabiła się po drodze? Litości! – przewróciła oczami, a Natanielowi przemknęło przez myśl, że los naprawdę nieźle go doświadcza... Jak nie Iwoną, to Oliwią. Zaraz padnie pewnie imię „Emilka”...

Nie mylił się.

– Nie wiem, jak wyobrażasz sobie naszą rodzinę z Emilką na karku...

– Nad tym też się zastanowię – odparł pokornie, otwierając przed nią drzwi od strony pasażera.

Wsiadła do samochodu, zapięła pasy. Droga do przystanku minęła w milczeniu.

Gdy na horyzoncie zamajaczył pekaes, Oliwia cmoknęła Nataniela w policzek, jakby byli li tylko znajomymi, i odwróciła się w stronę autobusu.

Chłopakowi nie pozostało nic więcej, jak wracać do domu. Już miał odjeżdżać, gdy zapukała w szybkę. Opuścił okno, mając nadzieję, że... ma dla niego na do widzenia choć jedno ciepłe słowo.

– Nie martw się! – zawołała wesoło. – Może jeszcze poronię!

I pobiegła do autobusu.

W tym momencie zrozumiał, że nigdy nie pokocha tej dziewczyny, choćby nie wiem jak próbował. Może się jedynie starać, by zdusić w sobie nienawiść, lecz nie pokocha nigdy. Pojął też, że jeśli się z nią ożeni, tak jak przyrzekł, zniszczy życie sobie, jej i temu nieszczęsnemu dzieciakowi, którego spłodził.

Jak to możliwe, że w ciągu zaledwie roku omotały go, by zranić najokrutniej, jak to możliwe, dwie kobiety? Czy to on jest tak naiwny czy akurat na niego uwziął się los? Była jeszcze trzecia możliwość, ale tej zdruzgotany Nataniel w ogóle nie wziął pod uwagę...

## ROZDZIAŁ XVII



iepie łąpki na szyi, mokry całus na policzku i pełne radości słowa: „Wujku, nareszcie jesteś! Bałam się, że nie wrócisz!”, były dla Nataniela jak kompres na żywą ranę. Objął dziecko, wtulił twarz we włoski małej i czując piekące łzy pod powiekami, powiedział:

– Jak mógłbym do ciebie nie wrócić, skarbeńku? Do mojej ślicznej małej syrenki?

– Jestem twoja mała syrenka? – musiała się upewnić, a on pomyślał, że chociaż to dziecko chce być jego.

– Oczywiście, a czyja niby?

– Mamusi – chlipnęła Emilka.

– Mamusi także. Jesteś najulubieńszą małą syrenką twojej mamy, moją, cioci Marty, wujka Mateusza... Mnóstwo ludzi cię kocha, bo jakże tu nie kochać takiej słodyczki. – Patrzył, jak dziewczynka rozpromienia się z każdym słowem, jak szczerzy, nieudawany uśmiech rozjaśnia jej buzię, i zastanawiał się, czy Oliwia kiedyś też taka była: prawdziwa, kochana, radosna. A jeśli tak, to co sprawiło, że zagubiła się gdzieś między nienawiścią i obłądą, czy małej Emilce też to grozi i co on, Nataniel, może zrobić, żeby pozostała dobrym człowiekiem.

– Jutro wypiszemy pacjentkę do domu – rzekł od progu doktor Hubert.

Nataniel wypuścił dziecko z objęć i wstał, zmuszając się do uśmiechu. Było mu ciężko na duszy. Nawet dobra wiadomość z trudem torowała sobie drogę do wypełnionego gorącością i żalem serca.

– Bardzo jestem wdzięczny za opiekę... – zaczął, ale tamten machnął ręką.

– Mógłbym wypisać Emilkę nawet dziś, jeśli Marta będzie miała nad nią pieczę.

„Pieczę? Ludzie kochani, kto dziś tak mówi?!” – chciał wykrzyknąć Nataniel, ale zmilczał. Właściwie nic nie miał przeciwko temu człowiekowi. Dlaczego więc sam widok doktora go irytował, a na pełne emfazy słowa niemal zgrzytał zębami?

– Doktor Kraszewska jest nieobecna – zmusił się do grzecznej odpowiedzi. – Pojechała do bliskiego przyjaciela. – Słowo „bliskiego” wypowiedział z takim naciskiem, żeby mężczyzna nie miał najmniejszych wątpliwości, kim dla Marty jest Siergiej.

– A rzeczywiście, coś słyszałem – mruknął Hubert. – Kiedy wraca?

– Gdy tylko będzie można przewieźć go tutaj, do Olsztyna.

Lekarz skinął głową i pożegnał się nieco chłodniej, niż przywitał. Nataniel zaś w duchu przybił piątkę z Sodarowem, chociaż biednemu Mateuszowi – a chyba przez wzgląd na przyjaciela chłopak znieubił Huberta – było wszystko jedno, czy tym razem Marta straci głowę dla przystojnego doktora czy też ponownie da się uwieść Siergiejowi. Mateusz będzie cierpiał tak samo.

Nazajutrz patrzył, jak pod szpital podjeżdża nissan Mateusza. Mężczyzna wysiadł, podszedł do przyjaciela i poklepał go po plecach na powitanie.

– Jak się miewa nasz inwentarz? Emilkę też mam tutaj na myśli.

Chłopak uśmiechnął się, chociaż nie spał tej nocy i radośnie mu na duszy nie było. Wspomnienia rozmowy z Oliwią i to, co przez własną bezmyślność zafundował jej i sobie, nie pozwalały zmrużyć oka. Wreszcie nad ranem wziął Śnieżkę i wyruszył na długą włóczęgę po lesie. Wstąpił na rancho Siergieja, napalił porządnie w domu, wyczyścił na błysk wszystkie konie, potem stajnie.

Zmordowany, ale nieco spokojniejszy – będzie, co ma być, jemu pozostało mierzyć się z losem i tyle – wrócił do domu, zmienił przepocone ciuchy na czystsze i przyzwoitsze, po czym pojechał do Olsztyna. Mateusz wysłał mu wiadomość, że są już w drodze, całą trójką. Chciał być w chwili, gdy dojadą.

– Inwentarz ma się doskonale – odpowiedział na pytanie przyjaciela. – Wliczając w to Emilkę – dodał równie żartobliwie jak on. – A ty?

– Zdrow jak byk! – Mateusz zgiął rękę w łokciu, naprężając mięśnie. Mimo że miał pięćdziesiątkę na karku, muskulatury mógł mu pozazdrościć niejeden nastolatek miękka rączka. Lecz Mateusz całe dni pracował fizycznie, a nie wiały za komputerem...

– Wiesz, że nie o to pytam.

Mężczyzna przytaknął. Uśmiech znikł z jego surowej, lecz dobrej twarzy.

– Ciężko patrzeć, jak Marta skacze dookoła naszego przyjaciela Siergieja, ale taki mój los. Ty również nie wyglądasz na urodzonego pod szczęśliwą gwiazdą. – Przyjrzał się chłopakowi bystrze. – Coś mnie ominęło?

Nataniel spochmurniał. Historii z Oliwią długo się przed przyjacielem ukryć nie da, zresztą co tu ukrywać? Wpadł najgłupiej, jak można. Jeden wieczór uniesień, a rachunek na resztę życia. Żeby jeszcze przyniosło to komu radość...

– Za sześć miesięcy będę ojcem – odparł po prostu.

Mateusz wciągnął powietrze. Przez chwilę patrzył na chłopaka z niedowierzaniem.

– Mówisz o Emilce, mam nadzieję? Iwona oddaje ci władzę rodzicielską?

Zaprzeczył.

– Mówię o dziecku Oliwii. I moim. W ubiegłe święta zaliczyliśmy wpadkę. Historia, jakich tysiące... – Wzruszył ramionami, wbijając wzrok w chodnik. Było mu wstyd. Zwyczajnie wstyd. Nawet nie tego, że wpadł jak szczeniak, ale że nie mógł przekazać tej wiadomości z radością i domagać się gratulacji.

Mateusz, widząc wyraz jego twarzy, nie spieszył się z powinszowaniami.

– Marta... – zaczął i urwał.

– Marta nic jeszcze nie wie. A ja nie wiem, kto ma podzielić się z nią ową radosną nowiną: ja czy przyszła matka naszego dziecka.

– Wybacz, stary, że ci to mówię, ale nie wyglądasz na uszczęśliwionego, a przecież polubiłeś Oliwię i zawsze chciałeś mieć rodzinę. Dzieci również. Więc... będziesz miał. Chyba że postanowiliście żyć oddzielnie.

Nataniel, nie podnosząc wzroku, odezwał się:

– Poprosiłem Oliwię o rękę. Ma się zastanowić. – Nagle uniósł na Mateusza pociemniałe z żalu oczy. – Nienawidzi mnie z całego serca, a ja jej. To biedne dziecko nie mogło gorzej trafić.

– Och, Nat... Tak bardzo mi przykro...

Mateusz miał chęć przytulić chłopaka serdecznie, zmartwiony tym, co usłyszał i zobaczył, ale ograniczył się do położenia dłoni na jego ramieniu i uściśnięcia. Tak, by Nataniel czuł, że nie jest sam. Ktoś stoi po jego stronie i będzie go wspierał, cokolwiek postanowi. Jednak Marta weźmie stronę córki. I między trojgiem dobrych przyjaciół, przyjaciół, wydawałoby się, na śmierć i życie, zapanuje rozłam, o ile nie wrogość.

– Może uda wam się jeszcze odnaleźć. Tobie i Oliwii. Przecież będziecie rodzicami. Za samo to oddałbym pół życia, które mi zostało! Pomyśl tylko, Nat, za pół roku weźmiesz w ramiona maleńką istotkę, twojego synka albo córeczkę. Czy nie warto na powrót zaprzyjaźnić się z mamą tego dzieciątka? Spróbować zwalczyć nienawiść? Pokochać?

Nataniel nie odpowiedział. Oliwia nie chciała jego miłości.

Na podjazd wjechała karetka na lubelskich tablicach. Wysiadła z niej uśmiechnięta jak gdyby nigdy nic Marta Kraszewska. Już niedługo ten uśmiech zniknie z twarzy kobiety, bo jeśli Oliwia poinformuje ją w taki sposób jak Nataniela...

„Dlaczego musiałem trafić akurat na ciebie?” – posłał Oliwii ostatnią myśl.

– Jesteśmy! – krzyknęła Marta do przyjaciół, po czym okrążyła samochód, by asystować przy wyciąganiu noszy. – Jak się czujesz? Żyjesz? – Pochyliła się nad okrytym kocem mężczyzną. Odpowiedział coś cichym głosem, a ona poprawiła mu troskliwie poduszkę pod głową.

Nataniel patrzył w tym momencie nie na Sodarowa, a na Mateusza. Wyglądał jak człowiek wyzbyty wszelkiej nadziei i tym razem chłopak zaciskał dłoń na jego ramieniu, nie odwrotnie. Sanitariusze potoczyli wózek z noszami w stronę drzwi wejściowych, Marta, nie odstępując Siergieja na krok, ruszyła za nimi.

– Najprostsza droga do zdobycia serca doktor Kraszewskiej – mruknął Mateusz. – Dać się postrzelić, pociąć nożem, a jeszcze lepiej: załapać się na tortury. Sodarow ma to opanowane do perfekcji.

Nataniel zaśmiał się cicho.

– Poświęciłbyś oko, żeby zdobyć Martę? – zapytał pół żartem, pół serio.

– I nie tylko oko – odparł Mateusz całkiem poważnie, po czym dodał, odprowadzając tamtych smutnym spojrzeniem: – Chyba nic tu po nas.

Nataniel mógł jedynie przytaknąć.

– Zaraz odbieram Emilkę – odezwał się. – Pójdiesz ze mną? Pójdiesz – uciał stanowczo, nie czekając na zgodę albo niezgodę przyjaciela. – I żadnego picia na umór, człowieku. Na Marcie Kraszewskiej świat się nie kończy.

– Mówi to ten, który zapił się nieomal na śmierć po odejściu pierwszej narzeczonej,

a dziś ma minę skazanego na szafot, mówiąc o ślubie z drugą – odrzekł starszy mężczyzna.

Nataniel uśmiechnął się mimo woli. Naprawdę nic więcej, poza pogodzeniem się z losem, im dwóm nie pozostało.

Marta krzątała się po pokoju, do którego przywieziono Siergieja. On leżał na szpitalnym łóżku i patrzył jedynym okiem w okno. Wydawało się, że jej obecność jest mężczyźnie całkowicie obojętna.

– Przestań się wreszcie kręcić – odezwał się, gdy po raz setny podeszła do szafki i sprawdziła, czy przybory do golenia i szczoteczka do zębów, które kupiła po drodze, leżą równo ułożone. – Jeśli nie chcesz jeszcze wracać do domu, to po prostu usiądź. Pogadamy albo pomilczymy... Naprawdę nie musisz szukać pretekstu, by ze mną zostać.

– Nie szukam pretekstu. I kto ci powiedział, że chcę z tobą zostać? – syknęła, urażona do żywego.

– Wróble za oknem mi wyćwierkały. Jeśli nie chcesz, to wyjdź.

– Przyjemniaczek, jak zwykle. Pełen wdzięczności gentleman – prychnęła ironicznie, ale on nie spojrzał na nią, cały czas mając wzrok utkwiony w wierzchołkach drzew za szybą.

Marta jednak, zamiast wyjść, jak sugerował, sama na siebie zła, że to czyni, usiadła przy łóżku.

– Dlaczego to zrobiłeś? – odezwała się cicho. – Po co ci była ta wojna?

– Nie zrozumiesz.

– Tak, za głupia jestem. Może spróbuj mi wytłumaczyć?

– Już mówiłem: potrzebowałem odpuszczenia grzechów, ale tego wyjaśnienia nie przyjęłaś do wiadomości. Co innego mam ci powiedzieć? Zmyślić coś na poczekaniu? Chcesz łzawą historyjkę, że zawiodłem twoje zaufanie, zdradziłem cię z pierwszą lepszą i chciałem siebie ukarać? Możesz i w to wierzyć. To część prawdy.

– Ale nie cała?

Wreszcie na nią spojrzał.

– Chcesz znać resztę?

Przytaknęła bez słowa.

– Nawet jeśli będzie bolało?

Znów potaknięcie.

– Potrzebne mi były pieniądze. Duże, szybkie pieniądze – odparł i skrzywił usta w ironicznym uśmiechu, widząc rozczarowanie i żal na jej twarzy. – Nie zapytasz na co? – Wzruszyła tylko ramionami. – Powiem ci, bo domagałaś się prawdy. Przed... tym wszystkim... ubogi nie byłem. Żyłem skromnie, bo czego taki facet jak ja może potrzebować? Konie na siebie zarabiał, z dzierżawy ziemi utrzymywałem dom. I nagle wszystko się popieprzyło. Wreszcie cię zdobyłem.

Aż się wzdrygnęła na to określenie, ale słuchała dalej, ze wzrokiem wbitym w splecione mocno dłonie.

– I chwilę potem straciłem. Wyjechałaś. A ja zostałem z długiem wdzięczności i pieprzonymi wyrzutami sumienia. – Mówił cicho i spokojnie, ale rwący się głos świadczył, ile go ta spowiedź kosztuje. – Gdy wystawiłaś dwór na sprzedaż, upatrzyłem

w tym okazję, żeby cię przebłagać. Kiedyś. A jeśli to mi się nie uda, to przynajmniej zadośćuczynić krzywdzie, jaką ci uczyniłem. Przeze mnie straciłaś wiarę w miłość, ale nie mogłaś stracić miejsca, które kochałaś. Kupiłem go...

– Ty kupiłeś mój dom?! – Poderwała się na równe nogi. – Jak śmiesz... Jak mogłeś...?!

– Usiądź, Marta, i ciesz się, że ja, a nie jakiś bogaty warszawiak. Tak. Kupiłem dwór i od razu spisałem akt darowizny. Dwór jest twój, możesz go odebrać, kiedy tylko zechcesz.

– Nic od ciebie nie chcę, rozumiesz?! Nic!

– Twoja sprawa – skwitował beznamiętnie. – Przekaż go Caritasowi, sprzedaj albo spal. Jest twój.

Usiadła, zmrożona jego obojętnym, chłodnym tonem.

On milczał, znów patrząc w okno.

– Powiedziałaś... że potrzebne ci były pieniądze – odezwała się wreszcie, gdy dotarł do niej sens jego wypowiedzi.

Jeszcze nie wierzyła, że może odzyskać dom, który tak kochała. Darowizny Siergieja nie przyjmie! Ale odkupić dwór od niego może...

– Tak. Pozostała do spłaty druga część długu. Jak pamiętasz, oprócz ciebie skrzywdziłem jeszcze kogoś.

– Nataniela.

– Tak. Jego. Przyzwoitego gościa. Porządnego faceta. Dobrego przyjaciela. Nie zasługiwał na ból, jaki mu zadałem, choć powinien być wdzięczny. Iwona, ta jego laska, była zwykłą dziwką. Puszczala się z każdym, kto się jej nawinął. Z Wieśkiem Sidło nieraz poszła na siano, jeśli chcesz wiedzieć. Opowiadał ze szczegółami, jaka jest dobra w tym, co robi.

Marta milczała. Zbladła, ręce zaczęły jej drżeć, ale nie mogła poprosić, by przestał. Musiała wysłuchać do końca.

– Nieco inaczej miało wyglądać ich rozstanie, mówię o Natanielu i Iwonie, nie chciałem aż tak wrednie – seksem z dziwką na pomoście – was potraktować, jego i ciebie, ale wyszło, jak wyszło. Może mi to kiedyś wybaczysz, może nie...

Nie oczekiwał, że odpowie. Nie miał na to nadziei. Nadal patrząc w okno, zamiast na walczącą ze łzami kobietę, ciągnął dalej:

– Widzisz, Iwona była oszustką. Różnęła każdego, kto był tak naiwny jak nasz przyjaciel. Miała na karku wyrok w zawiasach, ale nadal ryzykowała. Po twoim wyjeździe nie bardzo miałem co ze sobą zrobić, tu nie chciałem zostać, żeby nie krzywdzić Nataniela bardziej, niż już to zrobiłem, więc... wyjechałem do Warszawy bliżej zakolegować się z Iwoną. Miała córeczkę, przeurocze dziecko. Emilkę. Naprawdę można się było zakochać w tej małej księżniczce. I... to jest przyczyna wszystkiego. Mała Emilka Bugaj.

Urwał swą opowieść. Uśmiechnął się lekko.

Marta czekała ze wstrzymanym oddechem, aż znów zacznie mówić.

– Iwona umyśliła sobie, że przed więzieniem ucieknie z małą na Ukrainę albo jeszcze dalej na wschód i tam rozpocznie nowe życie. Miała kilkadziesiąt tysięcy podebrane, no dobra, bądźmy szczerzy: ukradzione z konta Nataniela. Natomiast ja, jak

może się domyślasz, jestem kimś w rodzaju przewodnika. Potrafię przeprowadzić ludzi albo przewieźć towar pod samym nosem pograniczników. Iwona chciała mi zapłacić, bym przemycił ją razem z dzieckiem za ukraińską granicę. Przeraził mnie ten pomysł. To nie była bezpieczna zabawa. Nie dla kobiety z małym dzieckiem. Długo wybijałem jej z głowy ten plan. Tłumaczyłem, że policja i tak będzie ją ścigać niczym wściekłe zwierzę. Jest karana, nigdy nie będzie mogła wrócić do kraju. Ani ona, ani jej córeczka, wychowana w poniewierce, wśród obcych. W końcu... zgodziła się odpuścić, pod warunkiem że spłacę jej wierzycieli. W jej imieniu zawrę układ z sądem i poszkodowanymi, zwrócę pieniądze, ona będzie wolna, a Emilka bezpieczna. Był jeden problem: nie miałem już tych trzystu tysięcy. Kupiłem twój dwór.

Umilkł ponownie. Tym razem wydawało się, że na dobre.

– Dlatego pojechałeś na wojnę? Żeby je zarobić?

Spojrzał na nią z politowaniem.

– Nie jestem aż tak cenny. Nikt tyle za usługi najemnika nie zapłaci. Ja miałem inny plan. Ubezpieczyłem się bardzo wysoko i dopiero potem pojechałem na wojnę.

– Licząc, że nie wrócisz? – zdobyła się li tylko na szept.

– Licząc, że nie wrócę. Pieniądze z odszkodowania miała dostać Iwona, dwór – ty. Koniec bajki. Nic więcej nie mam do powiedzenia oprócz tego, że plan się nie powiódł. Jestem. Żyję. Wyłaty nie będzie.

Odwrócił się z powrotem do okna, ona schyliła głowę, by ukryć łzy, które napłynęły jej do oczu.

– Dlaczego...? – zaczęła i urwała.

Pytanie, dlaczego nie opowiedział jej tego wcześniej, przed wyjazdem, miało taki mniej więcej sens jak pytanie o zesłoroczny śnieg. Gdyby pojawił się na progu jej domu wtedy, pół roku temu, zrzuciłaby go ze schodów razem z Iwoną. Nie wiedziała, kogo nienawidzi bardziej: jego czy jej. Wtedy.

Dzisiaj... była o pół roku starsza. I życie znów okazywało się nie takie czarno-białe, jak sobie tego życzyła. Jej najgorszy wróg, Siergiej Sodarow, okazał się lojalny w stosunku do przyjaciół. Miał wielkie serce, chociaż nieraz zblądził, jak każdy z nas. Wprawdzie zdrada jest zdradą i nigdy nie zapomni widoku tamtych dwojga w sierpniowy dzień na pomoście, ale... ale mogą przecież, ona i Siergiej, pozostać przyjaciółmi. O ile on jeszcze chce jej przyjaźni...

– Spłacę ten dług – odezwała się, zaskakując samą siebie. – Spłacę wierzycieli Iwony, jeśli ty rzeczywiście zwrócisz mi dwór. Odkupię go od ciebie za tę samą cenę, a ty oddasz pieniądze Iwonie. Emilka... musi mieć mamę. Wydawało mi się, że nie tęskni za nią, ale to nieprawda. Każde dziecko potrzebuje matki. Oprócz mojego – dodała po chwili z ciężkim westchnieniem.

Oliwia od paru tygodni się nie odzywała. Skąpe, suche esemesy były wszystkim, na co Marta mogła liczyć. „Za co, Panie Boże, to dziecko tak mnie nienawidzi?” – pytała siebie w duchu nieraz. I nie dostawała odpowiedzi.

– Dostaniesz pieniądze na spłatę jej długu – powtórzyła.

On przyglądał się kobiecie w milczeniu.

– Nie licz na wdzięczność Iwony – odezwał się wreszcie.

Pokręciła tylko głową.

– Do Nataniela ona również nie wróci.

Odpowiedziało mu wzruszenie ramion.

– Wystarczy, że wyjdzie z więzienia, a Nataniel nie będzie się o nią martwić – odrzekła cicho, zastanawiając się, co ją podkusiło, by zaproponować wykupienie właśnie tej kobiety. Sodarow... jego kochała, kiedyś, ale Iwona?! Czym zasługiwała, by tylu ludzi próbowało jej pomóc? I nagle uśmiechnęła się sama do siebie. Dziecko! Przecież robią to wszystko nie dla Iwony, a dla dziecka! Małej Emilki, która nie jest niczemu winna. Ona nie może odpowiadać za czyny matki kryminalistki! Poza tym... Bogiem a prawdą... na spłatę długów pójdą pieniądze Sodarowa, nie Marty.

Odetchnęła głęboko. Wyprostowała się na krześle, nie zdając sobie sprawy, że ciężar nie do zniesienia – nie chciała pomagać tej podlej wiedźmie! – przygina ją do ziemi.

– Naprawdę przepisałeś na mnie dworek? – Zwróciła na Sodarowa rozjaśnione nadzieją oczy.

– Tak. Akt darowizny jest u mojego prawnika. Miał cię wezwać w przypadku mojej śmierci.

– No tak. Taki był twój plan. Ale nic z tego, przyjacielu. Tak szybko się z tego świata nie wypiszesz. Wysoką cenę zapłaciłeś za zdradę. Bardzo wysoką. Możemy uznać, że zostałeś zrehabilitowany.

Uśmiechnęła się do niego. On nie odpowiedział tym samym. Uniósł dłoń. Spojrzał na kikuty dwóch palców, kciuka i wskazującego. Odzynali je długo stępionym majchrem, cucąc go, gdy tylko tracił przytomność. „Już nigdy nie pociągniesz za spust, *sobako...*” Dotknął okaleczoną dłoń pustego oczodołu zakrytego białym kompresem. Nigdy w życiu tak się nie bał – i tak nie krzyczał – jak w chwili, gdy wiertło zbliżało się do jego oka. Nigdy.

Z gardła wyrwał mu się suchy szloch. Zakrył twarz przedramieniem i zapłakał. Zapłakał jak dziecko. Marta objęła go mocno i łkała razem z nim.

– Siergiej, już dobrze... To wszystko za nami... Wróciłeś... Wróciłeś do mnie...

Pochylił nisko głowę, chwycił jej dłoń i przycisnął do ust. Krztusząc się łzami, błagał, by mu wybaczyła całe to zło i cierpienie. *Liubymyja moja...* A ona tuliła głowę mężczyzny do piersi, żałując, że podły los postawił na ich drodze kogoś, kto nie był wart ani jednej łzy.

Tymczasem ten ktoś właśnie przerzucał kabel od komputera, ukradziony z więziennej biblioteki, przez kratę w oknie łazienki. Jeszcze tylko pętla, taboret i...





N

ataniel i Emilka niespiesznie, krok za krokiem zmierzali przez las do samotni Mateusza. W całym zamęcie dookoła potrzebna była chłopakowi chwila wyciszenia, a towarzystwo wesolej, bezpretensjonalnej dziewczynki było wręcz ukojeniem. Przy swej podopiecznej nie musiał się bać, że jego słowa albo czyny będą miały nieprzewidywalne konsekwencje. Wystarczyło, że słuchał jej, uważał na nią, tulił na dobranoc i ocierał łzy, gdy stłukła kolanko, a oboje byli szczęśliwi. Jeszcze gdy kupił jej nowego kucyka z My Little Pony albo sukienkę dla Elzy z Krainy Lodu, ona była w siódmym niebie, a on, mimo zmartwień, nie mógł się nie uśmiechnąć, patrząc na rozpromienioną buzię dziecka. Tak łatwo było sprawić radość małemu człowiekowi...

Teraz szli w odwiedziny do niewidzianego od kilku dni przyjaciela, gawędząc o tym i owym.

Mateusz, jak zaszył się po powrocie z Olsztyna w swojej pustelni, tak od tamtej pory chyba jej nie opuścił. Zrobili więc zakupy i dla niego, a teraz zdążali do leśniczówki niczym trzej królowie – Nataniel, Emilka i Trusia – niosąc Mateuszowi w darze wszystko, czego mógł potrzebować.

Dzień był ciepły i bezwietrzny. Las cichy, jakby wyczekiwał na wiosenny deszcz. Ptaki odzywały się to tu, to tam, z dala dobiegało postukiwanie dzięcioła, gdzieś zacmokała wiewiórka.

Emilka, podskakując, jak to ona, wybiegała naprzód, po czym zawracała do mocno dziś kulejącego chłopaka.

– Dokucza ci nóżka, wujku Natanielu? – zapytała, gdy potknął się o wystający korzeń i aż pobladł z bólu tak ostrego, jakiego dawno nie czuł. – Może odpoczniemy chwilunię?

Z ulgą opadł na pień brzozy, wyprostował nieszczęsną kończynę i zaczął ją masować, zaciskając zęby, żeby nie krzyczeć. Spacer zmienił się w mękę.

– Zaraz przejdzie – wymamrotał, wiedząc, że tak nie będzie.

Od wizyty Oliwii i jej rewelacji noga dawała o sobie znać coraz częściej i okrutniej. Już parę razy musiał łykać najsilniejsze leki. Może Marta poratuje go zastrzykami? Bez słowa sprzeciwu przepisałaby mu blokadę, ale najpierw musiałby przyznać, że ból

zaatakował ponownie. Wtedy zaczęłyby dopytywać o przyczynę – wciąż upierała się, że to ból psychosomatyczny i Natanielowi bardziej od leków przyda się porządna psychoterapia – i co by jej odpowiedział? „Wiesz, machnąłem dziecko twojej córce. Byłoby wszystko ładnie-pięknie, tylko ona nie chce ani dziecka, ani mnie, a ja, cóż... również nie. Szczerze mówiąc, nienawidzimy się serdecznie”? Marta załamałaby się do reszty. Już i tak, gdy widzieli się po wypisaniu Emilki ze szpitala, była przygnębiona brakiem wiadomości od Oliwii. Jednak z dwojga złego lepszy był brak wiadomości niż niespodzianka, jaką córka dla niej szykowała...

Emilka wgramoliła się na pień i usiadła obok niego.

– Mnie czasem boli o tutaj – odezwała się cicho, wskazując miejsce, gdzie pod sweterkiem i sukienką biło małe, strapione serce.

– Serduszko cię boli?! – przeraził się, gotów natychmiast wieźć małą do kardiologa.

– Z tęsknoty. Możemy pojechać w odwiedziny do mamy? – Uniosła nań posmutniałe oczy. – Do tego sanktuarium?

– Nie wiem, skarbie, czy małym dziewczynkom wolno tam wchodzić, ale zapytam dyrektora i jeśli się zgodzi... tak, pojedziemy w odwiedziny do twojej mamy.

– Nie lubisz jej? – Mała nie tyle zapytała, ile stwierdziła fakt.

– Lubię! Dlaczego tak uważasz?

– Gdy mówisz o mojej mamie, buzia przestaje ci się uśmiechać, wujku Natanielu. Z lubienia na nielubienie. Ciocia Olga też jej nie lubiła – dodała żałośnie.

Przytulił dziecko. Zamyślił się nad odpowiedzią.

– Po prostu martwię się o twoją mamusię – odrzekł wreszcie. – Nie jest szczęśliwa w owym sanatorium, chciałyby do ciebie wrócić, ale jeszcze jej nie wolno.

– Myślę, że mamusia jest już w niebie – powiedziała cichutko i z takim żalem, że Natanielowi serce się ścisnęło. Z nagłego strachu, że mała może mieć rację, również.

– Co ty mówisz, dziecinko?! Przecież widziałem się z twoją mamą! Całkiem niedawno! Była smutna, bo tęskniła za tobą tak samo, jak ty za nią, ale jak najbardziej żywa! Wróci do ciebie, zobaczysz. Gdy tylko jej na to pozwolą, przyjedzie i zabierze cię do domu. Twojego własnego domu.

– Ale mi bardziej podoba się twój domek, wujku Natanielu. Nie mogłybyśmy razem z mamusią zamieszkać u ciebie?

I co teraz, mądralo? Wymyśl szybko coś wymijającego, bo Emilka gotowa poczuć się odrzucona po raz kolejny.

– Każdy ma swoje plany, Miluszko – zaczął, ważąc słowa. – Nie wiem, czy twoja mama chciałyby mieszkać na wsi, ty też wkrótce znudzisz się tym miejscem...

– Nie znudzę się! Uwielbiam twoją chatkę i dom cioci Marty! Proooszę, wujku Natanielu, zamieszkajmy razem: ja, ty i moja mamusia!

„Swego czasu o niczym innym nie marzyłem, niż zatrzymać twoją mamę na zawsze” – pomyślał z rezygnacją. „Dziś marzę, by nigdy więcej jej nie spotkać”.

– Musimy ruszać – podniósł się, oparł na chorej nodze, sprawdzając, czy go utrzyma. Ćmiła jeszcze niczym ząb, gdy minie znieczulenie, ale do takiego bólu Nataniel przywykł.

Emilka niechętnie zeskoczyła z pnia, chciała jeszcze o coś zapytać czy poprosić,

ale na szczęście znalazła sobie lepsze zajęcie: niedaleko dojrzała dwie wiewiórki buszujące w koronach drzew. Pobieгла w tamtym kierunku, zadarła głowę i przez długie chwile przyglądała się w niemym zachwycie harcom zwierzątek.

Do leśniczówki dotarli dopiero w porze podwieczorku.

Mateusz wyszedł im naprzeciw, przodem biegł wielki, niezdarny, kosmaty Reksio. Emilka pisnęła z radości, objęła psiaka z całych sił, wtuliła buzię w miękką sierść zwierzęcia. Był świeżo wykąpany, jeszcze pachniał coca-colowym szamponem dla dzieci.

– Wujku Mateuszu, czy Reksio wybiera się na wystawę dla reksiów? – Zachwycona wyjęła z włosów spinkę z motylkiem i siłując się z zapęciem, usiłowała przyozdobić nią czworonożnego przyjaciela, który tymi zabiegami był najwyraźniej wniebowzięty.

– Reksio wybiera się w odwiedziny do dzieci. Bardzo szczególnych dzieci – odpowiedział Mateusz, uśmiechając się do dziewczynki.

– Takich jak ja?

– Takich jak ty.

– A ja też mogę się do nich wybrać?

Oboje w tym samym momencie spojrzeli na Nataniela, który był, widać, najwyższą instancją.

– Jeśli wujek Mateusz zabierze cię ze sobą, proszę bardzo.

Dziewczynka chwyciła starszego mężczyznę za rękę, zajrzała mu błagalnie w oczy i już samo to stopiło jego serce.

– Oczywiście, Emilciu! Dzieci, i Reksio też, będą zachwycone. Wyruszamy do Olsztyna jutro koło południa.

Nataniel skinął przyzwalająco głową. Emilka zatańczyła dookoła nich.

– Założę najpiękniejszą sukienkę! Wujek Nataniel zaplecie mi warkoczyki... – W tym momencie wujek Nataniel zastanowił się, czy dobrze postąpił... On nie potrafi zaplatać warkoczyków małym dziewczynkom! – A wujek Mateusz zawiąże Reksiovi pod szyją czerwoną kokardę, żeby wyglądał jak prezent. Prezent dla dzieci.

Zatrzymała się tak nagle, jak zaczęła płaszać.

– Te dzieci są biedne? – zapytała rzeczowym tonem.

– Dlaczego przyszło ci to do głowy, maleńka? – Mateusz przezornie odpowiedział pytaniem, nie będąc pewnym, co dziecko ma na myśli.

– Bo tylko biednym dzieciom przynosi się prezenty.

– Ale ja nie niosę im w prezencie Reksia! Idziemy do nich w odwiedziny!

– Aha – skwitowała Emilka i pobiegła przodem w kierunku leśniczówki.

Pies, powiewając uszami i ogonem, za nią. Biedna Trusia, o której wszyscy zapomnieli, próbowała ich dogonić, ale niewidoma, w obcym terenie, zawróciła z cichym skomleniem do Nataniela. Wziął pieska na ręce, pogłaskał serdecznie. Chciał powiedzieć, że jeszcze kiedyś będzie biegała za Emilką i Reksiem, ale równie dobrze mógł łągać sobie samemu. Miał takie same szanse na beztróskie bieganie jak oślepią Trusia.

Ruszył za Mateuszem, równie zamyślonym co on. Miał właśnie pytać przyjaciela, dlaczego zapadł się w samotność, gdy zadzwonił telefon. Nataniel, widząc nieznaną numer, w pierwszym momencie chciał odrzucić połączenie – rozmowa z Mateuszem

wydała mu się ważniejsza – po chwili jednak, tknięty przecuciem, odebrał. Znajomy głos sprawił, że zwolnił kroku, a potem zatrzymał się, słuchając uważnie.

– Pan Domoradzki, mam nadzieję?

Przytaknął, a kobieta mówiła dalej, cicho i szybko, wyraźnie zdenerwowana:

– Justyna Konik z zakładu karnego w Czersku. Mam nadzieję, że pan kojarzy?

Owszem, kojarzył, i mocniej zacisnął palce na komórce, spodziewając się złych wieści.

– Nie jest pan najbliższą rodziną Iwony Bugaj, ale to do pana podała telefon w razie nagłego wypadku i cóż, zdaje się, że mamy właśnie taki przypadek.

– Co się stało?

– Cóż... pana przyjaciółka, tak mogę chyba o Iwonce powiedzieć?, jest w szpitalu. Nie tutaj, w Czersku, została przetransportowana do Świecia. Czy może pan swobodnie rozmawiać?

– Proszę mówić – rzucił nagle.

– Cóż... zdaje się, że próbowała popełnić samobójstwo.

Zapadła cisza, którą przerwał Nataniel.

– Iwona, ta sama, którą posądzała pani o symulowanie choroby, próbowała się zabić? – wycedził, miażdżąc niemal telefon.

Wiedział! Od samego początku wiedział, że Iwona nie udaje! Nie próbuje wymuszać szpitalnego leczenia, tylko naprawdę jest chora! Wtedy jeszcze, gdy ją odwiedził, próbowała walczyć o życie, ale widocznie tę walkę przegrała. Mówiła, że współwięźniarki znęcają się nad nią, gwałcą w okrutny sposób i widać tak było! Ale kto dałby wiarę skazanej za oszustwo?!

– W jakim jest stanie? – rzucił do telefonu, ledwo panując nad wściekłością.

– Została w porę znaleziona – padła wymijająca odpowiedź. – Czy mogę się spodziewać pańskiego przyjazdu?

– Tak. Będę za kilka godzin. Muszę znaleźć opiekę do dziecka i od razu wsiałam do samochodu.

– Dziękuję, panie Domoradzki. Ja kończę już dyżur...

„No pewnie, że kończysz. Pracujesz przecież od do, mniejsza, że któraś z twoich podopiecznych próbuje się zabić, tak znakomicie się nią zajmowałaś!” – pomyślał ze złością Nataniel.

– Ale jutro, jeśli znajdzie pan czas, możemy porozmawiać – dokończyła kobieta.

Mruknął coś wymijającego, pożegnał się i rozłączył.

– Z tobą, pani wszystkowiedząca, nie mam o czym rozmawiać, a tym bardziej o kim – rzucił wściekle, gdy nie mogła go już słyszeć. – Znajdę dla Iwony lepsze wsparcie.

Nawet jeśli on sam nie mógłby przyjeżdżać do niej w odwiedzinach – nie mógłby albo nie chciał, to musiał szczerze sobie powiedzieć – to przecież okazja porozmawiania z kimś życzliwym będzie dla Iwony bezcenna.

Mateusz czekał parę kroków dalej, aż Nataniel otrząśnie się z pierwszego szoku i powie coś więcej, niż można się było z półsłówki domyślić.

– Muszę jechać do Czerska. Iwona... mama Emilki...

- Wiem, kim jest Iwona, chłopcze. Co z nią?
- Próba samobójcza. Ponoć została w porę znaleziona, cokolwiek to znaczy.
- Jedź. Pewnie, że jedź. Zajmę się małą.
- Nie wrócę na noc. Rano trzeba oporządzić zwierzęta. Moje i Sodarowa...
- Oporządzą.
- To sporo roboty...
- Nat, nie wymigasz się od tego wyjazdu – Mateusz łagodnie wpadł mu w słowo. –

Iwona jest twoim krzyżem, który będziesz dźwigał, czy tego chcesz czy nie, dotąd, aż ktoś ciebie odbarczy. Nie liczyłbym, że stanie się to szybko. Przyzwyczajaj się.

– Ona... jest mi teraz zupełnie obca – przyznał ze wstydem. – Nie czuję do niej nic. Ani miłości, ani nienawiści. Jedyne obojętność.

– Nie ma znaczenia, czy coś do niej czujesz czy nie. Czy jest ci bliska czy obca. Ona uznała, że jesteś jej najbliższą osobą, a ty musisz to uszanować.

– Muszę?! – Jeszcze próbował się buntować. Jeszcze próbował walczyć.

– Tak. W takiej sytuacji nawet wroga nie wolno pozostawić samemu sobie. Każdemu należy pomóc. Koniec. Kropka. Jedź do Czerska, poszukaj dla Iwony dobrego psychologa, czy raczej psychiatry, a potem wracaj do nas. Tobie też ktoś kiedyś podał pomocną dłoń, pamiętasz? A byłeś temu komuś równie obcy, co dziś Iwona tobie.

Musiał się zgodzić.

Chciał jeszcze zawołać Emilkę, wytłumaczyć... Ale Mateusz rzekł stanowczo:

– Idź już, Nat. Powiem dziecku, co i jak, bez wnikania w szczegóły.

Zawrócił niechętnie w stronę domu, ale z każdym krokiem przyspieszał. Mateusz miał rację: nawet jeśli nic Iwonie nie był winien, to zwykła ludzka przyzwoitość nakazywała, by teraz przy niej był.

## ROZDZIAŁ XIX



Marta od paru dni właściwie nie opuszczała szpitala. Nie tylko ze względu na Siergieja, który praktycznie nie potrzebował opieki. Nie. Szpital był jej żywiołem. Tam, wśród pacjentów, lekarzy i pielęgniarek, czuła się na swoim miejscu.

Nie zdecydowała się jeszcze na przyjęcie etatu. Na razie – na trochę niejasnych warunkach – asystowała doktorowi Hubertowi. Można powiedzieć, że była jego konsultantką, a pielęgniarki szeptały po kątach, że nie tylko. Marta nie zawracała sobie głowy plotkami. Była dorosła, wolna. Jeśli miałyby ochotę na romans z Jarkiem, ludzkie języki by jej nie powstrzymały. Problem w tym, że darzyła kolegę ze studiów sympatią i niczym więcej.

Och, tak, był uroczy, a sztukę owijania kobiet wokół małego palca posiadał w sposób mistrzowski. Braku inteligencji i dobrych manier również nie można mu było zarzucić. Uważny na potrzeby i pragnienia adorowanej kobiety, do tego przystojny i majątny, był znakomitą partią. Najlepszą, jaką można sobie było wymarzyć. Dlaczego więc Marta nie wyciągnęła ręki po ten cudny owoc męskiego rodzaju?

Cóż... trzeba byłoby zapytać Marty.

Posłuchała rady Huberta i złożyła w urzędzie stanu cywilnego wniosek o zmianę nazwiska. Za dwa tygodnie miała narodzić się na nowo, jako Marta Aniela Galicka, po dziadkach ze strony matki. Nie wróciła do panińskiego nazwiska, chciała rozpocząć całkiem nowe życie, bez błędów młodości. Podekscytowana, czekała na druk z sądu potwierdzający jej nową tożsamość. Powtórna szansa na udane życie! Nielicznym jest ona dana...

Cieniem na przyszłości kładły się jej stosunki z Oliwią, czy raczej brak takowych. Zupełnie jakby nie miała córki. Oliwia telefonów nie odbierała, więc Marta wysłała jej wiadomość, że wraca do pracy w szpitalu. Jako lekarz pediatra. Jeśli dziewczyna miała jej do tej pory za złe, że matka jest li tylko krawcową, i dlatego się od niej odwróciła – a Marta tak właśnie zaczęła podejrzewać – teraz ten argument odpadał. Doktor Kraszewska wracała na należne jej stanowisko. Na oddział dziecięcy szpitala w Olsztynie. To miało przywrócić jej szacunek do samej siebie. Poważanie córki również.

Ale Oliwia słowem nie skomentowała tej wiadomości, że o gratulacjach nie wspomnieć.

Zabolało.

„Nie będę się tym zadręczać” – postanowiła w duchu, zdążając szpitalnymi

schodami na drugie piętro, gdzie znajdował się oddział internistyczny. „Więcej, by odzyskać miłość Oliwii, nie jestem w stanie zrobić. Ciekawe, czy... czy mogłabym dostać nie tylko szansę na nowe życie, ale i na macierzyństwo...”. Aż stanęła pośrodku korytarza, na szczęście pustego. Maleńka istotka w jej ramionach? Do oczu nabiegły łzy, gdy wyobraziła sobie paluszki synka czy córeczki zaciskające się na jej palcach... Zamrugła pospiesznie, by się nie rozplakać. Zawsze pragnęła mieć dwoje dzieci, może nawet więcej? Na więcej szans nie będzie, ale na drugie? Właściwie... miała dopiero czterdzieści sześć lat. Starsze od niej kobiety rodziły dzieci, więc dlaczego nie ona?

„Ano dlatego, droga Marto, że dziecko potrzebuje ojca, a ty jesteś sama. Sama od dobrych kilkunastu lat” – odpowiedziała sobie.

W tym momencie jej wzrok padł na wysokiego czarnowłosego mężczyznę, który stał przy oknie po drugiej stronie korytarza, patrząc przed siebie. Nie mógł jej widzieć, była skryta za filarem, za to ona widziała jego.

Mimo opaski na oku i dłoni pozbawionej dwóch palców wydał się Marcie tak pociągający, że aż zabolalo tam, w środku. Patrzyła na promienie słońca oświetlające jego surową, pociągłą twarz, na silne, szerokie barki i wąskie biodra, ramiona, których uścisk pamiętała do dziś, i to nieuchwytnie coś, męską pierwotną moc, która sprawiała, że kobiety atawistycznie do niego lgnęły... Wspomnienie pełnych żaru nocy, poranków i wieczorów zabolalo powtórnie.

On, jakby wyczuł spojrzenie kobiety, obrócił się nagle i wbił wzrok w złote oczy Marty. Nie uśmiechnął się, poznając ją. Po prostu stał i czekał na jej ruch.

Podeszła powoli, jak przyciągana nieuchwytną siłą.

– Widzę, że zdrowiejesz – odezwała się nieco chłodniej, niż zamierzała. – Twój lekarz pozwolił ci wstać?

– Nie potrzebuję zgody lekarza, by wyjść do łazienki – odmruknął.

– Mogłeś stracić przytomność...

– Jestem w szpitalu. Ktoś zapewne by mnie ocucił – wpadł jej w słowo. – Choćby taka doktor Kraszewska, znana wszystkim dobra samarytanka. – Uniósł kącik ust w złośliwym uśmiechu.

– Cóż, naprawdę wracasz do zdrowia – odparła jeszcze chłodniej niż przed chwilą. – Nic tu po mnie.

Chciała odejść, ale chwycił ją za rękę. Przytrzymał. Dotyk palców tego mężczyzny wstrząsnął nią do głębi. Poczula pożądanie tak przemożne, że... gdyby tylko zechciał, oddałaby mu się tutaj, na szpitalnym korytarzu. No, może w jego pokoju, pal licha fakt, że w każdej chwili ktoś mógłby ich nakryć i Marta raz na zawsze byłaby skompromitowana.

Musiał dojrzeć głód w jej złotych oczach, bo przeciągnął kciukiem po gładkiej skórze nadgarstka, uniósł bezwładną dłoń kobiety i pocałował. Ot, wdzięczny pacjent dziękuje lekarce za troskliwą opiekę. Ale w wykonaniu Siergieja nie było to takie niewinne. Wręcz przeciwnie.

Marta zmusiła się do cofnięcia ręki.

– Nie rób tego więcej – odezwała się cicho, z trudem nad sobą panując.

– A kto mi zabroni? – roześmiał się tym swoim niskim, seksownym śmiechem.

– Dlaczego musisz niszczyć wszystko, co próbujesz odbudować?! – wybuchnęła. – Jaki to ma sens?! Pragnąłeś odkupić winy, uzyskać moje wybaczenie i...? I gdy jestem gotowa puścić to, co było, w niepamięć, ty znów zaczynasz swoje gierki!

– Takim mnie kochasz.

– Nie Kocham Ciebie!

– Okej, jedynie pragniesz.

Temu nie mogła zaprzeczyć. Pokraśniała. Uciekła wzrokiem.

On nagle spowaźniał.

– Wracaj do swojego doktora, *liubymyja moja*, on jest prostszy w obsłudze.

– O czym ty mówisz?

– O doktorze Hubercie, który ślini się na twój widok, a ty na jego. Wracaj. Pasujecie do siebie.

– Naprawdę tego chcesz? Serio? – Ból w jej głosie wrył się w nieczułe serce mężczyzny, ale... on potrafił jedynie ranić. – Ot tak wypychasz mnie w ramiona innego? Ty, Siergiej Sodarow, oddajesz swoją *liubimój* bez walki?

Oderwał wzrok od jej złotych oczu, płonących żalem i złością, przeniósł spojrzenie na zieleniejące się za oknem drzewa.

– Tak będzie dla Ciebie lepiej.

– Pieprz się, z twoim „lepiej”! Nie ty będziesz mi mówić, co dla mnie dobre, a co nie! Ale w jednym, co mi kiedyś powiedziałeś, masz rację: Ciebie nie można Kochać, Ciebie można tylko nienawidzić.

Odwróciła się na pięcie i wzburzona do granic, odeszła szybkim krokiem. Odprowadził ją spojrzeniem i powrócił do widoku za oknem. Kiedyś uśmiechnąłby się, wiedząc, że jeśli tylko zechce, znów będzie miał tę kobietę w garści. Ale to było kiedyś. Dziś on też chciał budować przyszłość na nowych fundamentach. Żeby to uczynić – i rzeczywiście dać Marcie to, czego potrzebowała: dobrego, Kochającego partnera, jeśli nie męża – musiał tym się właśnie stać: dobrym, Kochającym człowiekiem. Ale jak tego dokonać? Czy on, Siergiej Sodarow, przemytnik, łajdak spod ciemnej gwiazdy, potrafi żyć uczciwie?

– Przekonamy się – mruknął do siebie.

Marta bliska łez niemal biegła po schodach – tym razem w dół, na parter. Na oddział pediatryczny, do swego azylu. Ale nie dane jej było zaszyć się w pokoju lekarskim, by najpierw wziąć głęboki oddech, potem wyrzucić Siergieja i jego podłe słowa z pamięci, a na koniec przebrać się w cywilne ciuchy i zajrzeć do domu, o ile jeszcze stał. Zaraz przy drzwiach wpadła na doktora Huberta. Miał na sobie jak zwykle nieskazitelny biały fartuch, w kieszeni stetoskop, a na piersi identyfikator z tytułem i nazwiskiem.

Kobiecie przemknęło przez myśl, że jest zwykłym pozerem. Bufonem. Bo który ze znanych jej lekarzy – z nią włącznie – nosi po obchodzie stetoskop i plakietkę z nazwiskiem? Współpracownicy Cię znają, rodzice dzieci również, po co chwalić się światu tytułem profesora nadzwyczajnego? I ten stetoskop, bez którego – jak się co poniektórym wydaje – lekarz nie jest lekarzem... W myśl tej zasady pielęgniarki powinny nosić na szyi gustowny łańcuszek ze strzykawką, a salowe basen.



– Dobrze, że cię widzę, kochanie – odezwał się tym swoim uwodzicielskim tonem, ale Marta miała na dzisiaj dosyć uwodzenia.

– Wracam do domu. Zbyt długo nie oglądałam swojego dworku za dnia. – Chciała go wyminąć, lecz przytrzymał ją za ramię.

– Co cię ugryzło? Ktoś ci sprawił przykrość? Chyba nie ten kochaś z drugiego piętra! Zaraz go pavulonem potraktuję...

Martę zatkąło z oburzenia.

– Nawet nie żartuj w ten sposób! – krzyknęła.

– Dobrze, już dobrze, przepraszam... Mam ci coś ważnego do powiedzenia. Byłoby świetnie, gdybyś znalazła dla mnie minutkę.

Niechętnie poszła za nim do pokoju lekarskiego. Młody chłopak, stażysta tuż po studiach, wypełniający jakieś dokumenty poderwał głowę znad papierów, a widząc wymowne spojrzenie ordynatora, umknął, mamrocząc przeprosiny.

– Otóż, pani doktor, zgłosił się do nas pediatra z długim stażem i dobrymi referencjami. Jeśli nie przyjmiesz etatu, będę zmuszony zatrudnić jego. Nie mogę czekać w nieskończoność na twoje łaskawe „tak”.

– Rozumiem – odparła cicho. – Do kiedy mam dać odpowiedź?

– Do jutra – rzucił, patrząc z mimowolną satysfakcją na panikę, która rozbłysła w złocistych oczach tej krnąbrnej kobiety.

Na Martę Kraszewską – już niedługo Galicką – zagiął parol i żaden ruski pętał nie stanie mu na drodze do celu. A celem była cnota niedotykalskiej pani doktor. Może coś więcej? Chciałby się budzić co rano u jej boku... Delektować się śniadaniem, które ta dumna kobieta podawałaby mu do łóżka... Brać ją, kiedy przyszłaby mu ochota... Kryśka, ach Kryśka, była żoną idealną. Dostawał to wszystko, czego normalny, zdrowy facet potrzebuje. Uwielbiał ją za to!

– Dobrze więc – odezwała się nagle, przerywając jego marzenia o słodkiej, uległej żoneczce. – Przyjmuję twoją propozycję. Masz mnie. – Zmusiła się do uśmiechu, ale w duchu zakrzyzczała: „Co ja robię?!”.

Miał rację, dostrzegając panikę w jej źrenicach. Nie była jeszcze gotowa wrócić do pracy, przyjmując z powrotem ogromnej odpowiedzialności za zdrowie i życie dzieci. Jeszcze nie.

„A kiedykolwiek będziesz?” – zapytała siebie w duchu.

Odpowiedź była jasna: nie. Nigdy nie przekroczy progu szpitala z takim spokojem i radością jak sześć lat temu. Zawsze będzie się bała, że popelni błąd tragiczny w skutkach. Ale była coś winna, jeśli nie światu i ludziom, to sobie i swojej córce. Droga do szacunku prowadziła przez oddział pediatriczny olsztyńskiego szpitala.

– Mam cię – powtórzył doktor Hubert, przyglądając się kobiecie z ciekawością badacza. „Żebyś wiedziała, że cię mam”. – Witamy w zespole, doktor Galicka! – Uścisnął jej oficjalnie rękę. – Zaczynasz od jutra?

Skinęła głową, czując, jak nogi się pod nią uginają. Serce zatrzepotało w piersiach, przerażone jak spłoszony gołąb. Musiała jednak wziąć się w garść i odpowiedzieć spokojnie:

– Tak jest. Od jutra.

Mężczyzna uśmiechnął się, zadowolony. Przyciągnął Martę do siebie, bezwolną jak szmaciana lalka, i wycisnął na policzku kobiety niechciany pocałunek.

– Cieszę się na naszą współpracę, Martuś. Naprawdę się cieszę. Dziś jeszcze ci odpuszczę. Wracaj do domu, wyśpij się, odpocznij. Od jutra biorę cię w obroty. – Puścił oczko, by zabrzmiało to jak żart, ale Marta wiedziała, że mówi poważnie. I nie bardzo chciała się zastanawiać, jakie „obroty” doktor Hubert, od jutra jej przełożony, ma na myśli.

No nic, na szczęście ona, Marta, potrafi sobie radzić z niechcianymi zalotami.

Chłodno pożegnała się ze swoim nowym szefem i parę minut później szła do samochodu. Otwierając drzwi, spojrzała w okna drugiego piętra. Wydało się jej, że w jednym z nich widzi nieruchomą sylwetkę mężczyzny, który patrzy wprost na nią, ale gdy osłoniła oczy od słońca i spojrzała powtórnie, okno było puste.



**S**

ciężkim sercem jechała do domu.

– Domu, który musisz od Siergieja odkupić. I to jak najszybciej – przypomniała sobie.

Co ugryzło dziś tego człowieka? Dlaczego nie pozwala się zwyczajnie lubić? Jeśli nie chce być kochany, to chociaż przyjaźni mógłby nie odrzucać!

Ale Sodarow nie zadowalał się namiastkami. On chciał wszystko albo nic.

Marta nagle poczuła, że ma serdecznie dosyć mężczyzn w swoim życiu. Każdy prowadzi jakieś bezsensowne gierki, żaden nie potrafi być szczery. Po co?! Dlaczego nie można otwarcie poprosić o miłość, jeśli chce się kochać, o pomoc, jeśli się jej potrzebuje, o przyjaźń, jeśli czuje się samotność? Dlaczego ludzie stracili jasną i prostą umiejętność porozumiewania się? Czy naprawdę muszą wszystko komplikować?!

Marcie przychodził na myśl jeden cudownie prosty człowiek: Mateusz. I może jeszcze Nataniel. Tak, tych dwóch nie pogrywało uczuciami innych. Oni byli uczciwi w stosunku do innych i do siebie. Jeśli kochali, to całym sercem, całą duszą. Jeśli nienawidzili... Marta wolałaby nie wiedzieć, jak to jest być znienawidzoną przez kogoś z przyjaciół.

Nie pojechała prosto do domu, wiedząc, że jest pusty. Emilkę parę dni temu zabrał ze szpitala Nataniel i od tej pory on zajmował się dzieckiem. Marta przyznała ze wstydem, że – zapadając w szpitalną codzienność – zapomniała zapytać chłopaka, czy nie ma innych planów i dziewczynka, którą do tej pory ona się opiekowała, nie będzie mu w tych planach przeszkadzać. Ale Nataniel nie prosił o pomoc. Widać sobie radził.

– Wyboru nie ma – mruknęła pod nosem. – Bądź co bądź, jemu powierzono dziecko.

Wjeżdżając na polanę przed leśniczówką, pierwszym, co ujrzała, była właśnie Emilka, uganiająca się za uszczęśliwionym, rozszczękanym Reksiem. Gdy tylko zatrzymała samochód, pobiegli w jej kierunku.

– Ciociu! – Dziewczynka z rozpędem wpadła w rozpostarte ramiona Marty. – Tęskniłam za tobą! Za wujkiem Natanielem też tęsknię – dodała. – Pojechał do mamusi, wiesz?

Marta wypuściła dziecko z objąć, wcześniej utuliwszy je i ucałowawszy.

– Widzę, że nic się nie da ukryć w tej rodzinie – odezwał się Mateusz, podchodząc do nich. – Mały nadajnik wszystko wyśpiewa. Witaj, moja duszko! – Teraz on z kolei obejmował Martę i nie chciał wypuścić jej z ramion. – Schudłaś przez ten tydzień czy mi się zdaje?

– Chciałabym – odparła ze śmiechem. Jak dobrze znaleźć się wśród przyjaciół, którzy niczego od ciebie nie chcą. Wystarczy, że jesteś. – Nataniel pojechał do Iwony? – Jej uśmiech znikł tak nagle, jak się pojawił.

– Taaak. – Odpowiedź Mateusza, zerkającego przy tym na Emilkę, wydała się Marcie bardzo zastanawiająca. – Wejdiesz? Ziemniaczki z koperkiem będą serwowane. I kotlecik schabowy dla Miluszki.

– Lubię kotleciki, które robi wujek Mateusz. Ty też polubisz, ciociu – stwierdziła dziewczynka i wzięła kobietę za rękę.

Marta, chcąc nie chcąc, dała się zaprosić na obiad, czemu Mateusz był oczywiście rad i nie próbował tej radości ukrywać. Kobiecie przyszło nagle do głowy, że ta prostota jest jego zaletą, ale i wadą. Choćby nie wiem jak psioczyła na zagrywki Sodarowa, właśnie nieobliczalność tego mężczyzny najbardziej ją pociągała.

Emilka pobiegła myć ręce, z nieodłącznym Reksiem u nogi, Mateusz mógł więc powiedzieć coś więcej:

– Iwona próbowała popełnić samobójstwo – zaczął przyciszonym głosem, chociaż dziecko nie mogło go słyszeć. – Leży w szpitalu psychiatrycznym. Proszono Nataniela, jako najbliższą osobę, by przyjechał, więc ruszył niczym księżę w lśniącej zbroi na ratunek swej księżniczce.

– To prostytutka, nie księżniczka – sprostowała zimno Marta. – Miałam nadzieję, że odkochał się w niej raz na zawsze.

– Miłość nie ma tu nic do rzeczy. Po prostu uznał, że tak trzeba. – W głosie Mateusza też zabrzmiał chłód, który zdumiał kobietę. – Ty również pognałaś do Sodarowa, gdy tylko znalazł się w tarapatkach. Nie musieliśmy cię specjalnie prosić i namawiać. Oczywiście to dobrze! Bardzo się chwali pomoc bliźniemu! – zastrzegł, zanim poczuła się urażona.

Spuściła wzrok. Siergiej był dla niej kimś więcej niż li tylko „bliźnim”, o czym Mateusz doskonale wiedział.

– Będzie trzeci dzień, jak Nataniela nie ma – mówił dalej, by zapełnić słowami pustkę między Martą a nim. – Dzwonił wczoraj, że z Iwoną jest lepiej, ale nadal wymaga opieki. Jego opieki.

– To szpital. Są tam chyba lekarze i pielęgniarki – sarknęła, zdumiewając samą siebie. Co właściwie miała do Nataniela? Fakt, że nie opuścił dawnej sympatii, gdy ta potrzebuje pomocy, raczej się młodemu mężczyźnie chwalił, czyż nie?

„Nie” – odpowiedziała sobie w duchu. „Powinien być teraz z moją Oliwią. Jej nadskakiwać, a nie jakiejś lafiryndzie, ulicznicy, zwykłej dziwce”.

– Wraca jutro – dokończył Mateusz, słysząc, że Emilka zakręciła wodę w kranie i lada moment będzie z powrotem. – My sobie w trójkę, a gdy dołącza do nas Trusia, to nawet w czworo, całkiem dobrze radzimy.

– Przerzucił wszystko, swój dom i swoje zwierzęta, rancho Sodarowa i jego konie, na twoje barki i pognał, ot tak, na pstryknięcie księżniczki, bo ta...

– Pognał na pstryknięcie więziennego psychologa, Martuś – odezwał się półgłosem, widząc wchodzącą do kuchni Emilkę. – A ja nie śmiałem go zatrzymać. Radzę sobie i z jego zwierzętami, i ze stajnią Siergieja. Emilka dzielnie mi pomaga. – Pogłaskał dziewczynkę po głowie. Ona przytuliła się do jego ramienia. – Ta sama Emilka, którą ciocia Marta do niedawna się zajmowała, ale teraz ma ważne sprawy w szpitalu.

Wcale, po prostu w ogóle nie wbił tym Marcie szpilki...

– Bo ciocia Marta jest lekaarzem – zaśpiewała dziewczynka, obejmując w pół kobietę i unosząc na nią uśmiechniętą buzię. – Leczy choore dzieci.

– Tak. Przyjęłam etat – rzekła Marta. – Od jutra naprawdę będę leczyć chore dzieci.

– To wspaniale! – krzyknął Mateusz, szczerze uradowany. – O ile jesteś na to gotowa...

– Jestem. – Odpowiedziała uśmiechem na jego uśmiech. – Prawdę mówiąc, podczas ostatnich dni serce mi się wyrywało do małych pacjentów. Nie potrafię być li tylko wolontariuszką. Chcę być lekarzem z prawdziwego zdarzenia.

– Cóż się dziwić, to dla ciebie nie zawód, a powołanie!

Przytaknęła, opłukała ręce przy kuchennym zlewie i usiadła do stołu, zastawionego prostymi, niewyszukanymi talerzami – niektóre nosiły jeszcze charakterystyczny emblemat spółdzielni „Społem” – i... poczuła się jak w domu. Jakby wróciła pod rodzinny dach po długiej, bardzo długiej wędrówce. Patrzyła, jak Mateusz krząta się przy garnkach, nakładając każdemu sutą łyżkę ziemniaczków, polewając je tłuszczem z kotletów schabowych i posypując koperkiem. Jak nalewa do wyszczerbionych kubków gęste zsiadłe mleko.

Czując na sobie spojrzenie kobiety, obejrzał się przez ramię i posłał jej ciepły, serdeczny uśmiech, jak to Mateusz.

– Głodna? – zapytał domyślnie.

Skinęła głową, a gdy postawił przed nią pierwszą talerz pełen smakowicie pachnącego jedzenia, pochyliła się nad nim, żeby ukryć łzy, które nie wiadomo skąd i dlaczego napłynęły jej do oczu. Naprawdę nie mogła pokochać tego mężczyzny? Był za prosty dla wspaniałej pani doktor? Potrzebowała do szczęścia komplikacji?

„Przyjąc czystą, szczerą miłość drugiego człowieka: takie to trudne dla ciebie?” – zapytała w duchu. Odpowiedzi nie było.

Po obiedzie, gdy Emilka pobiegła na dwór, a oni usiedli na ganku z kubkami malinowej herbaty w rękach, Marta odezwała się:

– Myślisz, że Nataniel powtórnie da szansę Iwonie? Miałam nadzieję, że przypadli sobie do serca z moją Oliwią...

Mateusz pochylił się tak gwałtownie, że wylał na kolana gorący płyn. O mało kubka nie upuścił, prawdę mówiąc. Marta podała mu ścierkę i mówiła dalej, zupełnie nie zauważając jego zmieszania:

– Wydawali się szczęśliwi wtedy, w Boże Narodzenie. Więcej: sprawiali wrażenie bardzo... zaprzyjaźnionych, jeśli wiesz, co mam na myśli. Podejrzewam, że parę razy, gdy zniknęliśmy im z oczu, nie tylko trzymali się za rączki, ale i... – zawiesiła głos.

Mężczyzna nie patrzył na nią, co Marcie wydało się naraz podejrzane.

– Nie mów, że się spotykają! – wykrzyknęła nagle.

– Nic mi o tym nie wiadomo – uspokoił ją, a przynajmniej tak mu się wydawało, bo ona mruknęła:

– Szkoda. Gdyby Nataniel się bardziej postarał, może coś by z tego wyszło i dziś skakałby dookoła Oliwii, a nie Iwony.

Mateusz nie wiedział, gdzie oczy podziać z zakłopotania. Chciał wykrzyknąć: „Owszem, Nat się postarał, nawet nie wiesz, jak bardzo! Za pół roku ujrzysz efekt jego starań! I nie jesteśmy pewni, czy będziesz tym zachwycona!”, ale musiał milczeć. Nie do niego należało przekazanie Marcie owej wiadomości. Tej, że Nataniel i Oliwia darzą się nie miłością, a czymś całkiem przeciwnym, również.

Marta nie będzie zachwycona, oj nie...

Uznał, że zmiana tematu będzie wybawieniem:

– Jutro więc zaczynasz pracę w Olsztynie? Będziesz dojeżdżała... Zamęczysz się!

– Dla mnie to nie praca, tylko sama radość. – Uśmiechnęła się w odpowiedzi. – A dojazdy... Będę odpoczywała w drodze. Myśli zbiorę.

– Martuś, tylko proszę cię, dbaj o siebie. Pamiętaj o swoim zdrowiu, o odpoczynku. Przecież nie chcesz, żeby powtórzyło się to, co sześć lat temu. Wtedy popełniłaś błąd właśnie przez przemęczenie. – Ujął dłoń kobiety gestem tak czułym i serdecznym, aż poczuła ciepło w sercu.

Kochany Mateusz... Przyglądała się przez chwilę okrągłej, zaczerwienionej od pracy na dworze twarzy mężczyzny, nie najpiękniejszej, ale za to poczciwej, dobrym błękitnym oczom, teraz posmutniałym, ustom okolonym siwym zarostem i dłońmi, nie smukłym jak u Huberta, a silnym, szorstkim ręką człowieka, który całe życie ciężko harował. Czy potrafiłaby obdarować tego mężczyznę czymś więcej niż przyjaźnią? Westchnęła w duchu i zaprzeczyła. Unieszczęśliwiłaby jego – wzdychając do takich Sodarowów czy innych Jarków Hubertów – i siebie.

Wyswobodziła delikatnie rękę.

On też westchnął z głębi duszy, zapatrzony w złociste oczy Marty i jej piękne, karminowe usta, nie dla niego jednakże, nie dla niego...

– Kiedy wypisują Siergieja? – zapytał szorstkim tonem, zupełnie jakby czytał w jej myślach. Nawet w chwili takiej bliskości myślała o innym.

Wzruszyła ramionami.

– Nie spowiadał mi się.

On spojrzał na kobietę zdziwiony.

– Myślałem, żeście się pogodzili. Gdy go przywiozłaś, wyglądałaś na szczęśliwą.

– Krótka trwało to moje szczęście – odparła niechętnie. – Wiesz, jaki jest Sodarow. To on kupił mój dom. – Mówiąc to, posłała Mateuszowi uważne spojrzenie. – Nie jesteś zaskoczony? Wiedziałeś?

– Odszukaliśmy z Natanielem właściciela spółki, która kupiła dworek, i tak, owszem, znaleźliśmy w rejestrze nazwisko Sodarowa. Nie wiedzieliśmy jedynie, po co to uczynił i co chce z dworem zrobić...

– Oddać mi.

– Tak po prostu? Bez żadnych warunków czy żądań?

– Uznał, że tym mnie przebłaga. Kupił dwór, żeby nikt go nie ubiegł, a teraz chce mi go oddać z powrotem.

– A ty? – zapytał Mateusz ostrożnie.

– Nic nie przyjmę od tego łotra, ale odkupić dworek – owszem, odkupię. Bardzo kocham to miejsce – dodała z głębi serca. – Siergiej uznał, że przez niego nie mogę stracić także domu. Miłe z jego strony, prawda? – Mówiła te słowa, myśląc jednak o czymś zupełnie innym. Czy raczej o kimś innym. – Czy wiesz, że... on, Siergiej, chciał spłacić wierzycieli Iwony? – rzuciła z nagłą złością. – Po to wyjechał na tę wojnę, żeby zdobyć pieniądze na długi tej latawicy. Przyszłoby ci to do głowy?

Mateusz zaprzeczył, chociaż... nie był zdziwiony. Dziewczyna była naprawdę piękna. Bardzo piękna. Skoro stracił dla niej głowę ktoś tak przewidywalny jak Nataniel, dlaczego nie Sodarow? Ale tego lepiej Marcie nie uzmysławiać. Nadal czuła słabość do tego łotra i nie darzyła Iwony sympatią. Po co dolewać oliwy do ognia?

– I spłaci te długi. Moimi pieniędzmi – dodała z goryczą.

– Raczej swoimi – zauważył. – Wydał je na dom i teraz odzyska. To są jego pieniądze.

– Chyba nie bierzesz strony Sodarowa?!

– Staram się być uczciwy w osądach.

Marta opadła z powrotem na oparcie fotela.

– Dlaczego nikt się tak nie martwi o Oliwię? – odezwała się z żalem.

– Ty się martwisz wystarczająco. – Poklepał ją po ręce. – Dziewczyna mieszka sobie w wielkim mieście, wysyła jej pieniądze na czynsz, jedzenie, ciuszki i kosmetyki... Doprawdy żyć nie umierać. Skończyła to hotelarstwo chociaż?

Marta posłała mu miążdzące spojrzenie. Studia Oliwii były tematem tabu. Licencjat powinna skończyć trzy lata temu, a na którym roku obecnie była? Ona sama nie miała chyba pojęcia.

– Nie chcę cię potępiać, moja duszko, ale ciężko pracujesz, utrzymując zdrową, młodą dziewczynę. Nie dziw się, że cię nie szanuje.

– Wręcz przeciwnie! Powinna to doceniać!

– Pozwalasz się wykorzystywać, a ona zdaje sobie z tego sprawę. Nie szanujemy kogoś, kto powinien być silny, dorosły, stanowczy, a jest słabszy od nas. Możemy go kochać, owszem, ale szacunku w tej miłości co kot napłakał.

– I co według ciebie mam zrobić? Odciąć się od jedyne dziecko? Zostawić je na pastwę losu?

– Odciąć dziecko od niewymagającego wysiłku dopływu gotówki. Oliwia dawno skończyła osiemnaście lat, naprawdę czas najwyższy, by stanęła na własnych nogach. Czy ty, tak szczerze, szanowałabyś dorosłego, zdrowego nieroba? Pasożytującego na niebogatej matce?

Marta podniosła się gwałtownie.

– Odpowiedź znasz – warknęła. – Mimo to będę wysyłała jej pieniądze, bo jeśli przestanę, ona znieawidzi mnie zupełnie.

– I co wtedy? Nie będzie dzwonić co wieczór? Przyjeżdżać w każdy weekend na

domowe obiady? Czy może kartki na święta i urodziny ci nie wysła? – zapytał Mateusz, wiedząc, że Oliwia nie dzwoni, nie przyjeżdża i nie przysyła matce życzeń. Żadnych.

Marta odwróciła się, by nie widział wyrazu jej twarzy w tej chwili.

– Dopóki będziesz tak uległa wobec Oliwii, ona będzie okrutna w stosunku do ciebie, Martuś – powiedział łagodnie, zostając tam, gdzie był.

Gdyby teraz próbował objąć przyjaciółkę, prawdopodobnie zarobiłby w twarz, a już na pewno straciłby ją na długo. Ktoś musiał jednak uzmysłwić Marcie całą bolesną prawdę.

– Nie szanuje się niewolnika, choćby nie wiem jak był przydatny...

– Coś ty powiedział?! – Aż pobladła z gniewu.

– Przepraszam, duszko, to było niezbyt szczęśliwe porównanie – w głosie mężczyzny zabrzmiało błaganie. I jeszcze lęk, że straci nawet tę przyjaźń, którą Marta dlań miała.

– Sam sobie odpowiedziałeś, dlaczego nie potrafię pokochać ciebie – wycedziła i wsiadła do samochodu. Po chwili nawet pył z leśnej drogi, którą odjechała, się rozwiął i Mateuszowi nie zostało już nic.





T

rzy długie, nieskończenie długie dni – z przerwami na sen, szybką toaletę i wrzucenie czegoś na ząb – spędził Nataniel przy łóżku Iwony.

Była nieprzytomna. Podłączono ją do rurek i monitorów. Z dwóch kroplówek monotonnie spływał do jej żył przezroczysty płyn. On siedział nieruchomo w fotelu, który – ujęte jego niewzruszonym trwaniem – przyniosły pielęgniarki, i... rozmyślał, od czasu do czasu poprawiając poduszkę pod głową dziewczyny albo biorąc ją za rękę, by czuła, że nie jest sama po tamtej stronie.

A miał o czym myśleć.

Oto kobieta, która dała mu tyle radości i rozkoszy, żeby na koniec podle zranić, tkwi na granicy życia i śmierci ze straszną siną pręgą na szyi. On mieszka jak gdyby nigdy nic w pięknym domku nad jeziorem, opiekuje się jej córeczką, ma przyjaciół, oddanych, wiernych przyjaciół, i na przekór losowi jest szczęśliwy... A raczej był. Bo oto zjawia się druga kobieta i postępuje z nim dokładnie tak jak Iwona. Za chwilę zapomnienia również każe mu płacić wysoką cenę, bardzo wysoką. I nie chodzi tu nawet o dziecko, które za pół roku przyjdzie na świat – Nataniel przyjąłby jego narodziny z taką radością jak wzięcie pod swój dach Emilki – ale resztę życia, z którego Oliwia, był tego dziwnie pewien, uczyni im piekło.

Była to trzecia doba przy łóżku chorej, gdy Nataniel wyprostował się nagle i rzekł półgłosem do siebie samego:

– Nie ma mowy, facet. Po prostu nie. Oliwia musi obejść się smakiem. Dziecko uznasz, będziesz na nie łożył, ale niewolnika to ona z ciebie nie zrobi. Nie ożenisz się z tą wiedźmą.

Odetchnął głęboko, czując wszechogarniającą ulgę. Przed nim droga przez mękę, zdawał sobie z tego sprawę. Oliwia tak łatwo nie odpuści, był o tym przekonany. On sam prawdopodobnie straci również przyjaźń Marty, ale za bardzo cenił życie, by zmarnować je sobie doszczętnie. I biednemu dziecku także. Lepiej wychowywać się bez ojca niż w piekle.

Sięgnął po telefon, wybrał numer Oliwii, by przekazać jej swoją decyzję, ale nie odebrała. Jak zwykle. Napisał więc esemesa. „Przykro mi, ale cofam słowo. Nie ożenię

się z Tobą”. Odpowiedź nadeszła natychmiast, była krótka i treściwa: „Niech cię szlag, skurwielu!!”. I potem jeszcze jedna: „Zobaczmy!!”. Wyłączył komórkę, cisnął do kieszeni kurtki i z powrotem zagłębił się w fotelu.

Cisza i półmrok panujące w pokoju dawały ukojenie.

Dłoń Iwony, tak chuda, że niemal przezroczysta, drgnęła leciutko. Ujął ją delikatnie, jakby to było złamane skrzydło pisklęcia. Wyszeptał imię dziewczyny. Uniósł odrobinę powieki, próbowała się uśmiechnąć, poznając go.

– Do-ku-men-ty... – powiedziała cicho. Niemal bezgłośnie.

– Ciii, odpoczywaj. Już wszystko dobrze. Jestem tutaj.

– On ma do-ku-men-ty...

Przybliżył się, by słyszeć, co ona z takim trudem usiłuje mu powiedzieć.

– Kto? O kim mówisz, Iwonko?

– Sier-giej. Ma do-ku-men-ty.

– To nie jest na razie ważne. Powiesz mi wszystko, gdy nabierzesz sił.

– Oj-ciec E-mil-ki.

Nataniel zmartwił. Jeśli Iwona powie mu teraz, że Sodarow jest jednak ojcem tego dziecka, tylko zapomniał się przyznać, zabije sukinsyna!

– Sier-giej wie, kim on jest. – Umilkła, opadła z sił.

Nataniel osunął się na fotel, również wyprany z resztek energii. Sodarow znał przeszłość dziewczynki i nic mu nie powiedział?! I tak go zabije! A może... tamten miał dobry powód, by to przed nim zataić?

„Miałeś nie osądzać ludzi, zanim nie poznasz, co mają do powiedzenia na swoją obronę” – przypomniało mu sumienie.

– Idź już – usłyszał słowa cichsze niż westchnienie. – Znajdź go.

Uniósł głowę, spojrzał na Iwonę pytająco, ale ona zapadła z powrotem w letarg. Nataniel zrozumiał, że nic tu po nim. Ta kobieta zleciła mu misję odnalezienia ojca swojej córeczki. Było to być może ostatnie życzenie Iwony. Gdy przed trzema dniami zobaczył ją tu, w szpitalu, sprawiała wrażenie umierającej, jakby trzymała się życia ostatkiem sił. Lekarze nie umieli powiedzieć, czy wygra tę walkę. Jeżeli Nataniel mógł coś dla niej zrobić, coś ważnego, najważniejszego na świecie choćby dla małej dziewczynki, nie mógł się sprzeciwić.

Pochylił się nad nieruchomą sylwetką. Dotknął zapadniętego policzka opuszkami palców.

– Znajdę go – szepnął. – A ty wytrzymaj. Dziecko musi mieć także matkę. Emilka za tobą tęskni i bardzo cię kocha.

Po zapadniętym policzku dziewczyny spłynęła samotna łza. Otarł ją delikatnie. Dotknął kiedyś lśniących czarnych, teraz splątanych włosów, żegnając się bez słów.

Przed nim była długa droga do domu. Nawet się nie domyślał, jak długa.

## ROZDZIAŁ XXII



Do Sennej dotarł dobrze po północy. Mimo tak późnej pory srebrne suzuki śledziła para pełnych złości oczu, z czego Nataniel nie zdawał sobie sprawy. Chociaż może powinien. Warto znać wroga, szczególnie takiego, któremu podeptałeś uczucia. Wystarczy jedna iskra, żeby miłość spłonęła w ogniu nienawiści, a taką iskry kilka miesięcy temu Nataniel wykrzesał.

Wysiadł półżywy z samochodu. Rozprostował grzbiet i... znieruchomiał, widząc oparty o framugę drzwi, drzwi jego domu!, czarny cień. Ten poruszył się i dał krok do przodu, w krąg świecącej nad gankiem latarni.

– Czekałem na ciebie – odezwał się Marek Sidło, bo to był on.

– I doczekałeś się – odmruknął Nataniel, oddychając z ulgą, bo przez chwilę, nie wiedząc, kto czai się w ciemnościach, poczuł zwykły ludzki strach. Gdyby ktoś chciał go napaść, okraść albo zabić, spokojnie mógł się nie krępować. Nikt by krzyku chłopaka nie usłyszał.

– Streszczaj się z łaski swej, bo jestem skonany – dodał, podchodząc do intruza.

– Nie zaprosisz do środka? – odparł Sidło z ironią.

– Nie.

– Panicz Domoradzki gardzi wieśniakami?

– Wysil się na co innego, pętaku – prychnął Nataniel, stając z tamtym twarzą w twarz.

Byli tego samego wzrostu, zbudowani równie dobrze, i gdyby wszczęli bójkę, nie wiadomo, który byłby górą. Obaj o tym wiedzieli i żadnemu nie spieszyło się do mordobicia. Chyba że jeden zagrałby nieczysto, na przykład kopiąc drugiego w niesprawną nogę, ooo, wtedy byłoby po herbacie.

– Daj jej spokój – wycedził Sidło. – A ja dam spokój tobie.

Nataniel wytrzeszczył na niego oczy w nieudawanym zdumieniu.

– O kim mówisz, do cholery?! O Oliwii Kraszewskiej?! Marcie?! Iwonie?! Komu niby mam „dać spokój”?!

– Aśce Jarzabek.

– Aaaa, tej. Dobra. Opuuszczam. Bierz ją sobie.

– Ty nic nie wiesz? – Sidło nagle zrozumiał. – No tak. Ostatnio nie widać we wsi ani ciebie, ani reszty partyzantów. Tak na was wołamy, że niby ukryci po lasach siedzicie – wyjaśnił, bo Nataniel znów zrobił minę, jakby nic nie pojmował. – Nie przyjeżdżacie do wsi, więc nie wiecie, jakie brewerie wyprawia Aśka. Ponoć truć się

próbowała.

Nataniel... nic na to nie odpowiedział. Po prostu czuł, jak stały grunt, ledwo zdołał do niego dotrzeć, ponownie usuwa mu się spod nóg.

– A teraz co z nią? – zapytał cicho.

– Nie wiem. Jarząbek obcych do chałupy nie wpuszcza. To na twoim punkcie szajba jej odbiła! – Zrobił krok w przód, pobladły z wściekłości. – Przez ciebie, pierdolony warszawiaku, dziewczynę tracę!

– Przestań ją tłuc, to wróci.

– Przestań mędrkować, bo ryj obję!

– Próbuj.

Sidło zacisnął pięści, z trudem panując nad szczerą chęcią przywalenia wrogowi prosto w tę śliczną, miastową buźkę. Ale tamten naraz powiedział coś, co sprawiło, że ręce mu opadły:

– To nie ma sensu. Serio. Ja nie chcę twojej dziewczyny. Nie wiem, co mam jeszcze zrobić, jak ją obrazić, by dała mi spokój. Tak, dobrze słyszysz, powiedziałem do jej ojca kilka słów za dużo, podłych słów, na które Aśka nie zasługuje. Słyszała wszystko. I mimo to mówisz, że jej nie przeszło?

Marek Sidło pokręcił głową.

– Masz jakiś pomysł? – zapytał Nataniel zupełnie serio. – Co mam zrobić, by dała sobie spokój?

– Wyjedź i nie wracaj.

– Nie ma takiej opcji. Tu mieszkam. Tu jest mój dom. I tu zostanę – odparł stanowczo.

– Pamiętaj, że ostrzegałem.

Nataniel bez słów, samym spojrzeniem, poradził mu, żeby spadał.

Gdy sołtysiak wreszcie odszedł, chłopak usiadł na schodkach ganku i wpił palce we włosy. Do całej reszty jeszcze tylko problemów z ludźmi ze wsi mu brakowało. Nie wystarczy, że Iwona jest w szpitalu – druga, oszalała z miłości czy tam nienawiści, też chce psychiatryk zaliczyć. A wina spadnie na niego, Nataniela. To jego przeklą w okolicy, jeśli Aśce coś się stanie.

Zaraz z samego rana podjedzie do Jarząbków i spróbuje porozmawiać z dziewczyną rozsądnie. Ale teraz musi się położyć, o ile ma dożyć świtu. Musi spokojnie przespać resztę nocy...

Martę obudziło pukanie do drzwi. Głośne, natarczywe. Poderwała się z łóżka. Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi. Był środek nocy! Nikt, kto ma dobre intencje, nie dobija się do ludzi o tej porze!

Wstała i na palcach pobiegła do salonu. Wzięła pogrzebacz – żadnej innej broni nie miała – i z nim w spoconej ręce podeszła do drzwi.

– Kto tam? – zapytała ostro.

– Otwórz, to ja – odpowiedział znajomy głos.

Ulga mało nie zbiła jej z nóg.

– Sodarow! – Zabrzmiało to jak przekleństwo. – Czego chcesz?!

– Wpuść mnie.

– Nie chcę cię wpuszczać! Jest środek nocy! Przeraziłeś mnie!

– Wpuść, przecież cię nie skrzywdzę.

– Kto cię tam wie – mruknęła, przekręcając klucz w zamku.

I oto Siergiej Sodarow, ubrany jak to on, w czarną koszulę, czarną kurtkę i także spodnie, wchodził do dworu jak do siebie. Bogiem a prawdą, był w tej chwili bardziej u siebie niż Marta.

Ona chwyciła chustę z wieszaka, zarzuciła na ramiona i próbowała ukryć prześwitujące przez koszulę nocną krągłości, jakby zapomniała, że ten mężczyzna nieraz widział ją nagą.

– Co tu właściwie robisz, zamiast dochodzić do zdrowia? – rzuciła nieprzyjaznym tonem. Czowała się w jego obecności bardzo nieswojo. – Całkiem niedawno byłeś torturowany, o ile pamiętam.

– Urwałem się ze szpitala – odmruknął, próbując nie patrzeć na piersi kobiety, wyraźnie rysujące się pod cienką bawełną. – Mam parę pilnych spraw do załatwienia.

– Teraz?! W środku nocy?! – jęknęła nieomal. – Nie mogły te sprawy poczekać do rana?!

– Gdzie Nataniel?

– A co ma Nataniel do twoich spraw, na miłość boską?!

– Dostał wiadomość, że Iwona próbowała się zabić?

– Teraz ten mi wyjeżdża z tą całą Iwoną! Poszaleliście? Chuć wam mózgi wyżarła?

– Marta, wiem, że jest późno. Wiem, że wyrwałem cię ze snu, ale spróbuj się opanować – powiedział to spokojnie i z takim naciskiem, że wzięła głęboki oddech, przyznając mu w duchu rację. – Przepraszam, że przychodzę nie w porę, ale z godzinę temu udało mi się wyprosić od pielęgniarek ładowarkę do mojej przedpotopowej nokii. Gdy tylko ją podładowałem, zaczęły przychodzić wiadomości. Odsłuchałem, odczytałem i jedna z nich sprawiła, że po prostu nie mogłem dłużej się wylegiwać...

– Byłeś w szpitalu, nie na wczasach! Po ciężkich torturach! – przypomniała mu z gniewem. Ryzykował ponownym otwarciem się ran. Ledwo zagojony oczodół może zacząć krwawić. Silnie krwawić. Kto go wtedy opatrzy?!

– Słuchaj, nie budziłbym cię po nocy, gdyby sprawa nie była ważna. I pilna. – W głosie mężczyzny zabrzmiało błaganie.

– Twoja Iwonka przeżyła. Jest z nią Nataniel. Niczego nie zmienisz i niczego nie przyspieszysz, ryzykując głupio własnym zdrowiem.

Siergiej odetchnął głęboko. Przegarnął czarne włosy dłonią. Tą zdrową.

– To dobrze. Dobry chłopak z tego Nataniela. Podziękuj mu w moim imieniu, gdy go spotkasz.

– Nie omieszkam – odparła ironicznie. – Co ta Iwona w sobie takiego ma, że dwóch, zdawałoby się, twardych facetów kompletnie straciło dla niej głowę?

– Nie straciłem dla nikogo głowy – wycedził. – Niewiele łączy mnie z tą dziewczyną. Była to li tylko luźna znajomość.

– Nie była taka luźna. Powiedziałabym raczej, że dogłębna. I to dosłownie.

Uśmiechnął się krzywo.

– Nie do twarzy ci, moja droga, z zazdrością. O kogoś takiego jak Iwona Bugaj na

dodatek.

– Nie jestem zazdrosna! Po prostu wkurza mnie, że tańczycie wszyscy, jak ona wam zagra! Idzie siedzieć, przysyła dziecko facetowi, którego zdradziła, ten oczywiście bez słowa protestu bierze małą pod opiekę. Ona truje się, czy co tam robi, wysyła esemesa do drugiego, ten urywa się ze szpitala, pal lichy wydłubane oko, pęknięte żebra i odcięte palce, i gna na pomoc księżniczce. A teraz powtórz, że nie odbiło ci na jej punkcie i nic do niej nie czujesz! – dokończyła, z trudem panując nad łzami.

Znalazła się w jego objęciach tak nagle, że nie zdążyła go odepchnąć. Chwilę walczyła, by się wyswobodzić, ale trzymał mocno.

– Martuś, jedyną kobietą, na której punkcie kiedykolwiek mi odbiło, jesteś ty – odezwał się miękko. – I do żadnej nie czułem tego, co do ciebie. Z tamtą los skrzyżował moje ścieżki, ją miałem przez kilka chwil jak mężczyzna kobietę, ale ciebie mam w sercu zawsze. Nigdy nie wybacysz mi tamtej zdrady. Nie próbuj zaprzeczać, nie obiecuj, po prostu ciebie znam. Jesteś za dumna, by pogodzić się z tym, że zapragnąłem innej. Pamiętaj jednak, że tamtej nigdy nie powiedziałem „kocham”, tak jak tobie. Jej nie nazywałem *liubymyja moja*, tak jak ciebie. Pamiętaj o tym, proszę...

Wziął ją pod brodę i zmusił, by spojrzała na niego. Pocałował lekko jej słone od łez usta.

– O mnie też byś tak walczył? Poszedłbyś na wojnę, żebym odzyskała wolność? – zapytała, pragnąc usłyszeć: „Tak”.

– Zrobiłbym dla ciebie wszystko i jeszcze więcej – odparł po prostu. – Nigdy, choćbym nie wiem jak zranił cię słowem albo czynem, nie zwątp w moją miłość do ciebie.

Ujął jej dłoń, wtulił usta w ciepłe wnętrze, a nią ta niewinna pieśczoła wstrząsnęła do głębi. Jeśli kiedykolwiek wmawiała sobie, że nic już do tego mężczyzny nie czuje, teraz miała odpowiedź. Gdy zaczął całować jej szyję, wsuwając rękę pod cienką nocną koszulę, poczuła pragnienie tak przemożne, że aż jęknęła. Wziął to za przyzwolenie i nie błędził dłonią dłużej. Wsunął palce między jej uda. Powilgotniała od razu.

– Naprawdę tego chcesz? – musiał zapytać.

Odpowiedziała pocałunkiem pełnym żaru. Wziął ją na ręce, wtuliła się weń ufnie, jakby między nimi nikt nie stanął, jakby żadna Iwona nie zniszczyła tego zaufania. Zaniósł do sypialni. A potem kochali się w ciszy, czule i łagodnie, jakby to było pożegnanie, a nie nadzieja na odbudowanie z gruzów ich miłości.

Gdy ona w uniesieniu wyszeptała jego imię, a on sięgnął gwiazd z jej imieniem na ustach, splekli się jeszcze mocniej i trwali tak długie chwile, słuchając zgodnego rytmu swoich serc.

Za oknem noc zasrebrzyła się świtem. Wstawał nowy dzień. Dla jednych będzie najszczęśliwszy w życiu, dla drugich najgorszy, dla jeszcze innych po prostu zwyczajny. Jeden z wielu, które przeżyli i które jeszcze przed nimi. Co zgotuje przyszłość tak delikatnemu uczuciu, jakie wiąże w tej magicznej chwili dwie samotne dusze, które raz jeszcze się odnalazły? To wie jedynie prządka trzymająca w dłoniach nici losu.

Marta, szczęśliwa i ukojona, zasypia w ramionach mężczyzny, on, głaszcząc po włosach, ramionach i policzku kobietę, którą jego nieczule serce odważyło się pokochać, przysięga bez słów, że nigdy więcej jej nie skrzywdzi. I czy Siergiej w to wierzy czy nie,

tak właśnie będzie.

## ROZDZIAŁ XXIII



Do wspólnego śniadania, jakby nikt nigdy między nimi nie stanął, usiedli dobrze po dziesiątej. Siergiej wprawdzie wstał wcześniej, ale widząc słodko śpiącą Martę, nie miał sumienia jej budzić. Wymykać się niczym byle kochaś także nie chciał. Objął ją więc, przytulił do piersi i leżał cicho, rozmyślając o tym, co go czeka w najbliższych dniach.

Pierwszym, co zobaczyła po przebudzeniu, był bukietik pierwiosnków, które podkrał z jej ogrodu. Uśmiechnęła się do mężczyzny. Odpowiedział tym samym.

– Siergiej Sodarow romantykiem?

– Tylko dla ciebie. I nie zdradź nikomu, że o tym wiesz.

Przyciągnęła go do siebie, pocałowała. Nie pozostał dłużny.

Kochali się jeszcze raz. Tak samo łagodnie jak przed świtem. Zupełnie jakby płomień, który spalił ich nieomal zeszłego lata, przygasł, a pozostał żar. Trwalszy od płomienia.

Wreszcie syci sobą, ale głodni jak wilki rzucili się do stołu. Aromat świeżo palonej kawy wypełnił dwór. Popisową, lekką jak chmurka jajecznicy, którą Marta przyrządzała dla szczególnych gości, Siergiej wchłonął w kilku kęsach. Po świeże pieczywo Marta nie zdążyła pojechać – on nie wypuścił jej przecież z objęć ani na chwilę – ale ciasto drożdżowe, które upiekła w ostatnią niedzielę, ze świeżym masłem smakowało wybornie.

– Uwielbiam – rzekł, oblizując palce. – Nie wiem, czy bardziej ciebie czy twoje wypieki.

– Szczerzy facet – zaśmiała się. – Zostaniesz chociaż do jutra? – W głosie kobiety zabrzmiała prośba, której on nie mógł spełnić. Jeszcze nie dzisiaj. Ale następnym razem, gdy wypełni obowiązki, może...

Domyśliła się takiej odpowiedzi. Posmutniała.

– Martuś... Wróć przecież. Tak jak zawsze do ciebie wracam. Patrz, tyle kobiet na świecie, a ja kochać potrafię tylko tę jedyną... – Sięgnął po jej dłoń. Zanurzył usta w ciepłym wnętrzu. – O ile ona mnie przyjmie...

Westchnęła tylko, zastanawiając się, czy cieszą ją jego słowa czy też martwią, bo żeby wracać, trzeba najpierw odejść. Podniosła nań złote oczy.

– Przecież wiesz, że tak.

Objął jej kochaną twarz dłońmi i całował długo, jakby na zawsze chciał zapamiętać smak tych ust. Lecz wreszcie musiał wstać i ruszyć swoją drogą. Powiedział to.



– Dam ci pieniądze za dwór. – Poderwała się.  
– Nie chcę...  
– Nie dla ciebie! Dla tej nieszczęsnej dziewczyny! Sam mówiłeś, że nie może wrócić do więzienia, trzeba więc zrobić wszystko, co w naszej mocy, by do tego nie doszło.

Odprowadził kobietę niedowierzającym spojrzeniem. Nie śmiał choćby napomknąć o pieniądzech, których tak bardzo potrzebował dla Iwony, by na powrót nie zrazić do siebie Marty. Ale ktoś, kto jest kochany całym sercem, odnajduje we własnym sercu miłość do całego świata. Jak Marta w tej chwili.

Przyniosła reklamówkę, a w niej spięte banderolami pliki stuzłotówek, położyła na stole przed Siergiejem. On przed chwilą wrócił od samochodu i teraz podawał Marcie akt darowizny dworku. Wzięła dokument w drżące ręce. Podniosła na Siergieja pełen niedowierzania wzrok.

– Nie wierzyłam. Wybacz, kochany, ale nie wierzyłam w twoje słowa. Myślałam, że mamisz mnie kolejną słodką bajeczką. Ale ty mówiłeś prawdę! Nie tylko kupiłeś ten dwór, ale, tak!, z datą wrześnieową zeszłego roku, jeszcze mi go podarowałeś! Dziękuję... – Zarzuciła mu ręce na szyję i zaczęła całować, na przemian śmiejąc się i płacząc. – On był dla mnie taki ważny. Ten mój domek. Dziękuję, kochany.

Zacisnął powiekę jedyne go oka, by zatrzymać łzy. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz był tak szczęśliwy. Jeśli nie liczyć dzisiejszej nocy i tego ranka... chyba w ostatnią noc przed ich rozstaniem. Nie. Wcześniej. Gdy jeszcze nie znał Iwony. Potem miłość do Marty była już zatruta ziarnem zdrady.

– Gdy tylko przekażesz pieniądze adwokatowi, wrócisz? – musiała to wiedzieć. Musiała wierzyć, że dziś on wyjeżdża, by ratować inną kobietę, ale przecież niedługo będzie z powrotem.

– Muszę jeszcze odnaleźć pewnego człowieka. Ale wrócę, *liubymyja moja*. Wrócę do ciebie.



N

ataniel uniósł ciężkie powieki i przez chwilę zbierał myśli. Mimo kilku godzin snu był śmiertelnie zmęczony. Po głowie tłukły mu się wspomnienia wczorajszego dnia i niespodziewane słowa Iwony, które nim wstrząsnęły: Siergiej zna ojca Emilki. Ma dokumenty, ważne dokumenty dotyczące małej. Trzeba jechać do szpitala, porozmawiać z Sodarowem.

Zerwał się z łóżka, jakby nazwisko dawnego wroga, który stał się sprzymierzeńcem, nagle go otrzeźwiło, ubrał się, zjadł coś w biegu, gnany strachem, że czas ucieka, a wraz z nim umyka szansa na wydarcie Siergiejowi cennych informacji, po czym wsiadł do auta i wcisnął gaz. Biedne suzuki, potraktowane ciężką nogą właściciela, wyrwało do przodu.

– Zwolnij, człowieku, bo samochód zarzniesz – mruknął do siebie Nataniel. – Sodarow nie ucieknie.

Zdziwiłby się, czy raczej zdziwi, gdy dojedzie do szpitala i zastanie pokój Siergieja zajęty przez innego pacjenta...

– Nic panu na to nie poradzę. – Lekarz dyżurny rozłożył ręce. – Nie możemy przetrzymywać pacjentów na siłę. Jeśli ktoś chce się wypisać na własne życzenie, to właśnie robimy: wypisujemy.

– On był chory! Ranny! Pobity! Wypuścił pan człowieka w takim stanie?

– Skoro miał tyle sił, by nam pyskować, owszem, wypuściłem. Może pan złożyć zażalenie na niezbyt serdeczną troskę o pacjenta. Dyrektor szpitala: piętro piąte, pokój pięćset sześć. Powodzenia.

Nataniel zmierzył człowieka o poszarzałej ze zmęczenia twarzy przeciągłym spojrzeniem i... odpuścił. Sodarow, przez to, że on, Nataniel, będzie się awanturował, nagle się nie zmaterializuje. Nie było go w szpitalu. Koniec. Kropka. Może Marta będzie wiedziała, gdzie go szukać?

Zbiegł po schodach na oddział pediatriczny.

Lekarka niosła właśnie stos dokumentów do wypełnienia. Powitała młodego mężczyznę ślicznym uśmiechem.

– Cześć, Natuś, co tu robisz? Emilcię zgarnąłeś jakiś czas temu.

Nataniel przyjrzał się kobiecie uważnie. Tak szczęśliwej Marty Kraszewskiej nie widział od dobrych paru miesięcy. Wprost promieniała, niczym zakochana kobieta! Czyżby zniknięcie Sodarowa miało z tym jakiś związek?

– Szukam Siergieja. Wiesz, gdzie on jest?

– Wyjechał w ważnych sprawach. Związanych z twoją Iwoną zresztą – odparła, nie tracąc dobrego humoru.

Nataniel zdumiał się powtórnie. Do niedawna to imię z ledwością przechodziło jej przez krtań, czemu wcale się nie dziwił, dziś zaś rzuca je tak beztrąsko. Co tu się dzieje?!

– Marta... czy ty czasem... Ty i Siergiej?

Splonęła się jak panna na wydaniu.

– To aż tak widać? – Zaśmiała się cicho.

On musiał się uśmiechnąć.

– Widać.

– Wiesz, Nat, każdy zasługuje na drugą szansę. Nieliczni także na trzecią. Ale czwartej nie dawaj nikomu.

– Godne zapamiętania. Ile szans dawałaś Siergiejowi?

– Nie wyczerpał limitu. Ty dasz drugą swojej Iwonie?

Nie odpowiedział. Nie zastanawiał się nad tym, co będzie, gdy dziewczyna wyjdzie z więzienia. Teraz chciał, by w miarę zdrowa opuściła szpital, nie umarła zupełnie sama niczym beański pies.

– Wiesz, gdzie go szukać? – Powrócił do tematu Sodarowa.

Zaprzeczyła.

– Nie wiesz czy nie chcesz mi powiedzieć?

– Dlaczego miałabym coś przed tobą kryć? – zachnęła się. – Siergiej dostał pieniądze, za które ma spłacić wierzycieli Iwony. To być może skróci jej odsiadkę. Przynajmniej on żywi taką nadzieję. Miał jeszcze kogoś odszukać. Ile mu to czasu zabierze? Nie mam pojęcia. Ale skoro ja mogę na niego czekać, ty również wytrzymasz.

Musiał przyznać jej rację. Co to zmieni w życiu Emilki, że pozna swojego tatę parę dni wcześniej czy parę później? Nic. Dziewczynka nie знаła ojca. I może lepiej, by tak zostało...? Skoro Iwona zataiła jego tożsamość, może powinien darować sobie poszukiwania? Musiała komuś przekazać tę informację, w razie gdyby nie przeżyła, ale czy życzy sobie, by w życiu Emilki nagle się ten typ pojawił?

– Wracaj spokojnie do domu, Nat, i zdrzemnij się jeszcze z godzinkę czy dwie. Wyglądasz na równie wymęczonego jak Siergiej parę dni temu.

– Tylko oczy mam w porządku i palców u dłoni mi nie brakuje – odmruknęła.

– I tak trzymaj, kochany, tak trzymaj! – Posłała mu ostatni promienny uśmiech i pobiegła wypełniać dokumenty.

Jemu nie pozostało nic innego, niż wrócić do Sennej i czekać.

Oliwia pisała list do matki. A raczej usiłowała pisać, bo co zdanie czy akapit – skreślała i zaczynała od nowa. Prawdę mówiąc, ten list był także do samej siebie. Dziewczyna próbowała zrozumieć, co w swym dwudziestopięcioletnim życiu zrobiła nie tak, że dziś – zamiast balować z przyjaciółmi w modnej knajpie albo łowić ryby z Natanielem nad jeziorem – siedzi sama w pustym mieszkaniu, zerkając co chwila na

milczący telefon.

Ostatnio pokłóciła się nawet z Jessicą, o jakąś pierdołę oczywiście, ale gdy już zaczęła wylewać na przyjaciółkę wiadro pomyj, jak to miała w zwyczaju, nie skończyła, dopóki Jessica z oczami pełnymi łez, klnąc Oliwię najparszywszymi słowami, wybiegła z jej mieszkania, przyrzekając, że nigdy nie wróci.

Jessica dotrzymywała słowa. Oliwia straciła ostatnią życziwą duszę.

Przygryzła końcówkę długopisu, pochyliła się nad listem i spróbowała ponownie: „Droga Matko...”.

„Matko”?! Litości! Kto tak zwraca się do starej?! Już „Mamo” wyglądałoby lepiej, ale Marta pomyślałaby sobie, że Oliwia na kolanach chce do niej wrócić. Natomiast „Droga Marto” przecież nie wypada. Bądź co bądź, to matka, a nie kumpelka z roku. Może po prostu „Cześć”? Niee...

– Nawet tu robisz problemy – sarknęła, myśląc o matce. – Do czego to podobne, żebym musiała jakieś listy do ciebie pisać! Wiesz, co narobiłaś?! Gdybyś wtedy, sześć lat temu, nie puściła mnie na tę głupią wycieczkę, nie poznałabym pieprzonego Natusia i teraz nie nosiłabym w brzuchu jego bękart! Co ja zrobię z tym dzieciakiem?! Przecież nienawidzę dzieci! Nie umiem się nimi opiekować i nie chcę! Nigdy nie chciałam! Ale tobie o tym wspomnieć, zaraz zalałabyś się łzami albo spojrzała na mnie ze zgrozą i pełnym gorzycy pytaniem: „To coś naprawdę jest moją córką?”, rozczarowana... zawsze mną rozczarowana. A teraz sama urodzę coś, za co kiedyś będę świeciła oczami. Ale spróbowałabym nie urodzić! Usunąć czy oddać do adopcji... Wyklęłabyś mnie jak nic!

Oliwia wiedziała, że krzywdzi matkę tymi słowami. Marta naprawdę ją kochała i zajęłaby się dzieckiem bez względu na to, czyje by było. Jednak nienawidząc samej siebie – tak, to właśnie czuła Oliwia w tej chwili – i wszystkich innych od sześciu lat, przeniosła to uczucie na kogoś, kto nie mógł się bronić: na własną matkę.

Ludzie słabi zawsze znajdują winnych swoich niepowodzeń: rodziców albo dzieci, środowisko, polityków, islamskich terrorystów lub globalne ocieplenie. Zamiast przyznać, że nie wykorzystali szansy czy talentu albo po prostu są zbyt leniwi, by ruszyć się sprzed telewizora – obwiniają resztę świata.

Zamiast wziąć odpowiedzialność za własne życie, słowa i czyny, będą szukać kozła ofiarnego, żeby móc na kogoś przelać żale i nienawiść.

Zamiast uderzyć się w piersi i przyznać przed sobą: tak, to moja wina, spartoliłem życie koncertowo, będą się nad sobą użalać i obrzucać za to błotem kogokolwiek, byle uspić własne sumienie. Takich Oliwii, obrażonych na parszywy los, ludzi i glob cały, jest większość.

Ludzi silnych, którzy będą walczyć o swoje marzenia do ostatniego oddechu – garstka zaledwie. Ale to do nich należy świat. Oni, choćby na kolanach, dotrą na szczyt. Reszta zapłaci im za to nienawiścią, obrzuci zawistnymi słowami, skaże na ostracyzm, bo to o wiele łatwiejsze, niż ruszyć w ich ślady.

Oliwię, cieplarnianą paprotkę, którą matka chowała z dala od problemów dnia codziennego, pierwsze nieszczęście cofnęło do czasów dzieciństwa, kiedy to można rzucić zabawkami, rozplakać się i obrazić na cały świat. Gdy Marta nie rzuciła się ją głaskać, tulić i uspokajać – bo po prostu nie zwierzyła się matce z tragedii w Tatrach,

obrazila się na nią.

Może gdyby spróbowała wybaczyć – sobie przede wszystkim – z czasem przebaczyłaby też swojej matce, ale wybaczenie zaczyna się od przyznania do błędu, a potem skruchy. I z tym Oliwia miała największy problem. Błędy popełniali inni, nie ona, ta idealna!

Zmiała papier, cisnęła list do kosza.

– Pieprz się! – syknęła i w za dużych kapciach poczłapała do lodówki. Wyjęła butelkę piwa. Spojrzała w dół, na coraz okrągłszy brzuch, rzuciła ponownie: – Ty też się pieprz! – i wypila duszkiem, do dna.

Nie był to pierwszy i nie ostatni taki wieczór.

Nie pierwsza i nie ostatnia butelka piwa.

Jeszcze dokładnie sześć ją czekało. Co do dnia.

Szef Marty – doktor Hubert – okazał się nie taki zły, jak się na to zanosilo. Gdy tylko podpisała umowę, skończyły się umizgi. Mógł podrywać dawną koleżankę ze studiów, ale nie podwładną, co to, to nie. Był rzeczowy, oszczędny w słowach i bardzo kompetentny, nie tylko jeśli chodzi o pacjentów, ale i o kierowanie oddziałem. Marta w mig nabrała do niego zaufania i z radością oddała się pracy.

W pierwszych dniach po sto razy sprawdzała każde wskazanie termometru i ciśnieniomierza, kontrolowała to, co pisze, oceniała, czy dawkowanie leków jest prawidłowe, jednym słowem: nie ufała samej sobie. Ale z każdym dniem koszmarny stres mijał, a zastępowała go czysta radość z wykonywanego zawodu.

W Irlandii również zatrudniono ją jako lekarza, ale w dziale biurowym dublińskiego szpitala, o co sama prosiła. Tak naprawdę była nikim więcej niż sekretarką kontrolującą wypływ leków z apteki. Dziś natomiast z dumą nosiła biały kitel, szła szpitalnymi korytarzami, mając głowę uniesioną, a plecy wyprostowane. Z radością patrzyła w przyszłość.

Całodobowe dyżury nie należały do najłatwiejszych. Etaty obsadzono skąpo – nie było rąk do pracy – pacjentów co niemiara, a przecież każdy zasługiwał na dokładne zbadanie, postawienie diagnozy, zaordynowanie leków, a przede wszystkim odrobinę współczucia. Tego, przed świtem, gdy człowiek leciał z nóg, miało się jak na lekarstwo. Już po dwóch pierwszych dyżurach Marta poczuła swoje czterdzieści siedem, bez dwóch miesięcy, lat.

Gdy po trzecim dotarła do domu, nie miała sił nawet wstąpić do Nataniela i przywitać się z Emilką. Padła na łóżko, zdjawszy jedynie buty, kurtkę i spodnie, wtuliła twarz w rozkosznie miękką poduszkę i zasnęła jak kamień. Ocknęła się późnym wieczorem, gdy w sąsiednim domu pogały już pewnie światła.

Tego jedynie żałowała: braku czasu dla Emilki.

Dziewczynka przez ostatnie miesiące stała się dla Marty całym światem. Dziś ten świat skurczył się do budynku olsztyńskiego szpitala. Lecz coś za coś. Może rano, przed wyjazdem do pracy, wstąpi do chaty nad jeziorem, utuli małą, która – jak Nataniel napomknął podczas rozmowy telefonicznej – tęskni za Martą i kartkę pocztową zaczęła pisać, a jeśli nie nazajutrz, to na pewno w weekend, pierwszy wolny weekend, który przydzielili jej Jarek i Hubert. Tak, wtedy Marta upiecze drożdżowe ciasto, spakuje kosz

smakołyków i wybiorą się całą czwórką: ona, Nataniel, Emilka i Mateusz, na piknik. Dziewczynka będzie zachwycona!

Ze wspomnieniem uśmiechu na buzi dziecka zamknęła oczy i znów zapadła w sen bez snów. Obudzi się za trzy godziny, po to tylko, żeby ujrzeć, jak świat się komuś kończy...

Nataniel nie zapomniał słowa danego Markowi Sidle. Miał porozmawiać poważnie z Aśką. Wybić dziewczynie amory z głowy. Ale czas pomiędzy świtem a nocą – dzielony między opiekę nad zwierzętami i Emilką, pracę nad zleceniami, z których co jedno, to pilniejsze, wreszcie codzienne obowiązki, jakieś tam sprzątanie, gotowanie, a na koniec choć parę chwil kradzionych dla siebie – nie chciał się wydłużyć.

Minął tydzień od nocnej rozmowy, gdy wreszcie zebrał się w sobie, odwiózł dziewczynkę do Mateusza i pojechał swym dzielnym srebrnym suzuki do wsi, do domu Jarząbków.

Nigdy tu nie był, co uświadomił sobie z lekkim wstydem – sąsiadów należałoby choć raz na rok odwiedzić – więc zszokowała go wszechobecna bieda. Obejście było zaniedbane, dom przypominał kurną chatę, a nie miejsce, gdzie w dwudziestym pierwszym wieku mieszka dwoje dorosłych, zdrowych, zdolnych do pracy ludzi. Podłoga lepiła się od brudu, zaś w kuchni, dokąd niechętnie zaprosił go Jarząbek, panował zwyczajny chlew. A przecież Kazimierz był cieślą, złotą rączką, gdy chciał – i nie pił – potrafił zdziałać cuda z kawałkiem drewna, zaś Aśka... kiedyś ponoć gospodarna... Aśka leżała w ciemnym pokoju, w skotłowanej pościeli mimo późnego popołudnia i, cóż, cierpiała męki nieszczęśliwie zakochanej.

– Asia, to ja, Nataniel – odezwał się półgłosem, siadając na skraju łóżka.

Wiedziała, że przyszedł, słyszała, jak rozmawia z jej ojcem, ale musiała odegrać przedstawienie od początku do końca.

Przez chwilę leżała na wznak, przedramieniem zakrywając oczy, po czym rzuciła cicho, zboląłym tonem:

– Daj mi spokój. Zdrajca, parszywy zdrajca. Jak nie posuwa tamtej, czarnowłosej zdziiry, to śliczną córcię pani doktor.

„O czym ona mówi?! Chyba nie widziała mnie z Oliwią?! Te dwa razy, kiedy ze sobą byliśmy... Nikt nas wtedy nie widział!”

– Nie wiem, co masz na myśli, mówiąc „posuwa” – zaczął zimno, mimo że przyszedł tu w pojednawczych zamiarach – ale zdradzić ciebie nie zdradziłem z tego prostego powodu, że nigdy nie byliśmy parą. Nie wyznałem ci miłości, nie obiecywałem, że będę wierny...

Usiadła gwałtownie na łóżku, jej ładną skądinąd twarz wykrzywił grymas nienawiści.

– Pewnie, że nie! Byłeś za bardzo zajęty swoimi dziwkami!

– Aśka, daj spokój. I nie nazywaj ich tak...

– Będę mówiła, co chcę! Co myślę! A ty... Dlaczego jesteś taki? – Nagle zmieniła ton z pełnego złości na żalony. – Zobacz, jedna cię rzuciła, druga też, a ja jestem. Nazwałeś mnie szmatą, a potrafię to wybaczyć, pokochać cię z powrotem.

– Nie chcę twojej miłości, nie rozumiesz? – syknął przez zęby. – Nigdy nie

chciałem i chcieć nie będę. Nie kocham cię. Pojmij to wreszcie: nie-ko-cham-cię!

Patrzyła nań wielkimi, pełnymi łez oczami. Gdyby był lepszym dyplomata, próbowałby ją ułagodzić. Chciał przecież spokojnie mieszkać w Sennej, żyć między ludźmi, do których należeli również Jarząbkowie. Gdyby był lepszym psychologiem, tym bardziej starałby się jak najmniej urazić dziewczynę, bo dojrzałaby na dnie szeroko otwartych oczu nie tylko ból, ale i obłęd.

Ale Nataniel nie był ani dyplomata, ani psychologiem.

Rzucił zimno:

– Odpieprz się wreszcie ode mnie! Daj żyć! – i tym samym przypieczętował los nie tylko swój, ale i tych, których kochał.

Wyszedł, pobladły z gniewu, nie słuchając jej wyzwisk, próśb i lamentów.

– Sorry, próbowałem – mruknął do Kazimierza, który siedział przy stole pełnym brudnych, cuchnących naczyń i milczał ponuro. Wyszedł na otwartą przestrzeń, łapiąc powietrze, jakby chwilę wcześniej zanurzono go w bagnie.

Gdy szedł do samochodu, śledziło go mroczne spojrzenie Marka Sidły. Nataniel widział tamtego, owszem, ale tak jak Aśce Jarząbek, również jemu nie miał nic więcej do powiedzenia. Człowieka można zmusić niemal do wszystkiego. Gdy znajdziesz na niego haka, zrobi, co każesz, powie, co zechcesz, przyzna się nawet do czynów, których nie popełnił. Wystarczy znaleźć czuły punkt i uderzyć... Jednak do miłości nie zmusisz nikogo. Taka prawda.

Nataniel już miał wsiadać do samochodu, gdy nagle dobiegł go znajomy głos:

– Hej, hej! Nat! Poczekaj chwilkę!

Odwrócił się w kierunku tej, która go wołała. Zosia Micińska, prowadząc chwiejający się rower obwieszony siatkami, zdążyła pospieszyć w jego kierunku.

Skoczył, by jej pomóc, bo właśnie jedna z reklamówek zaczęła ześlizgiwać się z rączki.

– O matko, dzięki. Chyba przedobrzyłam. – Pokręciła głową i uśmiechnęła się z zakłopotaniem, gdy wziął od niej jedną z toreb.

Włosy miała dziś splecione w warkocz, przerzucony przez ramię. W białej, letniej sukience, bo popołudnie było bardzo ciepłe jak na kwiecień, wyglądała przeuroczo, niczym panna z dworku przeniesiona tu wprost ze starych rycin.

– Zostawiłeś w lecznicy smycz. Miałam ją podrzucić jeszcze tego samego dnia, ale samochód odmówił posłuszeństwa i widzisz, jak jest. – Z westchnieniem wskazała rower, pamiętający chyba czasy wojny.

– Mogłaś zadzwonić. Podjechałbym. Zabrałbym cię na zakupy, czy gdzie byś chciała.

– Och, dzięki, ale nauczyłam się radzić sobie sama. Wiesz, jak się ma niepełnosprawną mamę, trzeba szybko dorosnąć i liczyć na siebie.

Powiedziała te słowa lekko i naturalnie, żeby nie przyszło mu czasem do głowy litować się nad nią. Nie wiedział wprawdzie, że jej mamie coś dolega, ale nie okazał zdziwienia, za to odrzekł stanowczo:

– Okej, zasada prawidłowa, jednak przyjaciele są po to, by pomóc, gdy trzeba. Dla mnie żadnym problemem nie byłoby podjechać do ciebie. Tak jak problemem nie będzie

zabranie cię do domu. Z tyloma siatami i rowerem, który sprawia wrażenie, jakby miał się zaraz rozpaść, na drugą stronę jeziora po prostu nie dotrzesz. Zostaw ten złom tutaj, poproszę Mateusza, by podrzucił go do lecznicy wieczorem, a sama wskakuj.

Obszedł samochód i otworzył przed dziewczyną drzwi. Uśmiechnęła się zakłopotana, ale wdzięczna.

– Naprawdę...?

– Naprawdę – uciał.

Fajnie było porozmawiać dla odmiany z dziewczyną, która się na ciebie nie rzuca, nie jest zazdrosna, nie wymyśla ci od zdrajców i nie zmusza do miłości. Zatrzasnęła drzwiczki. W tym momencie jego wzrok padł na okno chałupy Jarząbków. Zza firanki śledziły go oczy pełne wściekłości. Widział niemal, jak płonie od niej cienki materiał. Pokręcił głową i wsiadł do samochodu.

– Twoja mama miała wypadek? – zapytał, mając nadzieję, że Zosia nie poczuje się urażona jego ciekawością.

– Nie. Urodziła się z porażeniem mózgowym. Lekkim. Ale to wystarczyło, by uczynić z niej niepełnosprawną. Jednak na co dzień radzi sobie śpiewająco. Naprawdę nie ma dla niej rzeczy niemożliwych. Patrz: urodziła i wychowała, sama jedna!, taką mnie. – Zaśmiała się, naturalnie, bez zakłopotania, a Nataniel niemal pokochał ją za ten niewymuszony śmiech. – No, z pomocą dziadków, oczywiście, bo nie zostawiliby córki przy nadziei, ale po ich śmierci radziła już sobie zupełnie sama.

– Twój ojciec...

– Nie znam go – ucięła.

– Możemy sobie podać ręce. Mój również się zmył, gdy tylko usłyszał, że mama jest w ciąży. – Nieco nagiął fakty, bo nie znał powodu, dla którego ojciec nie zaistniał w jego życiu, ale o tym opowie Zosi kiedy indziej. – Przepraszam, że tak wypytuję, mogę wydać ci się wścibski, ale chcę poznać najbliższych sąsiadów. I nie mam na myśli odległości. Po prostu... wyczuwam w tobie pokrewną duszę. Bez skojarzeń!

– Oczywiście. Bez skojarzeń.

Śliczny miała uśmiech. Taki, że człowiek odruchowo odpowiadał tym samym. Ale nie było w tej dziewczynie ani krzty taniej kokieterii. Ona musiała się taka urodzić: radosna i uśmiechnięta.

Droga na drugą stronę jeziora minęła szybko. Zbyt szybko, jak na gust chłopaka. Być może i Zosi Micińskiej, bo zaproponowała nagle:

– Może wpadłbyś z Emilką dziś wieczorem? Będzie noc spadających gwiazd! – Oczy rozbłyły jej właśnie jak dwie gwiazdy. – Zrobimy grilla, mama upiecze babeczki z kremem karpatkowym, położymy się w ogrodzie otuleni kołdrami i będziemy patrzeć w niebo. Co ty na to? Emilce bardzo się to spodoba, wierz mi. Dzieci uwielbiają gapić się w niebo, szczególnie wtedy, gdy dawno powinny być w łózkach. Chyba że masz inne plany... – skapitulowała nagle, bo słuchał jej w milczeniu.

– Nie. Ten jest bardzo dobry. Super! Jeśli naprawdę to dla was nie kłopot, chętnie wpadniemy.

– Żaden! Mama będzie zachwycona. Rzadko miewamy gości.

– Jesteśmy umówieni. O której zaczyna się imprezka?



– O dziesiątej?

– Dziesiąta. Będziemy. Już teraz rozumiem skąd te zakupy.

Zarumieniła się z zakłopotania.

– Pewnie uważasz mnie za głupią. Tyle siat dla dwóch osób, ale czasem lubimy urządzać „przyjęcia”. Nawet jeśli gości nie widać.

– Tym razem będą.

– Dziękuję, Nataniel. – Lekko dotknęła jego ramienia. – To naprawdę dużo dla mnie znaczy.

„O ile oczywiście przyjedziesz” – dodała w duchu.

Nie знаła go. Nie wiedziała, że zwykł dotrzymywać słowa.

Punkt dziesiąta podjedzie pod dom, w którym Zosia mieszka z chorą mamą, wypakuje kosz smakołyków i podekscytowaną Emilkę na deser. Potem, rozgadani, śmiejąc się co chwila, przejdą do sadu, gdzie na dmuchanych materacach już będą czekały zwinięte kołdry. Podjadając ciasto i babeczki, opowiadając o studiach i życiu w Warszawie, będą wypatrywać pierwszej spadającej gwiazdy, a potem następnych.

Tak zleci dwojgu młodym, bo starsza kobieta i dziewczynka usną szybciej, czas do drugiej w nocy. Właśnie o tej godzinie piękno chwili pryśnie, zmieniając się w koszmar, a czarny aksamit nocy w krwawą lunę.



Martę obudziło złe przeczucie.

Jeszcze przed momentem spała jak zabita – dyżur naprawdę ją umęczył – chwilę później siadała w łóżku z sercem bijącym tak mocno, że aż bolało.

Pozornie dom otulała zwyczajna nocna cisza. Późna godzina sprawiła, że nawet sówki pójdzki, która miała gniazdo w starej gruszy, nie było słyhać. Marta jednak wsłuchiwała się w tę ciszę ze wstrzymanym oddechem.

Coś było nie tak...

Wstała, narzuciła na ramiona ulubiony kardigan i na palcach podszła do okna. Czerń nocy powinna koić, jednak Marta czuła narastające zagrożenie. Jakby do drzemającego dworu zbliżała się fala tsunami, która zmiecie dom i jego mieszkańców z powierzchni ziemi jednym potężnym uderzeniem.

Wiedząc, że nie uśnie, dopóki nie znajdzie przyczyny przerażenia, które ją ogarnęło, przeszła do kuchni, wstawiła wodę na herbatkę z melisy i wyszła na ganek. Wciągnęła głęboko powietrze, pachnące świeżo skoszoną trawą i... zmartwiała. A potem, nie zważając na bose nogi, zbiegła po schodkach i zatrzymała się przed domem.

Łuna od strony lasu zaczęła właśnie wzbijać się w niebo.

– Rany boskie – wyszeptała zbielełymi ustami. – Pali się!

Bliska paniki, zawróciła do domu, złapała telefon, wypadła z powrotem na dwór i biegnąc co sił w kierunku pożaru, trzęsącymi się rękami zaczęła wybierać numer alarmowy.

– Pali się! – krzyknęła, gdy tylko zgłosił się operator. – Widzę łunę nad lasem, to... to gdzieś niedaleko chaty nad jeziorem. Senna, kolonia numer dwa. Dziękuję. Tak, będę się trzymać z daleka.

Biegła dalej, z trudem łapiąc powietrze. W piersi ją paliło. Traciła siły. Nie tylko z powodu wysiłku, serce najwyraźniej zaczęło odmawiać posłuszeństwa, ale do przerażonego umysłu zaczęła docierać prawda, która zmuszała kobietę do dalszego biegu. Nie palił się las niedaleko chaty Nataniela – płonął jego dom!

Drobna postać gnała drogą przez las co sił w nogach. Oglądała się raz po raz za siebie, zanosząc się ni to śmiechem, ni szlochem. Gdyby ktoś chciał ją zatrzymać i zajrzeć jej w oczy, stwierdziłby, że oszalała. I właśnie ktoś to uczynił. Młody, rosły mężczyzna wyskoczył na drogę tak nagle, że ta, która biegła, krzyknęła z przerażenia i byłaby upadła, gdyby nie pochwycił jej wpół.

– Co robisz w lesie po nocy? – warknął Marek Sidło, bo to on kłusował akurat w okolicy, łapiąc Aśkę Jarząbek za ramiona i potrząsając nią lekko. – Co znowu wymyśliłaś? Chyba nie podglądałaś tego kuternogi, jak figluje z doktorówną?

Odpowiedział mu szeroki, szalony uśmiech.

– Coś ty zmalowała? – Nagle zaniepokojony, wbił palce w jej ramiona tak silnie, aż jęknęła z bólu, a potem rzuciła triumfalnie:

– Podpaliłam mu chałupę. Dostanie za swoje!

Oniemiał. Przez dwa uderzenia serca jeszcze jej nie wierzył, ale ten uśmiech... i oczy płonące szaleństwem...

– Podpaliłaś chatę Domoradzkiego? – wycedził zgłoska po zgłosce, bo głos odmówił mu posłuszeństwa.

– Tak! Zrobiłam to! Dostanie skurwiel za swoje!

Jemu cała krew odpłynęła z twarzy.

– Ty głupia cipo, ty pizdo, podłożyłaś ogień pod czyjąś chałupę?!

– Nie czyjaś, tylko jego! Nataniela! Zasłu...

Potrząsnął nią tak, że przygryzła sobie język. Przez chwilę myślał gorączkowo, co robić. Co robić, do kurwy nędzy?! Ta głupia krowa, ta durna cipa...

– Spierdalaj do domu, ale już! – Odepchnął ją, aż się zatoczyła. – Mówię: zapierdalaj do chaty! Powiedz ojcu, pizdo pierdolona, że podpaliłaś chatę Domoradzkiego, niech ten kutas, twój stary, wywiezie cię dokądś, najlepiej daleko!

Stała, nic nie rozumiejąc.

– Przecież sam chciałeś to zrobić! – wrzasnęła nagle ze złością. – Mówiłeś, że jeśli Domoradzki się ode mnie nie odpierdoli, sfajczysz mu chałupę. Zrobiłam to! Tak jak chciałeś!

– Mówić to jedno, a podłożyć ogień pod dach śpiącego człowieka to kryminał! Na co czekasz, suko?! Aż nadjadą gliny i cię zapuszkują?! Godziny w pierdłu nie przeżyjesz! Zasuwasz do ojca! Niech cię wywiezie za granicę! Ja wezmę to na siebie tak długo, jak się da! Biegnij! Na co ty, kurwa, czekasz?!

Machnął ręką na tkwiącą pośrodku drogi dziewczynę i rzucił się pędem w stronę pożaru. Może jeszcze da się coś uratować, może Nataniel zaczął gasić dom i trzeba mu pomóc. Zwierzęta wyprowadzić. Dziecko!!! Na litość Boga, w domu było dziecko!!! Pewnie spało, gdy ta kurwa, ta głupia cipa podlewała chatę benzyną, czy co tam ze sobą przyniosła...

Poczuł łzy toczące się po policzkach. Panika zdusiła mu gardło, ale nie zwolnił. Biegł dalej. Luna złocąca nocne niebo była coraz jaskrawsza, już słyszał trzaskanie ognia...

Marta wpadła na podwórze i zastygła bez ruchu na parę sekund. Ogień jeszcze nie pożarł całego domu, na razie karmił się gankiem i północnym narożnikiem. Przez drzwi wejść nie mogła, obiegła więc chatę dookoła, załomotała w okno.

– Nataniel!!! Nataniel! Jesteś tam?! Dom się pali!!!

Chwyciła kawałek cegły, cisnęła w szybę i tego było żywiołowi potrzeba: przeciągu. Ogień runął z sieni przez kuchnię, buchnął Marcie prosto w twarz. Cofnęła się, oślepiąca, przerażona do granic.

„Dziecko!!!” – zawyła w duszy. „W domu jest dziecko!!!”

Podbiegła do okna sypialni, rozbiła szybę i nie zauważając ostrych odłamków, tnących jej dłonie i nogi, wskoczyła do środka. Zakrzuszyła się dymem i kasłała boleśnie przez chwilę czy dwie, ale zaraz potem na oślep rzuciła się do kąta, gdzie stało łóżko Nataniela.

– Puste – załkała z ulgi.

Musiała teraz przejść do kuchni, a potem do pokoiku Emilki. Dopiero gdy przekona się na własne oczy, że małej nie ma również, będzie mogła pomyśleć o sobie. Chwyliła za klamkę i puściła z krzykiem. Żelazo już zdążyło się nagrzać. Owinęła je rąbkiem swetra, szarpnęła ku sobie. Płomienie buchnęły jej w twarz. Nie zważała na nic. Ani na ogień, ani na duszący dym. Musiała mieć pewność, że w pokoiku obok nie umiera dziewczynka.

Łóżeczko było puste.

Marta, łkając z ulgi, cofnęła się do sypialni Nataniela, zatrzasnęła drzwi i znów zachłysnęła się dymem. Kaszląc, zatoczyła się pod ścianę. Nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Osunęła się na podłogę.

– Jest tu kto?! – Jak przez mgłę usłyszała czyjś krzyk.

– Ratunku... – wyszeptała.

Ktoś wskoczył do środka przez wybite okno. Chwylił ją na ręce i wypchnął na zewnątrz. Chciał zawrócić, ale przytrzymała go za rękę.

– Dom jest pusty. Nikogo nie ma – powiedziała z trudem.

Kiwnął głową. Dopiero teraz, gdy oczy przestały jej łzawić, poznała w nim Marka Sidłę. Powinna się zdziwić, co on tu robi, ale jej zmęczony umysł nie był do tego zdolny.

Mężczyzna chwycił ją pod pachy, odciągnął dalej, w bezpieczne miejsce.

– Proszę tu zostać! – nakazał, jakby miała siły gdziekolwiek się wybierać. – Wyprowadzę zwierzęta.

– Dom...

– Już po nim – uciął ostro. – Niech pani tu siedzi i odpoczywa, jasne?!

Przytaknęła.

Zniknął w gęstym, lepkim dymie, który spowijał podwórze. Lada chwila ogień przeskoczy na stajnię, w której miały się przerażone konie. Trzeba było się spieszyć.

W oddali zabrzmiał, przybliżający się z każdą sekundą, jęk syreny. Dwa wozy straży pożarnej gnały przez las.

Marta patrzyła, jak zatrzymują się nieopodal niej. Ze środka szybko i karnie, jak na ćwiczeniach, wyskoczyło kilkunastu młodych ludzi. Chwilę później na dom, czy raczej resztki tego, co Nataniel kiedyś nazwał domem, lunęły strugi wody.

Gdzieś niedaleko zarżał koń. To Marek Sidło ciągnął za uzdę śnieżnobiałą klacz. Obok biegł maleńki, krępy kucyk. Kacperek Emilki...

Marta zacisnęła powieki. Poczowała łzy na policzkach i łomot w piersiach. Aż nagle ból, jaki się czuje jeden jedyny raz w życiu, zebrał całą moc i uderzył w siateczkę naczyń troskliwie otulających biedne, udręczone serce Marty. Pękły niczym zdmuchnięta przez wichurę pajęczyna. Ból był tak straszny, że krzyk uwiązł kobiecie w krtani. Przez chwilę próbowała nabrać powietrza. Serce, pozbawione tlenu i krwi, zatrzepotało gwałtownie,

jeszcze się nie poddając, jeszcze walcząc, ale nie miało najmniejszych szans... Marta, czując, że umiera, próbowała zawołać krzątających się dookoła strażaków, poprosić o pomoc, lecz dłoń jej opadła, głos uwiązł w gardle... Szklistymi oczami patrzyła chwilę przed siebie... Ile czasu jej zostało? Minuta. Czy wystarczy? Wyjęła z kieszeni komórkę, zaczęła pisać do Oliwii: „Kocham...” i ręka z telefonem opadła bezwładnie. Łzy popłynęły z oczu.

„Przepraszam” – posłała swemu dziecku ostatnią myśl. „Kocham cię, córeczko”.

Czerń napłynęła łagodnie, odgoniła ból, Marta spojrzała po raz ostatni w niebo, które przecinała właśnie spadająca gwiazda. Nie zdążyła pomyśleć życzenia...

## EPILOG



W

iejski cmentarzyk był pełen ludzi.

Stali w milczeniu i patrzyli na trumnę z jasnego drewna.

„To nie powinno się zdarzyć” – myśleli. „Tak nie powinno być. Marta Kraszewska, która dla każdego miała dobre słowo... niemożliwe, że już jej między nami nie ma. Miała dopiero czterdzieści parę lat! Mogła żyć drugie tyle!”

W oczach mieszkańców Sennej oprócz żalu czaił się wstyd. Oto jeden z nich podpalił dom drugiego. Ofiarą pożaru była właśnie ona – doktor Kraszewska. To też nie powinno mieć miejsca. Można mówić sobie podłe słowa, można powygrażać, ale nie wolno podkładać ognia pod dom śpiących ludzi! Nie wolno! Sotłysiaki dochowali się bandyty, który – miejmy nadzieję – zgnije w pierdlu, bo gotów podpalić całą wieś! Co za nieszczęście, jak nie jedna czarna owca, taki Sodarow, to inna się trafi...

Siergiej trzymał się z boku. Z dała od reszty. Miał twarz nieruchomą, martwą, jakby wszystkie uczucia umarły razem z jego *liubymyją*.

„Tak wiele chciałbym ci powiedzieć... Tak wiele dać...”

Nie obdarzy Marty całą miłością, jaką dla niej miał. Słowami, które za późno... za późno podpowiadało zdruzgotane serce mężczyzny. Poszukał wzrokiem jedyne przyjaciela, który go rozumiał...

Mateusz stał z pochyloną głową. Łzy spływały mu po twarzy, skapując na piach pod nogami. Nie próbował ich ukryć, nie próbował zatrzymać. Usiłował nie patrzeć na ciasną skrzynię, w której zamknęli jego Martę, jego pełną życia Martusię i... łkanie rozrywało mu pierś, a ból, na jaki nie mógł znaleźć słów, serce. Oddałby życie, żeby leżeć tam zamiast niej. Oddałby... Ktoś ujął jego dłoń, zacisnął na niej palce. Emilka, w czarnej sukience, z czarną aksamitką wplecioną we włoski, patrzyła na Mateusza wielkimi, pociemniałymi oczami. Od chwili, gdy dowiedziała się o śmierci Marty, nie wyrzekła ani słowa. Po prostu patrzyła na rozpacz wszystkich dookoła i... milczała.

Dopiero w tym momencie, widząc bezgraniczne cierpienie Mateusza, zacisnęła paluszki na jego ręce i szepnęła:

– Nie płacz, wujku, ciocia nie mogła odejść daleko. Kiedyś się przecież spotkacie. Wziął dziecko na ręce, wtulił twarz we włoski małej, ale łzy nie przestały płynąć.

Dziewczynka zaczęła gładzić go po włosach, by chociaż tak ukoić jego ból. Spojrzała bezradnie na Nataniela, drobnymi pleckami wstrząsnął cichy płacz.

On stał po drugiej stronie grobu z szeroko otwartymi, niedowierzającymi oczami wbitymi w gładkie, lśniące wieko trumny, ozdobione wiązką białych kwiatów. Nie zobaczył Marty już nigdy więcej? Jej dobrych oczu i serdecznego uśmiechu? Nie słyszeć cichych, miłych słów, jakie miała dla przyjaciół, gdy ich świat się kończył? Nie widzieć jej, gdy spieszy ścieżką przy jeziorze, albo siedzi na ganku swojego dworku, który tak bardzo kochała, zapatrzona w wieczorne niebo? Nie poczuć uścisku jej dłoni na ramieniu, który mówił „wszystko będzie dobrze, wierz mi”. Już nigdy?! Zagryzł wargi do krwi, by nie wybuchnąć płaczem. Albo krzykiem na podły, bezwzględny los. Ale musiał jeszcze trochę wytrzymać, jeszcze udawać spokój. Być wsparciem dla tej, którą obejmował wpół.

Gdyby nie jego ramię, Oliwia upadłaby obok trumny matki i już tak została. Czerń spowijała dziewczynę jak wyrzut sumienia. Ludzie odwracali oczy od śmiertelnie bladej twarzy, zapadniętych oczu, drżących rąk i ust, szepczących coś cicho i niezrozumiale. Ona, Oliwia Kraszewska, była kolejną ofiarą tego nieszczęścia.

Gdy tamtej nocy odebrała esemes od matki, a w nim jedno słowo: „Kocham” i nic więcej, poczuła, że stało się coś strasznego. Ale w najgorszych koszmarach sennych nie przypuszczała, że oto została osierocona. Że już nigdy nie poczuje na policzku dobrej dłoni matki. Nigdy nie będzie się z nią śmiała i sprzeczała. Nigdy nie usłyszy jej głosu, nie zobaczy radości w jej żywych, złotych oczach, smutku też nie. Gdy zadzwonił Nataniel...

– Oliwio – wypowiedział jej imię takim tonem... głosem nabrzmiałym łzami i cierpieniem tak przejmującym, że dziewczyna krzyknęła:

– Nie chcę nic wiedzieć! Nie mów mi!!!

A on odezwał się po chwili:

– Czy masz kogoś przy sobie? Jest ktoś z tobą?

– Nikt! Po co mi ktoś?! Po co mam być z kimś?!

– Oliwio... – znów ten głos, brzmiący jak szloch. – Twoja mama nie żyje.

I świat w tej chwili się skończył.

Teraz stała nad trumną, w której zamknięto ciało jej mamy, jej mamusi...

Nogi zaczęły się pod nią uginać. Nataniel nie zdążył jej chwycić. Osunęła się na kolana, zgięła się wpół w strasznym szlochu.

– Mamo... przepraszam, tak bardzo cię przepraszam...

Zawsze wydaje nam się, że mamy czas. Mamy mnóstwo czasu, by prosić o wybaczenie. Całą resztę życia. I nagle okazuje się, że jest za późno. Na wszystko. Na wybaczenie również. A czasu zostało jedynie tyle, by wypuścić z mdlejącej ręki różę i pozwolić, by upadła na grób matki.

KONIEC TOMU II

Życie trwa nadal.

Czy Nataniel i Oliwia odnajdą drogę do siebie?

Kim jest ojciec małej Emilki?

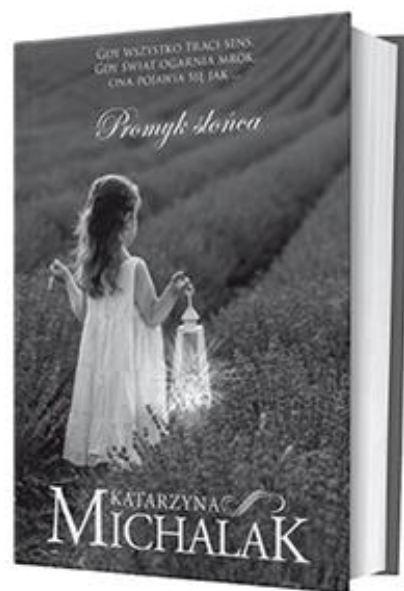
Kto sześć lat temu wysłał pewien list, który zmienił wszystko?

O tym i jeszcze o wielu smutkach i radościach w tomie III „Kropla nadziei”.



## Seria Mazurska

---



WKRÓTCE:

